

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Nr 7 (248) • ROK XXI • LIPIEC 2016

www.slaskgtl.pl

MADONNY
WRACAJĄ



Pomnik upamiętniający kardynała Augusta Hlonda – pierwszego biskupa katowickiego, późniejszego prymasa Polski w latach 1926 – 1948, w 135. rocznicę jego urodzin, stanął na placu między Archikatedrą, Wyższym Seminarium Duchownym a Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Aktu odsłonięcia dokonali 5 lipca 2016 r. metropolita katowicki abp Wiktor Skworc w asyście abp. seniora Damiana Zimonia, prezydenta Katowic Marcina Krupy, licznie przybyłych duchownych i zaproszonych gości.

Na cokole pomnika wyryto słowa kardynała: „Kto z Bogiem pracuje, kładzie fundament pod dzieła, które przetrwają wieki, bo tylko opierając się na Bożym prawie można dokonać wielkich dzieł”.

Autorami ponad 4-metrowego pomnika są artyści z Torunia: Zbigniew Mikielawicz i Przemysław Dudziuk – zwycięzcy konkursu ogłoszonego w 2014 roku przez Urząd Miasta Katowice.



Foto. Arkadiusz Ławrywianiec

Foto. Jacek Kurek



Statuetka im. Bł. ks. Józefa Czempieła dla abpa seniora Damiana Zimonia.

11 czerwca br. w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Chorzowie po raz pierwszy wręczona została ustanowiona przez Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół Bł. ks. Józefa Czempieła statuetka chorzowskiego męczennika. Pierwszym Laureatem wyróżnienia został abp senior Damian Zimonia, *spiritus movens* procesu beatyfikacyjnego dwóch pierwszych kapłanów katowickiego Kościoła: Emila Szramka i Józefa Czempieła.

(Więcej w *Notatniku Kulturalnym*)

„Widziałem *Młyn i krzyż* Lecha Majewskiego i bardzo mi się ten film podobał. Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę pracować z takim artystą – mówił w Katowicach John Malkovich, wybitny aktor amerykański podczas konferencji prasowej zorganizowanej w Muzeum Śląskim. Powodem przyjazdu jest najnowszy film Lecha Majewskiego *Dolina Bogów*, do którego zdjęcia będą kręcone w Katowicach (Muzeum Śląskie i Sąd Rejonowy), Pszczynie (zamek) i Sosnowcu (pałac Dietla). Poza Polską film będzie kręcony w USA i we Włoszech. Lechowi Majewskiemu udało się zgromadzić iście gwiazdorską obsadę. Prócz Johna Malkovicha w filmie wystąpią także Josh Hartnett, Bérénice Marlohe i Keir Dullea.

Na zdjęciu (w środku) John Malkovich i Lech Majewski



Foto. Arkadiusz Ławrywianiec

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

Nr 7 (248), Rok XXI, LIPIEC 2016 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 258 07 56
e-mail: zarzad@slaskwn.com.plWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.plRedaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelnaKATARZYNA KUROCZKA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.plMARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)MARIA SZUKA
Sekretarz redakcji
Dział kulturyBOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
Dział graficznyIRENA FALKIN-SIBIGA
KorektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
e-mail: redakcjask@onet.plDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury
„RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w
Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice,
ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłat należy dokonywać na konto:GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł,
kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. Marcin Gacek BREXIT – UZASADNIENIE NIEPOKÓJ CZY UROJONA HISTERIA?
6. Jakub Loginow MAŁA SŁOWACJA RZĄDZI EUROPA
10. Rozmowa z Adamem Pastuchem, dyrektorem Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach
REGIONALNY INSTYTUT KULTURY „BANKIEM WIEDZY” O REGIONIE
16. Grzegorz Sztolter JAK ŚLĄZACY RELIKWIE Z DOMU ŚWIĘTEGO JANA Z KĘT ZABIERALI
20. Janusz Ireneusz Wójcik LAUDACJA KU CZCI STANISŁAWA SŁAWOMIRA NICIEJ
22. Krystyna Heska-Kwaśniewicz KORNELA FILIPOWICZA WOJNY RELIGIJNE
26. Henryk Szczepański „CZEKOLADOWY DOM” STRZAŁKOWSKIEGO
38. Jan Cofalka NIEOCZEKIWANY MISTRZ ŚWIATA
42. Rozmowa z Pawłem Duszą, dyrektorem Muzeum w Sosnowcu KOD MIASTA
52. Joanna Jaruszevska-Jurkiewicz, Krystyna Heska-Kwaśniewicz MIĘDZY ŚLĄSKIEM
A WILEŃSZCZYŃĄ
72. Jacek Dudek PORT(RET) POETYCKI
73. Wiesława Konopelska PISARZE, PISARZE

FELIETONY

9. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański SŁUŻBA ZDROWIA I TERRORYŚCI
37. KAMIEŃ DROGOCENNY
Jacek Kurek CHŁOPCY Z FERAJNY
45. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek O JESZCZE JEDNYM KAZANIU PASTORA BARTELMUSA
64. Henryk Bzdok ANEGDOTY
65. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek PERYFERIE MUZYKI NOWEJ. JUBILEUSZ JANA KRENZA.
CZARODZIEJSKI FLET W PIGUŁCE.
69. Katarzyna Wyrwas MIANOWNIK ZAMIĄST WOŁACZA, WOŁACZ ZAMIĄST MIANOWNIKA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk WAKACJE BIZNESMENA

PLASTYKA

46. Ewa Liszka MADONNY WRACAJĄ
49. SZTUKA KONSERWACJI. Wystawa w Muzeum Historii Katowic
50. OBRAZY ŚWIATŁEM PISANE. Wystawa w Muzeum Śląskim
51. Witold Kociński BÓG MÓWI...
54. Elżbieta Pisarczyk PODRÓŻ BEKSIŃSKIEGO Z PARYŻA DO CZĘSTOCHOWY
60. Jan Cofalka SZKICOWNIK OSOBISTY WALDEMARA ŚWIERZEGO
63. Witold Kociński 6 KILO PIĘKNA
84. KOLEKCJA „ŚLĄSKA”: ADAM DUTKIEWICZ

TEATR

58. O 18. FESTIWALU SZTUKI TEATRALNEJ W RYBNIKU
62. Joanna Warońska CZŁOWIEK NEOLIBERALNY?

KSIĄŻKI

74. Grzegorz Sztolter NIOBE. ŚLĄSKA KRZYWDA WYKRZYCZANA
74. Bogdan Widera NIE DLA KAŻDEGO
75. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Florian Śmieja MARIAN
14. Florian Śmieja WIERSZE
30. Barbara Janas-Dudek WIERSZE
31. Jacek Dudek WIERSZE
32. Witold Turant NIE MA MORZA W BAGDADZIE (III)
41. Zenon Dytko WIERSZE

EKOLOGIA

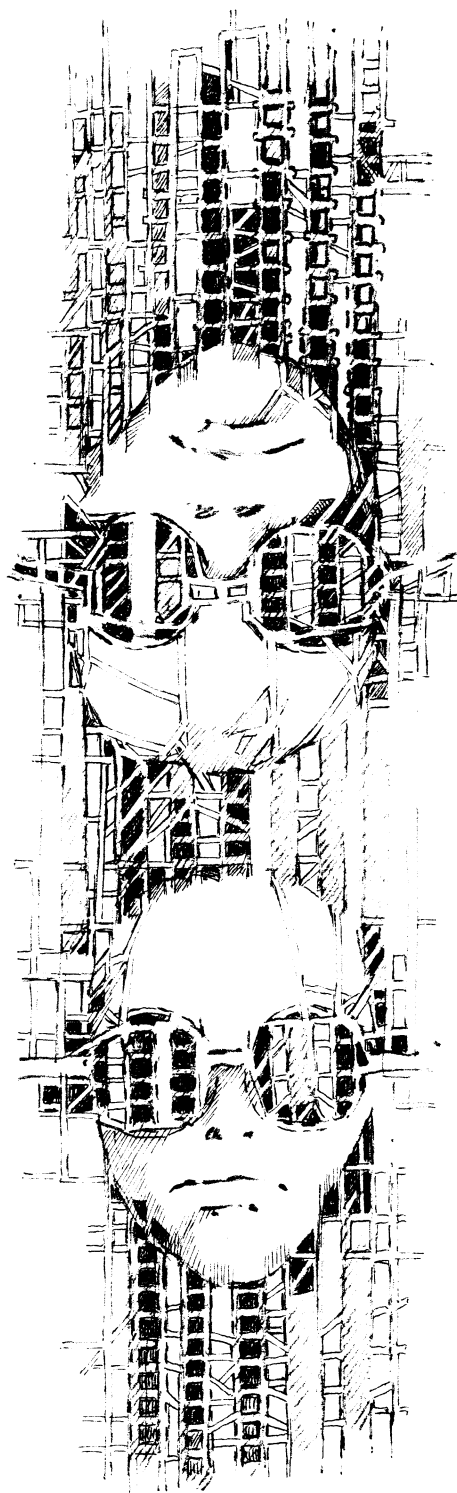
70. Rozmowa z Andrzejem Pilotem, prezesem zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach NAJWAŻNIEJSZA – NISKA EMISJA

STAŁE RUBRYKI

60. Z LISTÓW DO REDAKCJI. KONTAKTY WILHELMA SZEWCZYKA Z KNUROWEM
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Marcin Twardzik JAK MÓWIĆ O KSIĄŻKACH ZABYTKOWYCH?
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. „OSIEMDZIESIĄTKA” ERWINA SÓWKI
68. OPOLE. FINIS CORONAT OPUS – REKTOR UO STANISŁAW S. NICIEJA
76. NOTATNIKI KULTURALNE
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

„Sacra Conservazione” – Matka Boska z Dzieciątkiem i śś. Katarzyną i Barbarą.
Foto: Muzeum Historii Katowic

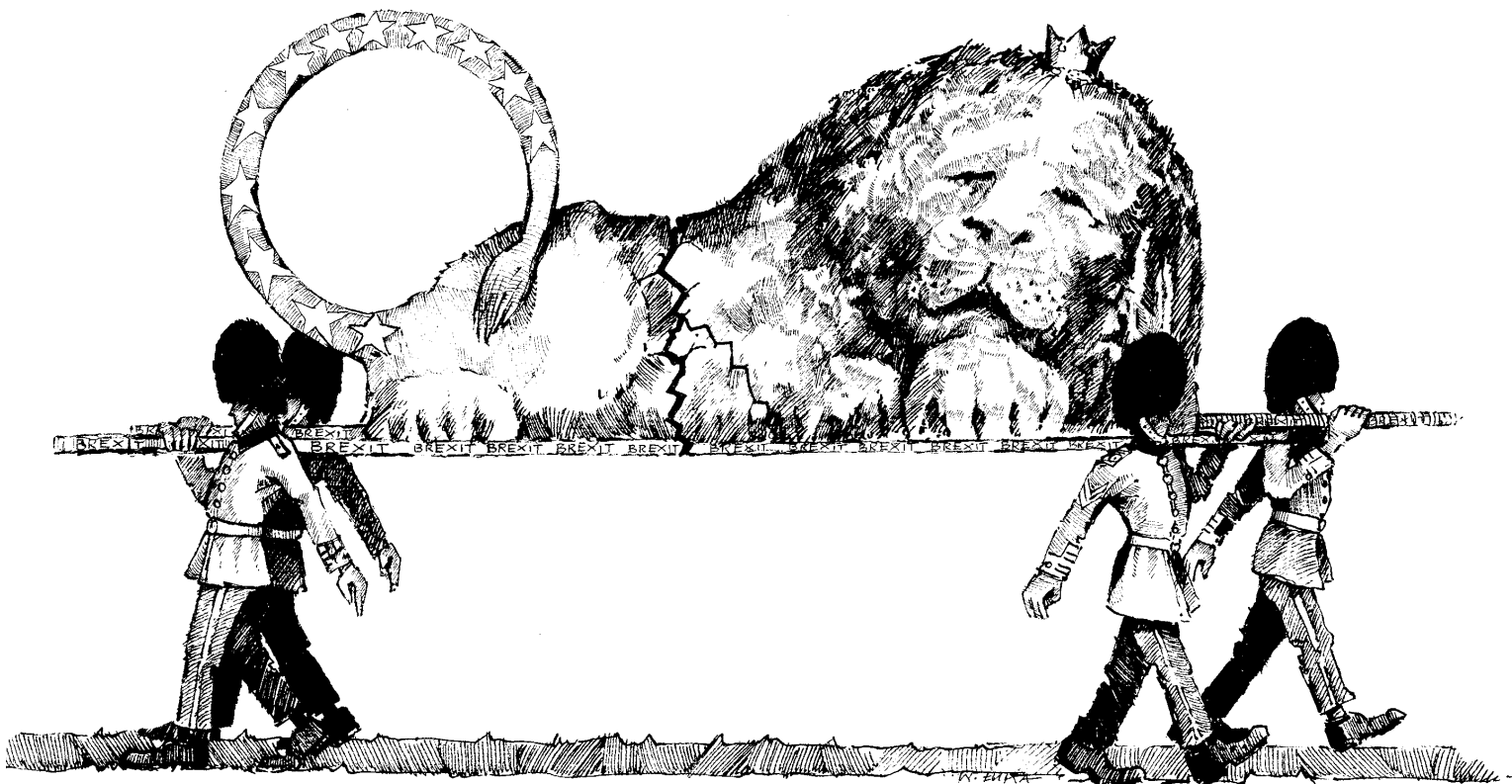


Rys. Wojtek Łuka

MARIAN

Zamustrowałem wraz z Marianem. Wyszedł
z Oświęcimia, by mi już towarzyszyć
wiernie aż na front. Przeżył sąd wojenny
a także zadekowanie w kurniku.
Przysłał jeszcze list sążnisty o losie.
Pisany był mu powrót do Katowic
niewiele lat pożycia małżeńskiego
oraz kilka jałowych naszych spotkań.

Florian Ludwik Śmieja (ur. 1925 w Zabrze-Kończycach) – poeta, tłumacz, badacz literatury hiszpańskiej. Podczas okupacji wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. W 1944 roku zbiegł do Anglii. Po wojnie studiował anglistykę i iberystkę na Uniwersytecie Londyńskim, uzyskując stopień naukowy doktora, następnie wykładał iberystkę na University of Nottingham. Należał do grupy poetów polskich skupionych wokół pism „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty”, którego był redaktorem naczelnym. W roku 1969 wyjechał do Kanady, gdzie wykładał w University of Western Ontario. W latach 90. prowadził zajęcia na iberystyce Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Uniwersytetu Opolskiego. Debiutował w 1953 roku zbiorem wierszy *Czuwanie u drzwi*. W swoim dorobku ma kilkanaście tomików poezji. Swoje wiersze, szkice literackie, wspomnienia publikował m.in. w „Odrze”, „Tygodniku Powszechnym”, „Poezji”, „Więzi”. Jest autorem licznych szkiców, tłumaczeń (m.in. J.R. Jimenez), opracował *Poezje arabsko-andaluzyjskie*. Autor *Siedmiu rozmów o poezji* (1990). Poezja Floriana Śmieja kilkakrotnie gościła na łamach miesięcznika „Śląsk”. Członek Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie (od 1965). W 2009 otrzymał Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. 6 maja 2015 otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej, odznaczenie Jego Królewskiej Mości Króla Hiszpanii, Filipa VI.



Grafika: Wojtek Luka

Brexit – uzasadniony niepokój czy urojona histeria?

MARCIN GACEK

Szukając odpowiedzi na pytanie: dlaczego Brytyjczycy zagłosowali za wyjściem z Unii, należy przypomnieć sobie po co do niej przystąpili. Po prostu im się to opłacało. Dzisiaj dostrzegli inne rozwiązanie. Wyjście z Unii i zbudowanie z nią relacji na wzór Szwajcarii. Słowem zjeść ciastko i je mieć. Poddani Królowej Elżbiecie, tylko za jej życia kilkakrotnie udowodnili, że to, co dla wielu było nie do pomyślenia, dla nich jest oczywiste.

Brytyjczycy niechętnie przyglądali się tworzeniu wspólnot na kontynencie. Wspólny rynek, jedna waluta, ustalona polityka rolna etc. to coś co dla synów Albionu *ode złego jest* od wieków. Tradycja *splendid isolation* to element ich tożsamości narodowej i historii. W roku 1957 na Downing Street królował pogląd, że zasady, na których ma opierać się przyszła EWG są absolutnie sprzeczne z wartościami i interesami brytyjskimi. Lepiej założyć konkurencyjne Europejskie Stowarzyszenie Wolnego Handlu (EFTA) z krajami skandynawskimi. Ale gdy w 1960 roku okazało się, że w krajach wspólnoty w ciągu trzech lat zmniejszono cła o 30%, w latach 1954 – 1960 w *szóście założycieli* PKB wzrosło o 50% a w Wielkiej Brytanii *tylko* o 20%, brytyjscy dyplomaci i londyńska elita gospodarcza porzuciła – nagle przestarzałą – tradycję izolacji na rzecz nowoczesnej

otwartości na Europę. Już 9 sierpnia 1961 roku niemożliwe stało się możliwe i rząd Jej Królewskiej Mości zgłosił chęć przystąpienia do Wspólnot Europejskich tzn. do ich rynków zbytu. Niebagatelną rolę w tej decyzji odgrywał pogląd, że większy i o wiele dynamiczniej rozwijający się rynek *zawsze* kapitał amerykański, który przynosił nie tylko inwestycje ale również gwarantował dostęp do najnowszego, daleko przewyższającego możliwości Starego Kontynentu „know how”. Jak się okazało jedyną niepodważalną i wieczną tradycją brytyjską było i... jest pomnażanie bogactwa swoich obywateli.

Tak wyrachowanej i chłodnej, ekonomicznie skalkulowanej polityce, przeciwstawił się z równą bezwzględnością i dalekowzrocznością Charles de Gaulle. Uznał, że kto nie chciał ryzykować gdy projekt EWG był niesprawdzony, ten nie ma prawa

spijać śmietanki, gdy ryzyko okazało się strzałem w dziesiątkę. De Gaulle oficjalnie uważał, że Brytyjczycy muszą dojrzeć do podjęcia decyzji czy są bardziej atlantycy czy kontynentalni. **Mniej oficjalnie, jasno wskazując kto jest kim w EWG, mówił, że teraz jest we wspólnocie jeden kogut i pięć kur, potem może będzie kur osiem lub więcej ale za to dwa koguty co jest nie do zaakceptowania.** Dla de Gaulle’a zjednoczenie Europy miało być narzędziem do odbudowy mocarstwowej pozycji Paryża. Stąd jego podwójne, w 1963 i 1967 roku, veto blokujące akcesję Wielkiej Brytanii do wspólnot. Generalowi przeciwstawili się nowocześni politycy europejscy z Beneluxu – w szczególności holenderscy – i z Niemiec, którzy uważali rozszerzenie EWG o nowe kraje za swoją historyczną misję pojednania Europy i oczywiście liczyli na zyski po przyjęciu wielkiej gospodarki

do – jak już okazało się – elitarnego klubu państw. Istotny był również wpływ USA, które w EWG widziały gospodarze wzmocnienie NATO i chciały mieć w jej strukturach anglosaskiego przedstawiiciela. Racja była pośrodku. Błędem francuskiego przywódcy była chęć otwierania nowych drzwi starymi kluczami. W tym miejscu politycy pozostałych krajów prawidłowo wyczuwali konieczność poszerzenia *Europy* o nowych członków. *Ostatni niezależny Francuz* nie mylił się w jednym. Należało twardo rzucić Londyn na kolana tak, by skamlał o przyjęcie do EWG a – nie jak chcieli pozostali Europejczycy – uściśnąć wyciągniętą nad kanałem La Manche rękę.

Możliwość przystąpienia do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej poddanych Jej Królewskiej Mości, nadarzyła się zaraz po tym, gdy wielkiemu męża stanu zastąpił, instynktownie kreując się na zwykłego Francuza Georg Pompidou. I tak idealści europejscy napotkali po roku 1970, twardo negocjujących angielskich dyplomatów. Pomimo że to oni pukali do drzwi wspólnego rynku. Ich specyficzny angielski humor przejawiał się np. w tym, że zaproponowali przyszłej wspólnocie dziecięciu krajów (szóstka plus Wielka Brytania, Dania, Irlandia i Norwegia), iż wpłacą 3% netto (netto to też wymysł brytyjski) do całego budżetu wspólnoty. **Podsumowując, praktycznie role się odwróciły. To francuski prezydent i europejscy politycy prosili Londyn o przystąpienie do poprzedniczki Unii.** Wreszcie Wielka Brytania stała się w 1973 roku członkiem wspólnoty dziewięciu krajów (Norwegia odmówiła akcesji). Wielką kontynuatorką tego pragmatycznego myślenia była premier Margaret Thatcher, która i w kontekście europejskim przeszła do historii. *Iron Lady* waląc torebką w pulpit krzyczała do (lub na) europejskich partnerów *oddajcie mi moje pieniądze*.

Dzisiaj Brytyjczykom też nie oplać się opuszczenie wspólnego rynku i wcale tego nie chcą. Zwycięstwo zwolenników (niemożliwe znowu stało się możliwe) Brexitu miało podłoże psychologiczno-społeczne. **Specyficzny humor Camerona objawił się w tym, że wynegocjował reformy Unii a i tak przegrał swoją wielką rozgrywkę. Ogłosił w 2014 roku referendum po to, by odebrać głosy skrajnie prawicowej Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa, a w 2016 r. złożył dymisję po tym, gdy główny postulat tego ugrupowania został spełniony. Tym samym autorytet premiera legł w gruzach. *Biez wodki nie rozbieriesz.***

Brytyjczycy głoszący za Brexitem są przekonani, że ich kraj nie opuści wspólnoty, a oficjalne wyjście da możliwość negocjowania uprzywilejowanej pozycji Londynu w UE. Chcą, by kraj nad Tamizą stał się drugą Szwajcarią, która oficjalnie nie będąc członkiem Unii praktycznie w niej jest, będąc – prawie że – rajem podatkowym w porównaniu z resztą zjednoczonej Europy. Co prawda w komentarzach francusko-niemieckich i brukselskich mówi się o twardym stanowisku wobec rządu brytyjskiego, ale deklaracje o tym, że to Londyn musi sam zdecydować o rozpoczęciu negocjacji wyjścia wskazują na to, że nikt nie chce Anglików stawiać pod ścianą. Nie słyhać o ul-

timatum wobec Londynu, określającym jednoznacznie datę, do kiedy muszą wyjść ze wspólnoty. Wszyscy zdają sobie sprawę, że referendum nie jest wiążące dla rządu brytyjskiego. **Stąd wydaje się, że głoszone przez polityków namawiających do Brexitu hasło „odejść, by pozostać na lepszych warunkach” staje się coraz bardziej realne.**

Na miano *qui pro quo* zasługuje fakt wykorzystania przez wyspiarzy w negocjacjach emigrantów ekonomicznych. To z ich powodu większość Brytyjczyków zagłosowała za wyjściem z UE, a teraz stali się oni swoimi zakładnikami rządu brytyjskiego. Londyn po cichu grozi, że w przypadku twardego stanowiska Brukseli nakaże wszystkim obywatelom Unii wyjechać z kraju. Po pierwsze gospodarka Zjednoczonego Królestwa raczej tego nie wytrzyma, po drugie, jeśli Brytania jest praworządym państwem demokratycznym, kwestia praw nabytych powinna być w tym przypadku rozstrzygająca. Jeżeli Londynowi udałoby się stać drugą Szwajcarią, rozpocznie się efekt domina i ziści się sen konserwatystów brytyjskich o powrocie UE do stanu wspólnego rynku zrzeszającego wolne państwa.

Gdyby jednak (co mało prawdopodobne) stanowisko Paryża i Berlina było twarde i doszłoby do faktycznego Brexitu, a nie – umówmy się – urojonego, to będziemy żyć w ciekawych czasach. Nie sądzę, by doszło do wyjścia Szkocji z Zjednoczonego Królestwa. Ale zupełnie realne jest pozostanie Szkocji i w UE i w Zjednoczonym Królestwie. Tym samym Anglia i Walia otrzymałyby to, czego chciały, czyli dostęp do rynku bez zobowiązań. Jasne, że to uproszczenie. Szwajcarią płaci daninę na rzecz Brukseli. Ale, tak jak z Helwetami, trzeba by z tymi dwoma krajami wspólnoty brytyjskiej negocjować każdorazowo zmiany w relacjach z Unią. Francusko-niemiecki tandem, bez hamulcowych znad Tamizy, zacznie lansować integrację kilku prędkości z twardym jądrem strefy Euro, które będzie faktyczną Unią a reszta państw stanie się klubem stowarzyszeniowym. **Parafrazując porównanie de Gaulle’a mamy do czynienia z sytuacją, gdzie jest dwadzieścia pięć kur i trzy koguty (doszły Niemcy i zajęty pol position, Francja, Anglia) przy czym trzeciemu nie podoba się ta zmiana kolejności, nazwijmy to elegancko, dziobania i postanowił odejść z kurnika by wynegocjować oddzielny status. I tutaj jest pies pogrzebany. Czy pozostałej dwojce jest smutno czy wręcz przeciwnie?**

Co jest bezpośrednią przyczyną Brexitu? Oderwanie się elit politycznych od rzeczywistości społecznej. Przecież Brytyjczycy zostali oszukani, w momencie gdy rząd Tony’ego Blaira obiecywał, że po otwarciu wolnego przepływu ludzi nie przyjedzie więcej niż kilkadziesiąt tysięcy emigrantów z Europy Wschodniej. Jest ich oficjalnie ponad dwa miliony, a nieoficjalnie o wiele więcej. Do tego należy doliczyć napływ emigrantów z byłych kolonii brytyjskich, Afryki, uchodźców z krajów objętych konfliktami etc. Odnosi się wrażenie, że obecni politycy europejscy ograniczyli swoje wykształcenie do dyscyplin utylitarnie wykorzystywanych w administracji. Jeśli pani Kanclerz Merkel nie rozumie, jak to możliwe, że mały Liban może przyjąć relatywnie więcej emigrantów z krajów islamskich,

niż pięćsetmilionowa UE, to po co wycięto hektary lasów by publikować liczne prace naukowe na temat różnic kulturowych i tworzących się w ich wyniku napięć społecznych?

Brexit udowodnił absolutny brak wiarygodności polityków. Można by rzec, że pro-unijne wysiłki Camerona i polityków wspierających go, takich jak prezydent Obama, zmiotł niczym sztorm Wielką Armadę w szesnastym wieku, huragan emocjonalnych artykułów w tabloidach. To nie wina społeczeństwa, ale sygnał totalnego pęknięcia pomiędzy elitami a szarymi zjadaczami chleba. **Zastanawiające ile czasu minie, zanim współcześni politycy zrozumieją, że Europa weszła w okres, w którym poparcie nawet najsilniejszych polityków obokrajowców dla danej partii czy inicjatywy to *pocafunek śmierci*.**

Zupełnie nieoczekiwaną i dla co poniektórych obrazoburczą konsekwencją po-Brexitową jest wykazanie anachroniczności podziału polityków w UE na racjonalnych, mniej lub bardziej proeuropejskich i na tzw. radykalnych antyeuropejskich ekstremistów populistycznych. Oto eurosceptyczny, ale racjonalny Cameron, jako lider niejednoznacznie europejskiej, ale uważanej za przewidywalną partię doprowadza do szkoku historycznego i największego w dziejach kryzysu Unii. **Równocześnie określanii jako antyeuropejscy, populistyczni i nacjonalistyczni (przynajmniej w oczach niektórych mediów) politycy tacy jak Kaczyński, Orbán czy np. austriacki, prawicowy kandydat na prezydenta Hofer, manifestacyjnie deklarują przywiązanie do UE. Cudom nie ma końca!**

Dla Polski raczej wielkich perturbacji nie będzie szczególnie, że wydaje się, iż brexitowa histeria zaczyna opadać i w kuluarach wielkiej polityki, wielcy tego świata już obmyślają jak najłagodniej wyjść z tego kryzysu. **Pamiętać należy jednak – i to powinno być przesłanie dla elit rządzących – że polityka nie bilansuje się w tak łatwy i matematyczny sposób jak buchalteria.** Kształtują ją w dużej mierze emocje. Jeśli wezmą górę nad rozsądkiem i dojdzie do odnowienia się wojny stuletniej we współczesnym wydaniu pomiędzy kontynentalną Europą a atlantycką Wielką Brytanią – oczywiście w obszarze gospodarczym – na pewno dotknie to kraj nad Wisłą. Jaki będzie jednak bilans (niewątpliwych) zysków i strat, może przewidzieć jedynie nowy Nostradamus.

Literatura:

Zorgbibe Ch.: *Historia integracji europejskiej*. Łódź 1998. Instytut Europejski.

Nicol W., Salomon T. C.: *Zrozumieć Unię Europejską*. Warszawa 2002. Książka i Wiedza.

Michałowska G. pod red.: *Integracja Europejska. Instytucje. Polityka. Prawo*. Warszawa 2003. Wydawnictwo Naukowe Scholar

http://europa.eu/index_pl.htm
dostęp 10.07.2016.

dr Marcin Gacek – socjolog, adiunkt w Zakładzie Socjologii Ogólnej, Instytutu Socjologii UŚ. Poza artykułami naukowymi publikował w kwartalniku kulturalnym *Opcje* i miesięczniku *Śląsk*.



Pierwszego lipca przewodnictwo w Unii Europejskiej objął nasz bliski sąsiad – Słowacja. Bratysławie przyszło kierować pracami Rady UE w trudnym momencie. Brexit, kryzys migracyjny, ryzyko rozpadu strefy Schengen – to tylko niektóre spośród pilnych problemów, którymi będą musieli zająć się słowaccy dyplomaci.

W tej sytuacji na dalszy plan schodzą tradycyjne cele słowackiej polityki zagranicznej, takie jak rozszerzenie UE o Ukrainę, Mołdawię i kraje bałkańskie, przyjęcie Rumunii i Bułgarii do strefy Schengen czy pomoc rozwojowa dla Afryki – czyli sprawy, nad którymi Słowacy pracowali całymi latami. Początek prezydentury zbiegł się także z kryzysem politycznym w samej Słowacji – w kraju trwają masowe demonstracje z żądaniem dymisji wicepremiera Roberta Kaliniaka, oskarżanego o korupcję.

Słowackie specjalności

Słowacja jest małym państwem, które pod względem siły geopolitycznej nie może się równać nie tylko z największymi krajami unijnymi jak Niemcy, Francja czy Polska, ale nawet z takimi średniakami, jak Czechy i Węgry. Dlatego jeśli Bratysława ma coś w Europie i na świecie znaczyć, musi postawić na kilka tematów w polityce zagranicznej i obronności, w których będzie absolutnie najlepsza – zdecydowali kilka-

Mała Słowacja rządzi Europą

JAKUB ŁOGINOW

naście lat temu słowaccy dyplomaci i eksperci. Tak narodziła się dość ciekawa koncepcja słowackich specjalności w polityce zagranicznej, która mimo kilkukrotnej zmiany rządów jest konsekwentnie realizowana od 2004 roku do dziś.

Takimi słowackimi specjalnościami są przede wszystkim Bałkany Zachodnie

i NATO oraz demokratyzacja Białorusi i pozostałych państw byłego ZSRR. Kolejnym słowackim tematem jest pomoc rozwojowa dla wybranych krajów Afryki (m.in. Mali, Czad), a w mniejszej mierze także dla Bliskiego Wschodu, co jest szczególnie istotne w czasie obecnego kryzysu. Również w NATO Słowacja mimo niewielkich rozmiarów swo-

Słowackimi specjalnościami są przede wszystkim Bałkany Zachodnie (pomoc w ich stabilizacji i integracji euroatlantyckiej), a w drugiej kolejności – polityka wschodnia, czyli integracja Ukrainy, Gruzji i Mołdawii z UE i NATO oraz demokratyzacja Białorusi i pozostałych państw byłego ZSRR.

(pomoc w ich stabilizacji i integracji euroatlantyckiej), a w drugiej kolejności – polityka wschodnia, czyli integracja Ukrainy, Gruzji i Mołdawii z UE

jej armii ma coś do zaoferowania. Mowa o wojskach chemicznych, które są typowo słowacką specjalnością w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Co ważne, opisana wyżej koncepcja nie jest tylko zbiorem pobożnych życzeń, ale ma solidne podstawy naukowe, eksperckie i instytucjonalne, które okazują się trwalsze niż zawirowania polityczne. Młode państwo słowackie zdążyło już uformować ekipę nowoczesnych, wykształconych na zachodnich uczelniach dyplomatów, którzy pracują w strukturach MSZ lub w licznych organizacjach pozarządowych, z opinią których władze się liczą. W efekcie, co do opisanych wyżej zasad polityki zagranicznej panuje ogólnokrajowy konsensus – pod tym względem możemy Słowakom tylko pozazdrościć.

Polityka wschodnia: zamiast słów – konkrety

Wraz ze zmianą rządów zmienia się tylko retoryka, głównie na użytek wewnętrzny, a słowacka racja stanu jest niezmienna przez cały czas. Widać to wyraźnie na przykładzie polityki wschodniej. Premier Robert Fico nie bez przyczyny jest uważany za polityka wyraźnie prorosyjskiego, wielokrotnie wypowiadał się on krytycznie o Ukrainie, mówił ciepło o Putinie i domagał się skasowania sankcji wobec Rosji. Gdy jednak przychodzi do konkretów, Słowacja głosuje w strukturach unijnych tak, jak tego chce Angela Merkel – czyli za sankcjami i za wsparciem Ukrainy, Mołdawii i Gruzji. Werbalnie prorosyj-

Werbalnie prorosyjska Słowacja udzieliła Ukrainie większego wsparcia podczas Majdanu i po nim, niż teoretycznie proukraińska Polska.

ska Słowacja udzieliła Ukrainie większego wsparcia podczas Majdanu i po nim, niż teoretycznie proukraińska Polska. Przede wszystkim to właśnie Słowacja zapewniła Ukrainie dostawy gazu rewersem w dużych ilościach, czym uchroniła wschodniego sąsiada przed bankructwem po tym, jak Rosja zakręciła Ukraincom kurek z błękitnym paliwem. Słowacki rząd przyjął też więcej rannych z Majdanu, niż polski, a słowacka pomoc

Podczas gdy polska granica z Ukrainą jest permanentnie zakorkowana, brakuje pieniędzy na nowe przejścia, a na odprawę trzeba czekać w wielogodzinnych kolejkach, kontrola na granicy ukraińsko-słowackiej idzie sprawnie. Przejścia graniczne są tu rozmieszczone gęściej, niż na polsko-ukraińskim odcinku, a Bratysława nie skąpi środków na nowe inwestycje. W efekcie nawet Polacy podróżujący na Ukrainę często wybierają okrężną drogę przez Słowację i Zakarpacie, zwłaszcza w ostatnim czasie.

humanitarna i rozwojowa dla Ukrainy w przeliczeniu na mieszkańca jest ponad dwa razy wyższa, niż nasza.

Identycznie wygląda porównanie sytuacji na wschodniej granicy naszych krajów. Podczas gdy polska granica z Ukrainą jest permanentnie zakorkowana, brakuje pieniędzy na nowe przejścia,

a na odprawę trzeba czekać w wielogodzinnych kolejkach, kontrola na granicy ukraińsko-słowackiej idzie sprawnie. Przejścia graniczne są tu rozmieszczone gęściej, niż na polsko-ukraińskim odcinku, a Bratysława nie skąpi środków na nowe inwestycje. W efekcie nawet Polacy podróżujący na Ukrainę często wybierają okrężną drogę przez Słowację i Zakarpacie, zwłaszcza w ostatnim czasie.

Bałkany, czyli oczko w głowie Słowaków

Jednak to nie polityka wschodnia, ale stabilizacja Bałkanów jest najważniejszym elementem słowackiej racji stanu. Sprzyja temu bliskość geograficzna i kulturowa, a nawet językowa między Słowacją a krajami byłej Jugosławii. Słowacy czują się w Serbii, Bośni i Czarnogórze jak u siebie, mogą się z Serbami czy Chorwatami dogadać każdy w swoim języku i lepiej niż inni odnajdują się w bałkańskich realiach. Zainteresowaniu tym regionem sprzyja także fakt, iż na północy Serbii mieszka dość spora mniejszość słowacka, z kolei w okolicach Bratysławy i w sąsiednich regionach Austrii i Węgier od stuleci zamieszkuje mniejszość chorwacka. I wreszcie, Słowację z regionem Bałkanów łączy także Dunaj, który jest główną osią transportową całego regionu. Dla Słowacji, ale także Węgier i Serbii ta potężna rzeka jest na-

miastką morza, a porty w Bratysławie i Komarnie są dla Słowacji tym, czym Gdynia dla przedwojennej Polski.

I wreszcie, Adriatyk jest żartobliwie nazywany „słowackim morzem”. To właśnie w Chorwacji, Czarnogórze i ostatnio także w Albanii Słowacy tradycyjnie spędzają swoje letnie urlopy. Nic dziwnego – z Bratysławy nad Adriatyk można dojechać autem w ciągu zaledwie sześciu godzin (nie jadąc za szyb-

ko). To mniej więcej tyle, ile zajmuje dojazd ze Śląska nad Bałtyk.

Nic dziwnego, że w słowackich czasopiśmie poświęconych sprawom międzynarodowym (m.in. „Zahraničná Politika” sprawy bałkańskie zajmują najwięcej miejsca. Słowacy dyplomaci w przeszłości byli bardzo aktywni

(i skuteczni) w misjach rozjemczych między Serbami a Chorwatami, do dzisiaj odnoszą sukcesy w misjach ONZ i UE w Bośni i Kosowie. Najlepszym tego przykładem jest powszechnie ceniony w Europie były wysoki przedstawiciel dla Bośni i Hercegowiny (2007-2009), a obecnie minister spraw zagranicznych Miroslav Lajčák.

Źródłem słowackiego sukcesu na Bałkanach jest nie tylko podobny temperament i znajomość realiów, ale także fakt, że Słowacja jako mały kraj nie wywołuje u nikogo żadnych kontrowersji – czego nie można powiedzieć np. o Niemczech czy nawet Polsce. Słowacja jest kojarzona w tym regionie jako kraj prozachodni, ale też dystansujący się nieco od polityki USA i ze zrozumieniem odnoszący się do rusofilijskich nastrojów Serbów czy Macedończyków. A słowacy dyplomaci cieszą się sympatią zarówno Serbów, jak i Chorwatów czy kosowskich Albańczyków, co w tym bałkańskim kotle jest naprawdę dużą sztuką.

Cele słowackiej dyplomacji wobec tego regionu są proste: pomoc w reformach (swego czasu Słowacja była wzorem udanej transformacji, więc może się teraz dzielić doświadczeniem), przyspieszenie procesu integracji europejskiej i łagodzenie wzajemnych konfliktów etnicznych. Bratysława aktywnie wspierała starania Serbii i innych krajów bałkańskich o uzyskanie ruchu bezwizowego z UE oraz zawarcie umów stowarzyszeniowych. Obecnie Słowacy chcą podczas swojej prezydentury przyspieszyć proces rozmów akcesyjnych Serbii, Albanii, Czarnogóry i Macedonii oraz sfinalizować uzyskanie przez Kosovo ruchu bezwizowego. W przeszłości Bratysława usilnie popierała także starania Rumunii i Bułgarii o ich przystąpienie do Strefy Schengen, co jednak w świetle obecnego kryzysu migracyjnego jest na razie nierealne.

Gaszenie pożarów w cieniu kryzysu

Do swego pierwszego w historii przewodnictwa w UE Słowacja przygotowywała się bardzo długo, praktycznie od wstąpienia do Unii w 2004 roku.

Wszyscy wiedzą, że druga taka szansa na odegranie istotnej roli w polityce międzynarodowej trafi się nieprędko – najwcześniej po 2030 roku. Co ciekawe, to m.in. zbliżające się przewodnictwo skłoniło zwaśnione partie polityczne do zakopania topora wojennego i utworzenia szerokiej koalicji, która w innych warunkach byłaby nie do pomyślenia. W jej skład wszedł lewicowy Smer i zwalczające go do niedawna partie Siet” i Most-Hid. Ale jeszcze ciekawsze jest to, że w jednej koalicji znaleźli się słowacy nacjonalści przez wiele lat grający na nucie antywęgierskiej (SNS) oraz... Most-Hid, czyli partia mniejszości węgierskiej – do niedawna tradycyjny chłopic do bicia dla narodowców z SNS.

Rzeczywistość jednak spletała słowackim dyplomatom figla. Zamiast wykorzystać prezydencję do realizacji wyżej opisanych priorytetów (Bałkany, polityka wschodnia), Bratysława musi gasić pożary, takie jak Brexit czy kryzys migracyjny. Stąd też opisane wyżej tradycyjne „słowackie specjalności” nie zostały w programie prezydencji wyeksponowane – choć nie zapomniano o nich i umieszczono je w dalszej części tekstu. Słowacka prezydencja ma

pitnej, ogromne ilości wód mineralnych i termalnych znajdują się też w słowackich górach.

Brzmi ambitnie i ciekawie? Z pewnością tak, ale wielu słowackich ekspertów zarzuca rządowi, że program słowackiej prezydencji składa się głównie z ogólników ułożonych tak, by każdy się pod nimi tylko podpisał. Bo komu nie spodobać się hasła typu: „będziemy się starali skierować

8 proc. głosów. Kotleba jest co prawda w parlamencie izolowany, ale problem pozostaje. Komentatorzy są zwłaszcza przerażeni faktem, że neofaszyści mają ogromne poparcie wśród młodych Słowaków, a także... wśród nauczycieli, w tym akademickich.

Zdaniem słowackiej prasy to efekt wieloletniego ignorowania narastających problemów społecznych przez rządzący już ponad 8 lat Smer Roberta Ficy. Partia jest krytykowana za populizm, postępującą oligarchizację kraju i tuszowanie afer korupcyjnych na dużą skalę. Dotyczy to zwłaszcza służby zdrowia, prokuratury i sądownictwa, które w powszechnej opinii są najbardziej skorumpowane i poddane wpływom oligarchów zależnych zarówno od Smeru, jak i równie skompromitowanej centroprawicowej opozycji (stąd kryzys zaufania do partyjnego establishmentu i popularność antysystemowców).

Zbliżające się przewodnictwo skłoniło zwaśnione partie polityczne do zakopania topora wojennego i utworzenia szerokiej koalicji, która w innych warunkach byłaby nie do pomyślenia.

natomiast postarać się m.in. o utworzenie Unii Bankowej w ramach strefy euro (co nie podoba się Warszawie), czy utworzenie wspólnej europejskiej straży granicznej i przybrzeżnej. Słowacy chcą też walczyć z kryzysem migracyjnym, kładąc nacisk na rozwiązywanie problemów u źródła, głównie poprzez pomoc rozwojową. I tu wstyd przyznać, ale mała Słowacja

Europę na tory zrównoważonego wzrostu gospodarczego”, „trzeba przezwyciężyć kryzys migracyjny u źródła kierując większą pomocą rozwojową do państw Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej” czy wspomniane już kwestie ekologiczne, które w Unii są zawsze modne? Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić tak, by coś konkretnego z tych pięknych haseł wynikło.

To, o czym się mówiło „od zawsze”, czyli niejasne powiązania wpływowych polityków Smeru, wybuchło niedawno ze zdwojoną siłą w związku z aferą z udziałem wicepremiera Roberta Kaliniaka.

Wpływowy wicepremier i minister spraw wewnętrznych, prawa ręka Roberta Ficy, jest oskarżany o udział w poważnej aferze korupcyjnej. W kraju trwają masowe (jak na słowackie warunki) demonstracje inspirowane przez opozycyjne partie SaS i OLaNO-Nova z żądaniem dymisji Kaliniaka i Ficy. Na to drugie się raczej nie zanosi, zwłaszcza podczas prezydencji. Bardziej prawdopodobne jest, że premier swoim zwyciężym przysłucha się nastrojom społecznym i stopniowo odsunie swojego wiernego zastępcę w cień, przesuując go na mniej eksponowane stanowisko. Dla Słowacji będzie to oczywiście wyraźna zmiana na lepsze, kolejny drobny krok w stronę deoligarchizacji kraju, ale dla wielu Słowaków taki rozwój wypadków może zostać uznany za niewystarczający.

Mała Słowacja przykładą do pomocy rozwojowej i humanitarnej dla państw Bliskiego Wschodu i Afryki większą uwagę i przeznacza na to więcej środków, niż ośmiokrotnie większa Polska.

wacja przykładą do pomocy rozwojowej i humanitarnej dla państw Bliskiego Wschodu i Afryki większą uwagę i przeznacza na to więcej środków, niż ośmiokrotnie większa Polska.

Ciekawym pomysłem słowackiej prezydencji jest też walka z zagrożeniami cybernetycznymi i utworzenie piątego wspólnego rynku unijnego – do już istniejących swobód, czyli wolnego przepływu towarów, usług, ludzi i kapitału ma dojść postulowana przez Bratysławę swoboda przepływu danych. W ogóle słowacka prezydencja jest dość „z informatyzowana”, co ma swoje odzwierciedlenie w symbolice: logo przewodnictwa to sympatyczny „smajlik”. Bratysława kładzie też nacisk na utrzymanie dotychczasowego kształtu polityki spójności, utworzenie unii energetycznej oraz na ekologię – w tym rozwój energetyki odnawialnej, efektywniejszego wykorzystywania surowców wtórnych i większej dbałości o zasoby wody pitnej. W tej ostatniej kwestii

Choć z drugiej strony Słowaków można zrozumieć: po wejściu w życie Traktatu Lizbońskiego rola prezydencji została poważnie ograniczona. Może to więc dobrze, że Bratysława nie stawia sobie nierealnych celów, z góry ustawiając się w roli sympatycznego moderatora dyskusji, który każdemu powie coś miłego? Jeśli przy tej okazji Słowacy uda się tylnymi drzwiami przeforsować któryś ze swoich sztabowych postulatów, na przykład w kwestii przyspieszenia integracji europejskiej Bałkanów czy pomocy rozwojowej dla Bliskiego Wschodu, prezydencję można będzie uznać za udaną, również z polskiej perspektywy.

Kryzys wewnętrzny i żądania dymisji premiera

Słowacki rząd musi jednak zmagać się nie tylko z problemami natury globalnej, takimi jak Brexit czy kryzys migracyjny, ale też z kryzysami wewnętrznymi. Pierwszy z nich – wzrost nastrojów

Co dalej? Czy czeka nas powtórka z czeskiego scenariusza? Przypomnijmy – podczas czeskiej prezydencji w 2009 roku upadł rząd Mirka Topolanka, a nowy premier techniczny Jan Fischer mógł jedynie ratować honor kraju, ale niczym szczególnym się nie wślawił. W efekcie, mimo pewnych sukcesów, czeska prezydencja jest określana jako czas straconych szans i niespełnionych nadziei.

Czy taki sam los spotka sąsiednią Słowację? Nie można tego wykluczyć, bo sytuacja polityczna nad Dunajem jest wyjątkowo niestabilna. Z drugiej strony, chęć maksymalnego wykorzystania tych słowackich pięciu minut zdaje się przeważać. Niewykluczone, że mimo problemów Słowacja pozytywnie nas wszystkich zaskoczy. Czy tak się stanie, przekonamy się już za kilka miesięcy.

Bratysława kładzie też nacisk na utrzymanie dotychczasowego kształtu polityki spójności, utworzenie unii energetycznej oraz na ekologię – w tym rozwój energetyki odnawialnej, efektywniejszego wykorzystywania surowców wtórnych i większej dbałości o zasoby wody pitnej.

Słowacja jest prawdziwym potentatem – tak zwana Wyspa Żytnia na południu Słowacji (między Dunajem a Małym Dunajem i Wagiem) to największy w Europie Środkowej zasobnik wody

ekstremistycznych – ujawnił się już w marcu, podczas wyborów parlamentarnych, na których neofaszystowska Ludowa Partia Nasza Słowacja Mariana Kotleby uzyskała znakomity wynik



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Służba zdrowia i terroryści

Gra o zdrowie i gra zdrowiem

W debacie politycznej i dyskursie publicznym powtarzają się cyklicznie w ramach każdej kampanii wyborczej pewne tematy. Wśród nich poczesne miejsce zajmuje służba zdrowia. Kolejki do specjalistów, czas oczekiwania na operacje, dostępność badań – wątków mnóstwo, zainteresowanie publiczności gwarantowane, uwaga wyborców zdobyta. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić, że temat „wypływa” automatycznie, gdy trzeba zdobyć głosy wyborców, udowodnić tezę o fatalnej kondycji kraju, bądź indolencji aktualnie rządzącej partii, jakakolwiek by ona nie była. Nie każdego obywatela interesują spółki skarbu państwa, polityka energetyczna, czy poziom inwestycji, a zdrowie to ta kategoria, która żywo zajmie każdego. Tym samym, tematem można umiejętnie „grać” na emocjach obywateli, czy niezdecydowanych wyborców.

Logika Kalifatu

Co ciekawe, zachowując wszelkie proporcje i dystanse, podob-

na taktykę zdają się przyjmować terroryści z tzw. Państwa Islamskiego (ISIS). To zbrodnicza organizacja, która na zajętych przez siebie terytoriach w Iraku i Syrii utworzyła Kalifat o bardzo restrykcyjnie zorganizowanym porządku prawnym i społecznym. Fundamentalisci islamscy sięją strach, rządzą w sposób niezwykle brutalny i mają aspiracje na kolejne podboje, sięgające daleko poza obszar Syrii, czy nawet Lewantu. Organizacja doskonale zna siłę medialnego przekazu i szybko opanowała media społecznościowe, zaczęła wydawać własne magazyny, produkować filmy i muzykę. Od proklamacji Kalifatu (29.06.2014 r.) wciąż zachęca muzułmanów z całego świata, by stali się obywatelami utworzonego na terenach należących do Syrii i Iraku quasi państwa. Oficjalne publikacje ISIS pełne są zapewnień o duchowych korzyściach płynących z przybycia na tereny Kalifatu, a także doskonałej organizacji państwa i jego instytucji. Terroryści także odwołują się do jakości służby zdrowia, która ma być miernikiem komfortu życia w rządzonym przez nich państwie. W dziewiątym numerze magazynu *Dabiq* zamieszczono obszerną charakterystykę funkcjonowania służby zdrowia na terenach ISIS; „Państwo Islamskie dostarcza muzułmanom rozległej opieki zdrowotnej, prowadzi szpitale i kliniki we wszystkich głównych miastach i oferuje szeroki zakres usług medycznych: od poważnych operacji chirurgicznych po stawianie baniek. Te instytucje wspomagają sieć aptek prowadzonych przez wykwalifikowanych farmaceutów [...]”.

Lekarz Brodaty i dializy

W artykule zamieszczono tabele z danymi pokazującymi ilość różnego rodzaju świadczeń medycznych wykonywanych miesięcznie w dwóch tylko szpitalach w prowincji Aleppo (Halab). W wykazie znajdziemy między innymi: badanie USG (400), porody (576), testy laboratoryjne (15.688), sesje dializ (442), transfuzje krwi (1.151), operacje – chirurgią ogólną (140). Uzupełnieniem artykułu są zdjęcia. Pierwsze z nich, wykonane w formacie A4 pokazuje brodatego lekarza w nienagannie wyprasowanym fartuchu i masce chirurgicznej, kolejne pokazują bardzo nowoczesne wnętrza, inkubatory, sprzęt medyczny i pacjentów w trakcie zabiegów fizjoterapii. Trud-

no orzec, czy zdjęcia pokazują realnie istniejące placówki medyczne, czy to po prostu fragment skopiowanego folderu reklamowego jakiejś kliniki.

Razem, ale osobno

Inne oficjalne publikacje terrorystów informują, że administracja ISIS mając na względzie ciągły napływ emigrantów, a także stałe poszerzanie swego terytorium, zadbała, by lekarzy nie zabrakło. W tym celu stworzono nowy program studiów medycznych. Studia na kierunku lekarskim trwają 3 lata (6 semestrów), uczą tylko praktycznych, przydatnych na co dzień umiejętności, eliminują teoretyczne przedmioty nie mające nic wspólnego z leczeniem, a także przedmioty ogólnokształcące (tzw. pseudo-nauki), które są po prostu zbędne. Uniwersytety w mieście Raqqa i Mosulu przyjmują zarówno kobiety, jak i mężczyzn, nauka odbywa się jednak oddzielnie. Państwo Islamskie wspiera swoich obywateli, dlatego studenci nie płacą czesnego, mają zapewnione wyżywienie, ubranie, mieszkanie, transport i książki, poza tym, dostają stypendia. Jak wynika z wywiadu z koordynatorem spraw studenckich, na 300 złożonych podań, 100 zostało rozpatrzonych pozytywnie. Połowa z zakwalifikowanych studentów to obcokrajowcy, którzy wyemigrowali w niedawnym czasie do Syrii i Iraku.

Rajskie pokusy

Choć obecna kadra profesorska jest cwykształcona i ma wysokie kwalifikacje, władze uniwersyteckie liczą na przyjazd nauczycieli akademickich z innych krajów muzułmańskich. Równie gorąco oczekiwani są muzułmańscy studenci, a szczególnie ci, którzy studiuje w krajach niewiernych czerpiąc ze wszystkich zakazanych przyjemności, jakie oferuje Zachód. Jeśli naprawdę chcą się przysłużyć muzułmańskiej społeczności, powinni przyjechać do Syrii i Iraku, gdyż tutaj czekają ich świetne warunki i wciąż relatywnie łatwo jest tu przyjechać; „Państwo Islamskie oferuje wszystko, czego potrzebujesz, więc na co jeszcze czekasz?” – pyta retorycznie anonimowy autor.

Felieton napisany we współpracy z dr Karoliną Wojtasik z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego

Z ADAMEM PASTUCHEM

p.o. dyrektora Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach
rozmawia TADEUSZ SIERNY



Regionalny Instytut Kultury „bankiem wiedzy” o regionie

– We wrześniu minionego roku Sejmik Województwa Śląskiego podał do publicznej wiadomości informację o zamiarze i przyczynach połączenia dwóch instytucji kultury funkcjonujących dotychczas w Katowicach: Regionalnego Ośrodka Kultury w Katowicach (ROK) oraz Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego (ŚCDK) i utworzenia wojewódzkiej instytucji kultury pod nazwą Regionalny Instytut Kultury w Katowicach (RIK). Jakie przesłanki skłaniały inicjatorów tego przedsięwzięcia do sformułowania określenia nowej instytucji kultury – nazwą Instytutu Kultury? Czy jest to może próba kontynuacji działań organizacyjnych podejmowanych swego czasu przez Tadeusza Kijonkę, mających na celu stworzenie w przyszłości w Katowicach Państwowego Instytutu, podobnie jak to się stało ostatnio w Poznaniu?

– Zaznaczmy już na wstępie, że Regionalny Instytut Kultury ustanowiony został jako instytucja kultury o charakterze upowszechnieniowym i naukowo-badawczym. Kluczem zatem do odczytania misji RIK są przede wszystkim dwa słowa: kultura i upowszechnianie. Prace naukowo-badawcze traktować należy w tym ujęciu jako niezbędną bazę wiedzy i to bazę profesjonalną, tworzoną w kooperacji z zewnętrznymi wyspecjalizowanymi jednostkami naukowymi.

Wiem, że pan Tadeusz Kijonka jest rozgoryczony niepełnym powodzeniem swoich starań w sprawie restytucji w Katowicach samodzielnej śląskoznawczej placówki naukowo-badawczej. Myślę, że niesłusznie. Nośna idea wszakże pozostała. Dziś powiedzieć można tyle, że łatwo jest instytucję zlikwidować i zdyskredytować (przypadek Śląskiego Instytutu Naukowego z 1992 roku), jednak bardzo trudno

zbudować od nowa i przydać jej niezbędnego prestiżu. Przy tym jeszcze – koszt takiej odbudowy zawsze wielokrotnie przeraża korzyści kosztowe odniesione w trakcie likwidacji. Zauważmy, że i obowiązujący stan prawny w sferze organizacji polskiego życia naukowego i możliwości finansowe Województwa Śląskiego (bo przecież to samorząd wojewódzki byłby pewnie na początku promotorem tworzenia nowego instytutu), praktycznie i obiektywnie uniemożliwiają teraz myślenie o wielkim instytucie śląskim. Mówię o „wielkim”, bo na dobrą sprawę wyłącznie o taki warto by toczyć boje. A za tym sformułowaniem kryje się nowoczesna infrastruktura, spełniająca wymogi parametryzacyjne, kadra naukowa, poważne nakłady finansowe na pierwsze projekty badawcze. Ale – i tu optymistycznie – wszystko przed nami! Województwo Śląskie zrobiło już pierwsze kroki, mam tu na myśli IBR i RIK; środowiska akademickie wyraźnie, także w sferze humanistyki, nauk społecznych i ekonomicznych, wchodzi w fazę rozkwitu, coraz dynamiczniej dążąc do kreowania przedsięwzięć interdyscyplinarnych; prężny jest okołokulturowy ruch miłośnictwa regionalnego. Sądzę, że to właśnie – nawet wbrew temu, co sam mówi – dobra wiadomość dla Tadeusza Kijonki na osiemdziesiąte urodziny. Narasta grunt pod przyszłe zasiewy i dobre plony. A kultura to przecież uprawa...

Wracając do kwestii samego nazwania nowej instytucji mianem „Instytut”. Mam tu do czynienia z odwołaniem do dobrych, sprawdzonych rozwiązań zastosowanych wcześniej przez samorządy silnych kulturotwórczo ośrodków – Gdańska, Krakowa i Warszawy. Na Pomorzu działa bowiem Instytut Kultury Miejskiej, w Krakowie – Małopolski Instytut Kultury, w Warszawie – Mazowiecki Instytut Kultury. Dodajmy jeszcze dla porządku, że funkcjonuje także Instytut Kaszubski. Warto przypomnieć, że Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach w ostatnich latach, na wielu polach, współpracował z wymienionymi Instytutami, a najsilniej, co poniekąd oczywiste, z Małopolskim Instytutem Kultury.

Zwróćmy także uwagę na fakt, że na poziomie państwowym, w minionej dekadzie, ukształtował się model realizowania polityki kulturalnej poprzez wyspecjalizowane instytucje sektorowe, będące agendami Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W tak zbudowanym układzie funkcjonalnym minister odpowiedzialny za sprawy kultury i dziedzictwa narodowego zachował dla siebie prerogatywy związane z zarządzaniem budżetowymi środkami krajowymi i zagranicznymi, administrowaniem legislacyjnym oraz nadzorem nad narodowymi instytucjami kultury, powierzając jednocześnie wykonywanie zadań merytorycznych na obszarze kraju sprofilowanemu instytutom – Instytutowi Książki, Instytutowi Teatralnemu im. Zbigniewa Raszewskiego, Instytutowi Adama Mickiewicza, Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej, Narodowemu Instytutowi

Dziedzictwa, Instytutowi Muzyki i Tańca, Narodowemu Instytutowi Audiowizualnemu.

Kończąc ten nurt rozważań, chcę powiedzieć, że w moim rozumieniu Regionalny Instytut Kultury w Katowicach będzie zarówno „bankiem wiedzy” o kulturze regionu, dziedzictwie materialnym i niematerialnym, problemach kultury współczesnej, jak i nowoczesnym, sprawnym, efektywnym popularyzatorem tej wiedzy, wykorzystującym do tego celu dobrodziejstwa najnowszych technologii informatycznych. Stanie się być może także promotorem i przekaznikiem strategicznych treści polityki kulturalnej Województwa Śląskiego w samorządach lokalnych.

Kultura dialogu i współpracy

– **Do jakiej klasy zespołów definicji kultury odwoływać się będzie w swej codziennej praktyce badawczej i realizacyjnej Instytut?**

– Definiowanie kultury było przedmiotem nieustannego sporu wewnątrz Regionalnego Ośrodka Kultury w Katowicach. Mogę tylko przypuszczać, że będą optować za uwypukleniem materialnego, cywilizacyjnego aspektu kultury. Teraz przecież wszyscy potencjalnie możemy być „twórcami kultury”, zniknęły granice między kreowaniem a odbiorem kultury, ba – obraźliwe jest pokazywanie rozgraniczenia między wybitną osobowością a wytworem popkulturowym. Poprawność polityczna nakazuje nam sprytnie dryfowanie w „płynnej nowoczesności”. Podam prosty przykład z naszego regionalnego podwórka. W moim odbiorze regionalizm jest naturalną, czystą i oczywistą reakcją na globalizm i unifikację. Wyrazistą społeczną reakcją kulturową. Ale jeśli nałożymy na to siatkę polityczną, to co dostaniemy? Prosty odruch kulturowy dostanie „gębę” niepożądanego aktu odszczepieńczego. Jaki „zespół definicji kultury” do tego przyłożyć? A żaden. Nie da się. Proszę wybaczyć.

Mogę powiedzieć tyle – jak długo przyjdzie mi kierować Regionalnym Instytutem Kultury, tak długo będę obstawał przy kulturze dialogu, kulturze współpracy, kulturze szacunku, kulturze żywej, otwartej. Będę orędownikiem humanistycznego nurtu kultury – bez uprzedzeń traktującego odmienności, poszukiwania tożsamościowe, myśli odmienne od obowiązującego standardu. Nigdy nie powiem o tym, że wypełniam misję obrony jakiejś „racji stanu”. Człowiek buszujący w różnych „klasach zespołów definicji kultury” nie może bowiem tak postąpić. W moim odczuciu może jedynie diagnozować i definiować niedostatki czy deficyty współczesne – takie choćby jak wszechogarniający brak zaufania społecznego – i podejmować próby redukcji złych zjawisk. Może także, przy użyciu dostępnych mu instrumentów, starać się przeciwdziałać

zjawiskom wyniszczającym tkankę kultury – ubóstwu, wykluczeniu, osamotnieniu, lękości, atomizacji.

Dla mnie definicja kultury sprowadza się do rozumnego i przyjaznego obcowania ze sobą ludźmi takimi, jacy są, i bez względu na to, skąd przychodzą. Minimalizm? Być może.

– **Sejmik Województwa Śląskiego w kwietniu br. podjął uchwałę o połączeniu od 1 czerwca 2016 roku ROK i ŚCDK w jedną instytucję pod nazwą Regionalny Instytut Kultury. Określił także zakres działań Instytutu, precyzując te zadania w Statucie RIK nadanym w dniu 18 kwietnia 2016 roku. Zakres obowiązków nałożonych na Instytut jest wyjątkowo szeroki i różnorodny. Działalność kulturalna, w myśl przepisów ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej, sprowadza się do trzech zagadnień: tworzenia, upowszechniania i ochrony kultury. Która z tych dziedzin będzie dominować w pracach RIK?**

– Otóż terazniejsza „działalność kulturalna”, żeby miała sens i znaczenie, musi być w najwyższym stopniu kreatywna. Jej cechą immanentną musi być zatem nieustanne weryfikowanie granic, ich przekraczanie, łamanie barier. Sukces RIK-u upatruję w tym właśnie, że funkcjonował będzie w układzie „hybrydowym” – testującym zastane reguły działania i proponującym, nawet za cenę błędów, koncepcje nowe, odpowiadające faktycznym potrzebom społecznym. Organizator RIK – Województwo Śląskie – oczekuje od nowej instytucji nowej jakości. Myślę, że bezpowrotnie mija czas instytucji kultury, instytucji artystycznych – „wież z kości słoniowej”. Drastycznie zmienia się otoczenie społeczne, aktywne kulturalnie stają się kolejne generacje, a wraz z nimi pojawiają się odmienne od dotychczasowych

w różnych formach sektora kultury w dążeniu do pomnażania owego kapitału.

– **Jest pan zobowiązany do przygotowania planu finansowego instytucji kultury, z zachowaniem wysokości dotacji organizatora instytucji. Jaki budżet dla RIK-u projektuje pan na rok 2017. Jaka jego część przeznaczona będzie na prowadzenie badań nad kulturą?**

– Tak, obowiązkiem dyrektora jest przygotowanie planu rzeczowo-finansowego instytucji kultury. Pracujemy już nad tym. Myślę, że momentem właściwym dla konkretyzacji takiego planu na 2017 rok będzie przełom sierpnia i września tego roku. Nie będę ukrywał, że jest to kwestia delikatna. Budżet kultury Województwa Śląskiego – choć w liczbach bezwzględnych systematycznie wzrastający – dla mniejszych instytucji szczególnie łaskawy nie jest. Będę zabiegał o to, by Regionalny Instytut Kultury w Katowicach, jako instytucja nowa w strukturze budżetowej Województwa Śląskiego, pierwsza powstała z połączenia dwóch instytucji wojewódzkich, w pewien sposób pionierska więc, przynajmniej na starcie uzyskała pewne preferencje dotacyjne. Tym bardziej że w żadnym wypadku nie będę artykułował wygórowanych oczekiwań. Zależy mi tylko na tym, żeby standing finansowy RIK-u na początku był poprawny, uwzględniający elementarne potrzeby programowe i kadrowe. Celowo nie podaję konkretnych liczb, bo na to za wcześnie. Trzeba dopiero rozmawiać.

Dla ostatecznego kształtu finansów instytucji, ale także dla rozległości działań programowych, ważny jest także format pozyskiwania środków spoza budżetu Organizatora. W naszej dotychczasowej pracy wielokrotnie aplikowaliśmy o pieniądze z programów Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego,

Teraz przecież wszyscy potencjalnie możemy być „twórcami kultury”, zniknęły granice między kreowaniem a odbiorem kultury, ba – obraźliwe jest pokazywanie rozgraniczenia między wybitną osobowością a wytworem popkulturowym.

aspiracje i preferencje. Ludzie zaczynają się inaczej organizować, inaczej komunikować, inaczej reagować na globalną unifikację. Wreszcie, dlatego, że cyfryzacja bezpowrotnie zmiołła współzależność między porządkami organizacyjnym kultury a porządkiem estetycznym. Wszystko to nie może pozostać bez wpływu na sposób istnienia instytucji, będących przecież – mimo wszelkich zmian – fundamentem życia kulturalnego. Instytucje publiczne nie mogą nie dostrzegać ręki darczyńcy – ręki podatnika. Nie mogą lekceważyć jego woli.

Powołaniem Regionalnego Instytutu Kultury jest przede wszystkim gromadzenie wszelkich danych opisujących stan regionalnego kapitału kulturowego, czytając – kapitału społecznego, możliwie szerokie upowszechnianie pozyskanej wiedzy, a w ślad za tym – wspieranie

współorganizowaliśmy przedsięwzięcia kulturalne z partnerami w samorządach lokalnych czy bratnich instytucjach kultury, kooperowaliśmy z komercyjnymi podmiotami gospodarczymi. Dzięki takiemu nastawieniu realizować możemy na przykład przez najbliższe lata projekt *OperatorKultury.pl*, stworzony w ramach programu Narodowego Centrum Kultury *Bardzo Młoda Kultura*. To niezwykle śmiałe przedsięwzięcie badawcze, szkoleniowe i animacyjne, służące łączeniu wysiłków animatorów kultury i kadry nauczycielskiej w budowaniu nowoczesnych form edukacji kulturowej. RIK wykonywał będzie ten projekt jako jeden z szesnastu w kraju, wyłonionych w drodze konkursu, wojewódzkich operatorów *Bardzo Młodej Kultury*. Jesienią tego roku finalizować będziemy wieloletnie etnologiczne prace projektowe pod tytułem

Tropem badaczy Zagłębia Dąbrowskiego. To również projekt unikatowy – ROK Katowice jako pierwszy w historii rozpoczął kompleksowe badania zagłębiowskiego dziedzictwa kultury niematerialnej, uzyskując na ten cel pieniądze z MKiDN.

Z tego, co mówię, dość jasno wynika, że po pierwsze – inicjowanie i prowadzenie znaczących prac badawczych w kulturze będzie z całą pewnością kontynuowane, po drugie – jesteśmy przygotowani na tworzenie nośnych propozycji badawczych, interesujących i dla naszego Organizatora, i dla donatorów w skali ogólnopolskiej.

Innowacyjny Klaster Kultury Regionu

– W Katowicach, w uczelniach publicznych i prywatnych, a przede wszystkim w Uniwersytecie Śląskim i Uniwersytecie Ekonomicznym, Akademii Sztuk Pięknych, Akademii Muzycznej, muzeach, pracuje liczne grono zarówno samodzielnych pracowników nauki, jak i doktorów, zajmujących się problematyką kultury. Jaki będzie mechanizm współpracy RIK z tymi i innymi ośrodkami naukowymi i edukacyjnymi?

– Kształtowanie sieci partnerstw traktujemy jako przyszłościową, podstawową metodę prowadzenia działalności. Podobne nastawienie mamy wobec pracy metodą projektu.

Chcę zaproponować, by Regionalny Instytut Kultury w Katowicach zmierzał do stworzenia swoistego klastra kultury śląskiej. Klaster Kultury Regionu chcę widzieć jako innowacyjną, nowoczesną i efektywną strukturę organizacji życia kulturalnego. W moim zamyśle RIK wypełniałby rolę punktu koncentracji i lidera długiego procesu budowania sieci powiązań formalnych i nieformal-

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach będzie zarówno „bankiem wiedzy” o kulturze regionu, dziedzictwie materialnym i niematerialnym, problemach kultury współczesnej, jak i nowoczesnym, sprawnym, efektywnym popularyzatorem tej wiedzy, wykorzystującym do tego celu dobrodziejstwa najnowszych technologii informatycznych.

nych instytucji kultury, ośrodków akademickich, edukacyjnych i oświatowych, organizacji pozarządowych, podmiotów gospodarczych, pojedynczych, aktywnych w kulturze, osób. W tak zarysowanym zamyśle kooperacyjnym ujawnia się przestrzeń współpracy dla wszystkich innowacyjnie o kulturze myślących osób.

O koncepcji tworzenia Klastra Kultury Regionu mówię po raz pierwszy. Na razie to mój autorski pomysł. Wymaga on dalszego namysłu i dopracowania, szczegółowej analizy w zespole RIK. Wierzę jednak, że zostanie przyjęty pozytywnie i rozwinięty.

– Czy przewiduje pan współpracę lub rywalizację z Instytutem Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej, utworzonym

także w ramach instytucji kultury tegoż samego Województwa Śląskiego?

– Przyszłość jest wyłącznie we współpracy. Ale jest i przeszłość. W przeszłości pan profesor Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej, był przewodniczącym Rady Programowej Regionalnego Ośrodka Kultury w Katowicach. Pan profesor Ryszard Kaczmarek, zastępca dyrektora Biblioteki Śląskiej do spraw Instytutu Badań Regionalnych, był i jest autorem współpracującym z naszymi kwartalnikami „Fabryka Silesia”. Nie wymaga to chyba szerszego komentarza. To są fakty.

– **Wewnątrz RIK, jako wyspecjalizowana jednostka wewnętrzna Instytutu – jak sformułowano to w Statucie RIK – funkcjonować będzie Śląskie Centrum Dziedzictwa Kulturowego, którego działalnością kierować będzie wskazany przez Zarząd Województwa zastępca dyrektora RIK. Czy taki dualizm organizacyjny i kompetencyjny w strukturze Instytutu nie będzie przeszkodą w sprawnym zarządzaniu nowym instytutem?**

– Nie jest pan jedynym wypowiadającym wątpliwość, co do zasadności takiego zapisu organizacyjnego w Statucie RIK. Co więcej, w dniu 20 maja 2016 roku powstało „Rozstrzygnięcie nadzorcze” Wydziału Nadzoru Prawnego Wojewody Śląskiego, stwierdzające nieważność tego właśnie paragrafu Statutu Instytucji. Informacja o tym rozstrzygnięciu została nam przekazana 31 maja 2016 roku, w przededniu inauguracji działalności Regionalnego Instytutu Kultury, kiedy to z rąk dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego, pana Przemysława Smyczka, odbieraliśmy powołania dyrektorskie. Nie muszę chyba mówić, że znaleźliśmy się w sytuacji – mówiąc delikatnie – trudnej. Pozwoliłem sobie wtedy zaproponować, co uzyskało aprobatę Zarządu Województwa Śląskiego, by w trybie pilnym

przygotować „Regulamin organizacyjny RIK”, a więc wewnętrzny już dokument Instytucji, uwzględniający funkcjonalną specyfikę Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego i przynajmniej na tym poziomie chroniący wartościową markę tego podmiotu. „Regulamin organizacyjny RIK” ustanawia działania pięciu działów programowych – Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego, Regionalnego Obserwatorium Kultury, Regionalnego Laboratorium Kultury, Akademii Kadr Kultury oraz Fabryki Silesia. Nie ma zatem mowy o dualizmie organizacyjnym czy kompetencyjnym. Niezmiernie zależy mi na tym, by możliwie bezkonfliktowo doprowadzić do integracji dwóch odmiennych środowisk instytucjonal-

nych, ale także odrębnych kultur zarządczych. Jeśli pozwoli mi pan na odrobinę prywaty, to chęć publicznie podziękować za profesjonalizm wszystkim moim współpracownikom, a szczególnie – koordynującej finanse pani Iwonie Wyżolik i „ogarniającej” kadry oraz wszystko wokół pani Agacie Żybek. Dzięki wniesionemu zaangażowaniu, śmiało powiedzieć mogę, że Regionalny Instytut Kultury w Katowicach – po miesiącu zaledwie istnienia – działa normalnie, jest gotów do podejmowania wszelkich wyzwań programowych.

„Mapa drogowa” i nowa strategia

– **Dotychczas Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach zajmował się monitoringiem „Strategii Rozwoju Kultury w Województwie Śląskim na lata 2006-2020”. Zapewne prace te będzie kontynuować RIK. Czy wobec nasilających się tendencji dezintegracyjnych w województwie śląskim, sporów wokół rozumienia treści pojęcia tożsamości regionalnej, historii Śląska, perspektyw regionu, zarysowanych np. w „Strategii Rozwoju Regionu Południowego”, oraz innych aktach planistycznych Województwa, nie należałoby otworzyć na nowo dyskusji nad koncepcją, treścią i priorytetami „Strategii Rozwoju Kultury” naszego województwa w bieżącej i przyszłej perspektywie lat 2021-2027, oraz obowiązującej „Strategii Rozwoju Kapitału Społecznego”?**

– Tym pytaniem trafia pan w mój czuły punkt. Razem pracowaliśmy przecież dość intensywnie przy organizacji Kongresu Kultury Województwa Śląskiego w 2010 roku, razem ostatecznie przygotowaliśmy redakcyjnie jego konkluzje i rekomendacje. No i teraz moglibyśmy wiele, wiele godzin strawić na rozmowie o rzeczywistych efektach Kongresu, a pośrednio także – o realnym wymiarze zapisów „Strategii Rozwoju Kultury w województwie śląskim na lata 2006-2020”. Na wszelki wypadek nie zaczynamy takiej rozmowy...

Powiem za to o czymś innym. W minionym miesiącu, mimo obłędu reorganizacyjnego, znaleźliśmy w RIK-u czas na wstępne rozpatrzenie idei perspektywicznej współpracy Instytutu z władzami Województwa Śląskiego. Chcemy nakłonić Województwo Śląskie do tego, by Regionalnemu Instytutowi Kultury w Katowicach powierzyło całość prac organizacyjnych i merytorycznych związanych z syntezą monitorującą obowiązującej „Strategii”, a dalej – kompleks działań przygotowujących nową strategię na lata 2021-2030.

Bardzo skrótowo rzecz ujmując, proponujemy, żeby Województwo Śląskie dało nam możliwość sprawdzenia odmiennie od dotychczasowych metodologii budowania strategii rozwoju kultury w regionie. W metodologii tej zamierzamy ściśle powiązać działania „parakongresowe” z przybliżaniem treści finalnej

strategii. Będę intensywnie zabiegał o aprobatę dla takiego właśnie rozwiązania. Decyzje organizacyjne potrzebne będą jednak już teraz. Przekracza granice mojej wyobraźni, żeby – w sytuacji powołania Regionalnego Instytutu Kultury – można było powierzyć opracowanie nowej regionalnej strategii rozwoju kul-

– Katalog zadań najbliższych jest niebezpiecznie obszerny. Zawierają się w nim i sprawy wewnętrzne Instytutu, i sprawy jego publicznego funkcjonowania. Do tego dochodzi jeszcze kwestia zapowiedzianego przez Zarząd Województwa Śląskiego konkursu na stanowisko dyrektora Instytutu. Wiem, że nie zabrzmi

cze. Ukaze się ósmy tom *Wiadomości konserwatorskich województwa śląskiego* dopieszczanych przez urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Jacka Owczarka i Ewę Caban, czwarty tegoroczny numer kwartalnika *Fabryka Silesia* pod hasłem, tak to przynajmniej przewiduje redaktor naczelny kwartalnika Krzysztof Karwat, „Nowi Ślązacy”, publikacja projektowa *Tropem badaczy Zagłębia Dąbrowskiego* firmowana przez Roberta Garstkę, autorski album fotograficzny Arkadiusza Goli poświęcony zlikwidowanej kopalni *Kazimierz Juliusz* w Sosnowcu, z Muzeum w Sosnowcu przygotowany. Przecież wymusza to wręcz potrzebę silnej inwazji promocyjnej. Będziemy to robić. To też zadanie na najbliższy czas. Chcę mocno promować fantastyczną publikację Anny Syski *Podróż ku nowoczesności. Architektura XX wieku w województwie śląskim*.

Maciej Zygmunt, Aleksander Lysko i Łukasz Dziuba z Regionalnego Obserwatorium Kultury pracują nad regrantingiem w projekcie *OperatorKultury.pl*, Małgorzata Mazur tworzy *Akademii Kadr Kultury RIK*, Jacek Kowalski-Krawczyk z Tomaszem Molitorem w *Regionalnym Laboratorium Kultury* zaczynają wysyłać ofertę uczestnictwa w opracowanym przez siebie podwójnym teatralnym projekcie warsztatowym, Hanna Kostrzewska z Martą Rosół zastanawiają się, jak negocjując z mną afiliowanie przy RIK ogólnopolskiego pisma internetowego rodem z Katowic *Reflektor – rozświetlamy kulturę*. I tak dalej, i tak dalej. Katalog zadań – powiedziałem – jest niebezpiecznie obszerny.

I jeszcze życzenie na koniec. Pracujemy. Regionalny Instytut Kultury będzie się roz-

Cyfryzacja bezpowrotnie zmiotła współzależność między porządkiem organizacyjnym kultury a porządkiem estetycznym.

tury jakimkolwiek podmiotowi ze wewnętrznemu, a tak była zrobiona teraz-niejsza strategia.

Nakreśliliśmy już w RIK, wspólnie z kolegami z Regionalnego Obserwatorium Kultury, „mapę drogową” tworzenia nowej strategii dla kultury województwa śląskiego. Na jej podstawie możemy stwierdzić, że do prac koncepcyjnych trzeba przystąpić już jesienią tego roku. W latach następnych, począwszy od drugiej połowy 2017 roku, uruchamiać będziemy w cyklu półrocznym, wielkie fora problemowe, „parakongresowe” właśnie, służące bardzo szczególnie omówieniu rudymmentarnych zagadnień rozwoju kultury w województwie. Myślmy o forach problemowych, nie zaś branżowych – takie przecież już działają jako efekt Kongresu 2010. Według naszej koncepcji – nie będzie jednego wielkiego kongresu kultury. Będą za to rozłożone w czasie (2017-2020) kolejne, zwarte merytorycznie, poważne debaty, spotkania, seminaria diagnostyczno-konkluzywne, przeprowadzane w różnych miejscach województwa śląskiego. Chcemy zapewnić przy tym pełną publiczną otwartość prowadzonych prac. Dla ostatecznego opracowania strategii – na bazie zgromadzonego wcześniej wiarygodnego materiału analitycznego – zamierzamy powołać interdyscyplinarny zespół ekspercki (być może załączek Regionalnego Klastra Kultury?), który dokonana syntezy zgromadzonej wiedzy i doprecyzuje ostateczny format strategii.

W RIK-owskiej „mapie drogowej” roboczo wyznaczaliśmy pięć pól rozważań strategicznych i nadaliśmy im umowne nazwy: *Śląskie dla współpracy samorządowej*, *Śląskie dla integracji kultury*, *Śląskie dla mecenatu*, *Śląskie dla sieci kooperacji* i *Śląskie dla Europy*. Gotowa propozycja do dyskusji i weryfikacji. Regionalne Obserwatorium Kultury RIK jest dostępne. Mamy na ten etap czas do jesieni. Zapraszamy!

#kultura_slaskie 3.0

– Zarząd Województwa Śląskiego w dniu 24 maja 2016 roku powierzył panu pełnienie obowiązków dyrektora RIK. Jest pan doświadczonym, kompetentnym, o długim stażu profesjonalnym menedżerem kultury. Jakie zadania planuje pan zrealizować w najbliższym czasie?

to dobrze, ale staram się szczerze odpowiadać na Pańskie pytania, więc zaryzykuję – jestem w tym konkretnym kontekście w sytuacji dość szczególnej i mocno niekomfortowej. Moim celem najbliższym jest wskazanie jasnej perspektywy rozwoju, perspektywy korzystnej dla każdej osoby w Instytucie. Nie jest to proste, ufam jednak, że spokojny dialog przyniesie z czasem właściwy skutek.

Trzeba popracować pilnie nad rozpoznawalnością nowej marki. Robimy konkurs na logo Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach oraz pełnego wizualnego otoczenia tej marki. Liczymy na wsparcie ze strony katowickiej Akademii Sztuk Pięknych.

Wspólnie z moimi zastępcami: Małgorzatą Mazur i Jackiem Owczarkiem koncepcyjujemy, jak najefektywniej wypełnić plany programowe „złamanego” 2016 roku, a jednocześnie wytworzyć spójny plan roku przyszłego; w ciągu najbliższych dwóch miesięcy musimy ostatecznie zamknąć bilansowo i rzeczowo działalność Regionalnego Ośrodka Kultury w Katowicach oraz Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach. Zaczę-

Według naszej koncepcji – nie będzie jednego wielkiego kongresu kultury. Będą za to rozłożone w czasie (2017-2020) kolejne, zwarte merytorycznie, poważne debaty, spotkania, seminaria diagnostyczno-konkluzywne, przeprowadzane w różnych miejscach województwa śląskiego.

liśmy prace nad przygotowaniem pokaznego unijnego projektu, którego celem jest ustabilizowanie obecności wszystkich instytucji kultury Województwa Śląskiego w przestrzeni cyfrowej. RIK wziął na siebie zobowiązanie wytworzenia wartościowego projektu cyfrowego. Nazwaliśmy go na roboczo i ślicznie poetycko *#kultura_slaskie 3.0*. Znacznik 3.0 wskazuje przy tym na preferowanie informacji publicznej w dostępie cyfrowym. I głosimy się teraz, czy wpisywać w ten projekt nasze inne koncepcje cyfrowe – *Okna kultury i Kultura znaczy...*, czy też szukać dla nich innych źródeł finansowania. Na przykład przyłączenie pomysłu *Okien kultury* mam przyzwolenie jego twórcy, Ryszarda Mościckiego. O *Kulturę znaczy...* nie muszę się martwić, bo sam ją wymyśliłem. Tylko, jak to wszystko zrobić? Oto dylemat.

W perspektywie najbliższych miesięcy mamy jeszcze obszerne plany wydawni-

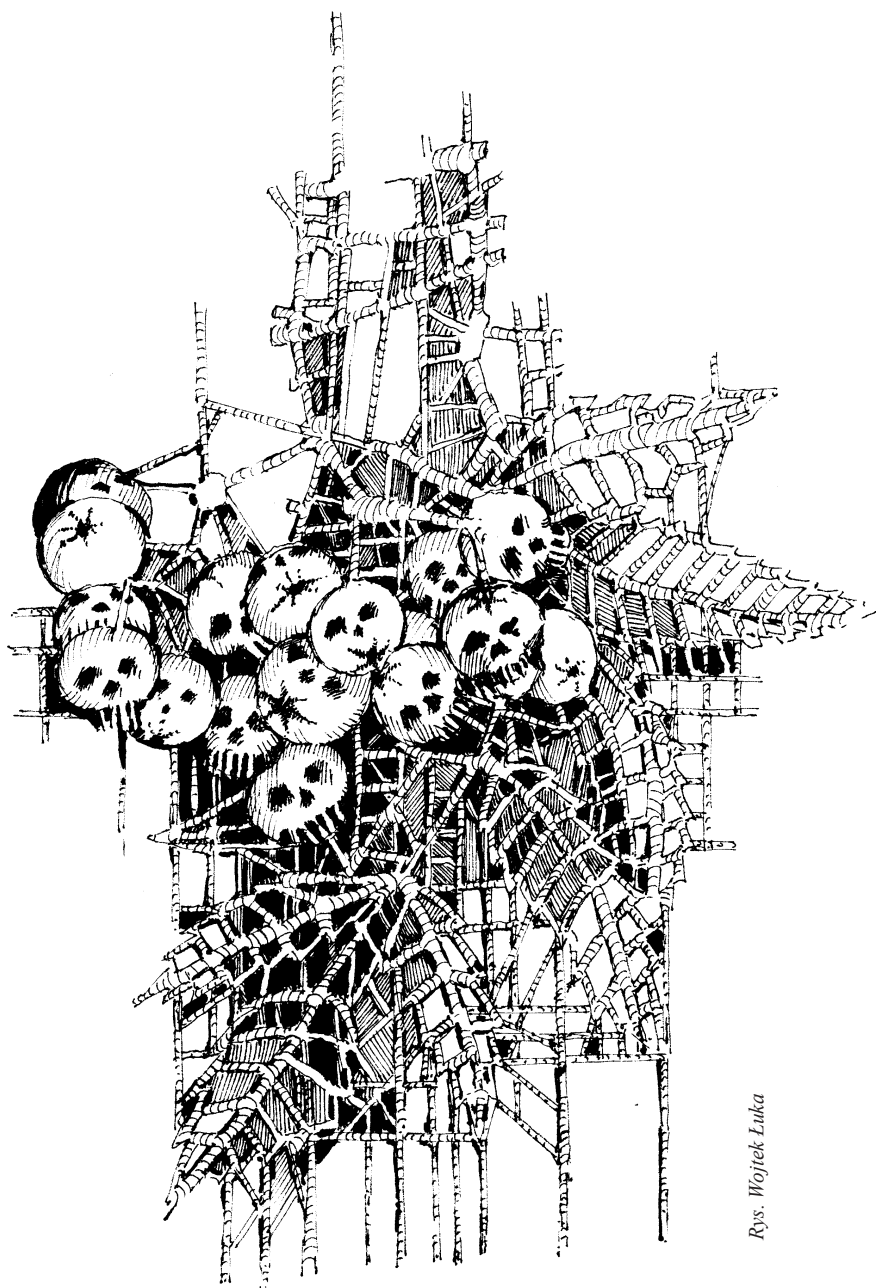
wijał. Proszę, by miesięcznik „Śląsk” czynnie partnerował naszym przedsięwzięciom. Rozwijał się wraz z nami. Kultura regionu potrzebuje wielu umysłów i rąk. Może razem z Górnośląskim Towarzystwem Literackim będziemy tworzyć Regionalny Klastr Kultury? A jeśli nie, może pomyślimy o nowoczesnym konsorcjum wydawniczym?

Nie wspomnieliśmy dotąd – w kontekście różnorodnych poszukiwań współpracy – o Górnośląskim Związku Metropolitalnym ani o Obserwatorium Procesów Miejskich i Metropolitalnych Uniwersytetu Śląskiego. Może powinniśmy porozmawiać z panią prezydent Małgorzatą Mańką-Szulik i panem rektorem Tomaszem Pietrzykowskim? Czy nie?...

– Życzę powodzenia w realizacji tych ambitnych planów, deklaruję najdalej idącą chęć współpracy i współdziałania GTL i RIK. Dziękuję za bardzo inspirującą rozmowę.

NESTOR POETÓW?

Pisanie wierszy po dziewięćdziesiątce
widocznie jest niezwykłą propozycją
korespondenci piszą do mnie „zacny”.
To sprawa młodego ducha, fantazji
brawurowej ostentacji, wymowy
oparcia o bogatą bibliotekę
wieszczą wenę, kaznodziejskie zapęły
a ja z motyką na słońce, choć grożą
demencja i alzheimer, zapominam
słów, czekam na nie długo, ale ufam
że przyjdą i cierpliwym warowaniem
umiem zbierać wierszyk dość sensowny.
A może pobiję rekord Guinnessa
może zostanę Nestorem poetów?



Rys. Wojtek Łuka

RAPORT O STANIE UNII

Piszę wierszyki, aby się upewnić
że umysł jeszcze zdolny jest rozróżniać.
O wiele gorzej jest już z mobilnością
bo nogi mi się płaczą, kiedy chodzę.
Nie nadaję się zupełnie na „stacza”
tak więc mogą być spokojni stoicy
gdyż nie stanowią żadnej konkurencji.

DYLEMAT HAMLETA

Obserwujemy regularność zjawisk
by ustanowić prawa i mieć pewność orientacji w otaczającym świecie.
Wszelkie odchylenia od normy zaraz
nas niepokoją i burzą przyjęty
ład akceptowany przez bystry rozum
i jego doświadczone stypulacje.
Na jarzębinie za oknem zostały
dojrzałe owoce, które innymi
laty znikają wcześniej w orgii ptaszej
inwazji, tajemniczego najazdu.
Czyżby tu niezbadany instynkt zawiódł
zaistniały inne motywy, grały
odmienne uwarunkowania, cechy
nieobliczalne, nieuchwytne ludzkiej
percepcji i pojętności? Horacja
Hamlet próbował o tym uświadomić.
A my po latach pilnego szukania
nie odkryliśmy lepszej filozofii.



Jak Ślązacy relikwie z domu Świętego Jana z Kęt zabierali

GRZEGORZ SZTOLER

Cofniemy się nieco w czasie, by opowiedzieć o rosnącym kulcie Jana Kantego, który pochodził z położonego na pograniczu śląsko-małopolskim miasteczka Kęty, a także roli, jaką odegrali tu śląscy pielgrzymi. Bo przecież także oni tu docierali.



Przypomnijmy dla porządku pewne fakty. Urodzony – jak się podaje – 23 lub 24 czerwca 1390 roku w Kętach przyszedł polski święty, mając 23 lata podejmując studia w Krakowie, które kończy w 1418 roku w stopniu magistra sztuk. Święcenia kapłańskie przyjmuje w kościele Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Tuchowie aktualnie będącym sanktuarium ojców redemptorystów. Następnie prowadzi szkołę klasztorną u miechowskich bożogrobców, gdzie m. in. przepisuje (kopiuje) dzieła religijne (szczególnie św. Augustyna), co staje się pasją jego życia podobnie jak głoszenie kazań. Od 1429 roku zaczyna wykładać na Akademii Krakowskiej równocześnie studiując teologię – magisterium z niej otrzymał w 1443 roku. W tym też czasie został kanonikiem i kustozem w Olskuszu. Pielgrzymuje kilkakrotnie do Rzymu. Zmarł 24 grudnia 1473 roku w Krakowie. Beatyfikowany został 27 września 1680 roku przez papieża Innocentego XI, a jego kanonizacji dokonał 16 lipca 1767 roku papież Klemens XIII.

Liturgiczne wspomnienie św. Jana Kantego przypada na dzień 20 października. Święty Jan Kanty jest patronem Polski, głównym patronem Archidiecezji Krakowskiej, miasta Krakowa,

profesorów, młodzieży, studentów, „Caritas”, szkół katolickich. W ikonografii przedstawia się go jako kapłana w ornatie, czy też jako teologa i profesora, w to-dze i birecie doktorskim na głowie, z księgą w dłoni.

I Kraków, i Kęty kochają Kantego

Mimo że w XVII stuleciu od śmierci Jana Kantego upływało dwieście lat, pielgrzymki do miejsca jego urodzenia – a więc do Kęt, a także do miejsca jego śmierci – do Krakowa, nie ustawały. Janina Bieniarzówna badając ówczesny fenomen popularności krakowskiego profesora, wyjaśnia, iż „w świetle badanych materiałów, zwłaszcza akt procesu kanonizacyjnego 1667 r. i zeznań świadków mówiących o ciągłości kultu, Jan Kanty jawi się jako ktoś trwale obecny w pamięci ludzkiej, jako mąż wielkiego miłosierdzia, jako potencjalny orędownik w sprawach trudnych i nieraz beznadziejnych”²¹. Do Kęt – jak czytamy w aktach procesowych – przybywali licznie pielgrzymi, zwłaszcza ze sąsiedniego Śląska, ofiarując pielgrzymkę do miejsc narodzin świętego w zamian za cudowne uzdrowienie. Poza tym „lud śląski powracając się z Kalwariey, i z Krakowa, od grobu tegoż świętego, nawiedzali dom ten w Kęcicach, w którym się urodził, i tam się modlili, i z nabożeństwa przeciwko temu świętemu za relikwie z drzewa trzasku łupali, i z sobą brali”²². Zresztą na tymże procesie z 1667 roku, o zasięgu kultu Jana z Kęt zaświadczył starosta gniewkowski Jan Koryciński „wymieniając wśród pielgrzymów do jego grobu Litwinów, Ślązaków, Niemców, przybyszów z Prus, Moraw i Węgier”²³. Wielu z nich docierało też do miejsca narodzin świętego męża.

Wkrótce też w Kętach zadecydowano o postawieniu patronowi miasta kaplicy. Pisze Jan Rodak, iż „stąd na skutek działań oddolnych i popularyzacji kultu świętobliwego męża zaistniała w Kętach realna potrzeba stworzenia miejsca, gdzie ten kult mógłby się rozwijać. Skromny domek, gdzie według tradycji narodził się przyszedł święty, nie zabezpieczał rosnącego z czasem zapotrzebowania dewocyjnego. Sam budynek [rodzinny dom Jana z Kęt], wzniesiony jeszcze w XIV wieku, na skutek >łupania trzasek< stawał się zapewne z biegiem lat ruiną i już w początkach XVII stulecia groził nie tylko zawaleniem, ale także pielgrzymom”²⁴. Przyspieszenie, zdynamizowanie spraw związanych z oficjalnym zatwierdzeniem kultu Jana z Kęt miało miejsce właśnie w XVII stuleciu.

Cuda i łaski wiodą na ołtarze

Przypomnijmy, iż kult wokół osoby tego świętobliwego męża, profesora Akademii Krakowskiej, zrodził się za-

raz po jego śmierci 24 grudnia 1473 roku. Utrwały ten stan rzeczy doznane cuda i łaski za wstawiennictwem Jana z Kęt, wypraszone u jego grobu w kolegiacie akademickiej św. Anny w Krakowie. Było ich tyle, że zaczęto je spisywać, a nieco później – ponieważ kult Jana z Kęt zataczał coraz szersze kręgi – podjęto starania o wyniesienie krakowskiego uczonego na ołtarze. Wspomina o tym po raz pierwszy arcybiskup gnieźnieński Jan Łaski w swoim liście skierowanym do ojców soboru laterańskiego V z 20 kwietnia 1514 roku, gdzie znalazła się wzmianka o zamierzonej kanonizacji Jana z Kęt i kilku innych otoczonych powszechną świętością Polaków. Arcybiskup wystosował też, w czasie trwania obrad soborowych, prośbę datowaną na 20 października 1514 roku, adresowaną do papieża Leona X w sprawie kanonizacji Kingi (Kunegundy), Jacka, królewicza Kazimierza, syna króla Kazimierza Jagiellończyka oraz Jana Kantego. Niestety, inicjatywa ta nie znalazła początkowo wsparcia ani wśród elit politycznych ówczesnego Królestwa Polskiego, ani wśród episkopatu. Nawet krakowska Alma Mater, jak podaje J. Rodak, „której wychowankiem, a później dziekanem Wydziału Artium był Jan Kanty, nie czyniła żadnych starań wokół wyniesienia ma ołtarza swego profesora”²⁵. Dopiero wszczęta w II połowie XVI w. batalia z jezuitami m.in. o wpływy w szkolnictwie średnim zmieniła nastawienie Akademii Krakowskiej. Dlatego w 1627 roku bp krakowski Marcin Szyszkowski, na prośbę krakowskich akademików, rozpoczęła prace przygotowawcze do wszczęcia procesu beatyfikacyjnego na szczeblu diecezjalnym. Przewód otwarto uroczysto 3 kwietnia, zakończono już 13 lipca 1628 roku, a zgromadzone akta przesłano do Rzymu. I choć początkowo – z powodu bliżej nieznanych błędów proceduralnych – proces nie uzyskał akceptacji Stolicy Apostolskiej, już w następnym roku Kongregacja Obrzędów wydała biskupowi krakowskiemu zgodę na kontynuowanie procesu partykularnego. W międzyczasie jednak, w 1634 roku, zaostrzono przepisy dotyczące postępowań przy procesach beatyfikacyjnych. Tak więc w efekcie proces Jana z Kęt należało przeprowadzić od początku, wedle nowych zasad, by udowodnić ciągłość jego kultu, co szło – co tu ukrywać – niezmiernie opieszale. Nawet misja wysłannika Akademii Krakowskiej do Rzymu, Jana Waxmana, kanonika katedralnego krakowskiego i sekretarza królewskiego, w sprawie beatyfikacji Jana Kantego z 1641 roku, nie przyniosła niczego konkretnego²⁶. Dopiero rozpoczęty w 1667 roku na szczeblu diecezjalnym kolejny, drugi już proces beatyfikacyjny przyniósł przełom. Janina Bieniarzówna pisze:

„Prace komisji kierowanej przez biskupa Mikołaja Oborskiego trwały do 5 marca 1668. Protokoły obrad i prze-



W tym miejscu właśnie, gdzie wznosi się kaplica św. Jana Kantego, stał dawniej jego rodzinny dom, z którego pielgrzymi zabierali małe fragmenty na pamiątkę. Może jeszcze w niektórych śląskich domach zachowały się takie relikwie?

sluchan świadców, z których każdy odpowiadał na 30. identycznych pytań, prowadzone były bardzo starannie. Materiały przesłano do Rzymu, gdzie sprawa utknęła znowu na kilka lat i dopiero 21 marca 1676 roku Kongregacja Obrzędów zatwierdziła opinię biskupa Oborskiego odnośnie do trwającego od niepamiętnych czasów kultu Jana Kantego. Przeważając 28 marca t.r. [tegoż roku] papież Klemens X potwierdził postanowienie Kongregacji⁷⁷.

Natomiast J. Rodak doprecyzowuje: „W dniu 21 marca 1676 roku Kongregacja Obrzędów wydała >Dekret zatwierdzający kult Jana z Kęt od niepamiętnych czasów< (Decretum approbationis cultus ab immemorabili tempore b. Ioannis Cantii), zatwierdzony następnie przez papieża Klemensa XIII (28 marca 1676), co było równoznaczne z aktem beatyfikacji⁷⁸. Ta decyzja była przełomem – przełomem na który czekano, zarówno w Krakowie, jak i Kętach. Może nawet bardziej w Kętach.

Ukochany przez mieszkańców Patron miasta

Kęczanie czekali, ale byli od dawien dawna pewni, że Jan jest święty. Modlili się do niego, otrzymywali łaski, widzieli innych – pielgrzymów, którzy tu, do Kęt, do miejsca narodzenia świę-

tobliwego Jana, przychodzili od dziesięcioleci, od pokoleń. Wzrusza lektura akt procesowych i tego co mówią na nim kęczanie. Tkacz Jan Młynarski, przedstawiciel popularnej w Kętach profesji, podkreśla rzecz dla niego – i wszystkich ówczesnych mieszkańców miasta – oczywistą: „wzdyć nie masz tego człeka w Kęcicach, ba i około nich po wsiach i miasteczkach, żeby się do niego nie uciekali i łaski wielkiej nie doznawali⁷⁹. Nic dziwnego Sacra Rituum Congregatio wydała 17 września 1680 roku decyzję beatyfikacyjną przychylając się tym samym do prośby króla polskiego Jana III Sobieskiego kierowanej do papieża¹⁰.

22 października 1702 roku miało miejsce równie doniosłe wydarzenie – za sprawą księdza Marcina Oślińskiego (ok. 1647-1720), profesora teologii i rektora Akademii Krakowskiej, prowizora ówczesnej kaplicy św. Jana Kantego w Kętach – do rodzinnego miasta Kantego sprowadzono jego relikwie: „ksiądz Marcin Ośliński... jako patriota tameczny [tamtejszy], relikwią świętego Jana Kantego do Kęt i kaplicy Narodzenia jego z Krakowa z sobą przywiózł i tam ją złożył. Co dopiero [miasto] Kęty ten to skarb najpiękniejszy raz otrzymało i nim się zaszczycą⁸¹.

Natomiast w 1714 roku świętowano święto Patrona Kęt po raz pierwszy 21 października, a nie 6 października jak

dotąd (tą datę naznaczył od Innocentego III, obchodzono ją od 1680 roku). Powód tej zmiany tłumaczy Komoniecki decyzją synodu biskupów krakowskich z 6 października 1711 roku, na którym postanowiono „aby do Stolicy Apostolskiej suplikować, żeby to święto ze dnia 19 Octobris [19 X] przemienione i przeniesione bywało na niedzielę zawsze trzecią Octobris [października]. Jakoż tak stało się z pozwoleniem Ojca Świętego papieża Klemensa XI, i najpierwej to święto tego roku 1714 zaczęło się celebrować w tę niedzielę...⁸²

Świętobliwa Ludowika, też rodem z Kęt była

Ale nie tylko kultem Jana Kantego słynęły XVII-wieczne Kęty. Wiele łask tutejsi obywatele doznali dzięki wstawiennictwu swojej rodaczki, której poświęcono nawet ulicę:

„Roku Pańskiego 1623 dnia 25 kwietnia pobożna i błogosławiona Ludwina, rodziczka z miasta Kęt z uciwych rodziców, ojca Mateusza i matki pobożnej matrony obywatelów kęteckich narodzona, mając lat wieku swego 60, w Rzymie świętobliwie i cudownie umarła – opisuje ją na łamach żywieckiej kroniki Andrzej Komoniecki. – Ta w młodości swojej w Kętach przy rodzi-

cach będąc, było pasaża, i gdy ją na polu nadeszły pielgrzymki do Rzymu idące, wzięły ją z sobą. Gdzie ona świątobliwie żyjąc przez lat trzydzieści, statie kościołów rzymskich obchodząc, groby świętych bożych nawiedzała, modlitwy święte z płaczem odprawowała, a lubo była ucześniczką habitu zakonu trzeciego świętego Franciszka, jednak przy kościele a la Minerva Ojców Dominikanów najczęściej bywała i tam różaniec święty, klęcząc przy drzwiach, z modlitwami odprawowała i z jałmużny żyła i przez swoje pobożne uczynki i doskonały żywot świątobliwą i błogosławioną się stała i duszę swoją Panu Bogu, jako obłubieńcowi swemu oddała. Po śmierci do ciała jej wszytek Rzym z wielkim tłumem przychodził, bo wielom była [znana] wiadomość jej świątobliwości; którą trudno pogrzyć było, aż dnia trzeciego. A tę pogrzebiono z wielką uciążnością w kościele świętego Stanisława, po lewej stronie ołtarza świętego Jacka. Do której uciekający [się] wiele łask za jej przyczyną doznawają i za świętą poczytają.⁷¹³

Do świątobliwej Ludowiki z Kęt pielgrzymują i dzisiaj kęczenie. Jedną z takich relacji osobistych jest refleksja zamieszczona w „Allmanachu Kęc-kim” przez księdza Piotra Leśniaka, który poszukiwał śladów swej rodaczki w Rzymie w kościele Najświętszego Zbawiciela i św. Stanisława biskupa przy via delle Botteghe Oscure. To miejsce – jego zdaniem – powinno się stać „celem pielgrzymek nawiedzających Wieczne Miasto”¹⁴. Ponieważ każdy europejski, i dodajmy chrześcijański, naród zabiegał, by mieć w Rzymie własny kościół, i Polacy, a konkretnie kardynał Stanisław Hozjusz wspomagany ofiarnością króla Stefana Batorego i jego żony królowej Anny Jagiellonki, czynił podobne starania – z efektem. Polski kościół, wzniesiony na ruinach antycznego teatru Balbusa, w 1591 roku konsekrował kardynał Jerzy Radziwiłł z Krakowa. Tutaj właśnie mieszczą się dwa kęckie akcenty: św. Janowi Kantemu – „dedykowany jest późnobarokowy obraz znajdujący się w bocznym ołtarzu. Św. Jan z Kęt przedstawiony jest jako jałmużnik rozdający szaty ubogim. Jest to dzieło Salvatore Monosilio. Wizerunek naszego świętego widnieje także na sklepieniu świątyni wśród wielu polskich świętych. (Jak podają zapiski, św. Jan Kanty pielgrzymował pieszo do Rzymu)¹⁵. Drugim „kęcckim akcentem” w rzymskiej świątyni ufundowanej dzięki zabiegom kardynała Hozjusza jest właśnie świątobliwa Ludowika – „przy przejściu z nawy do prezbiterium natknijemy się na tablicę ku czci pobożnej Ludowiki z Kęt, zmarłej w 1623 roku, która także pielgrzymowała do Wiecznego Miasta i pozostała tam do końca życia. Przez lud rzymski uznana została w swoim czasie za świętą”¹⁶.

Także i kęczenie, w uznaniu jej cnót i pobożnego życia, nadali jednej z ulic



Wnętrze kaplicy

jej imię. Niewątpliwie – miasteczko to z uwagi na swą niezwykłą historię zasługuje na więcej uwagi. Może jeszcze przyjrzymy się Kętom i ich dziejom ze śląskiej perspektywy.

¹ Janina Bieniarzówna, *Postać św. Jana Kantego w świadomości społecznej ludzi XVII wieku*, [w:] *Święty Jan Kanty. W sześćsetną rocznicę urodzin 1390-1990*, [oprac.] Roman M. Zawadzki, Kraków 1991, s. 87.

² Jan Rodak, *Architektura i dzieje kościoła pw. św. Jana Kantego w Kętach, Kęty-Kraków 2014*, s. 25; J. Bieniarzówna, *Postać św. Jana Kantego...*, s. 100. Cytat pochodzi z akt procesowych znajdujących się w Bibliotece Jagiellońskiej, sygn. BJ 138, k. 316v.

³ J. Bieniarzówna, *Postać św. Jana Kantego...*, s. 95.

⁴ J. Rodak, *Architektura i dzieje kościoła...*, s. 26.

⁵ Tamże, s. 28.

⁶ J. Rodak, *Architektura i dzieje kościoła...*, s. 29-30.

⁷ J. Bieniarzówna, *Postać św. Jana Kantego...*, s. 100.

⁸ J. Rodak, *Architektura i dzieje kościoła...*, s. 51. Zob. R. M. Zawadzki, *Dzieje kanonizacji św. Jana z Kęt*, [w:] *Clementisdivina...*, s. 121. O opieszałości w kanonizacji Jana z Kęt pisze również obszernie ks. Władysław Gasidło, *Świętego Jana z Kęt długa droga na ołtarze*, „Allmanach Kęccki” X (2006), s. 21-27; tegoż, *Świętego Jana z Kęt długa droga na ołtarze*, cz. II, „Allmanach Kęccki” XI (2007), s. 4-19.

⁹ J. Bieniarzówna, *Postać św. Jana Kantego...*, s. 98.

¹⁰ Tamże, s. 101.

¹¹ Andrzej Komonicki, *Chronografia albo Dziejopis żywiecki [w którym roczne dzieje spraw przeszłych, staro-dawnych miasta Żywca i pobliskich jego miejsc znajdują się...]*, [wyd.] Stanisław Grodziski i Irena Dwornicka, Żywiec 1987, s. 285.

¹² Tamże, s. 453.

¹³ *Chronografia...*, s. 137-138.

¹⁴ Ks. Piotr Leśniak, *Moja pielgrzymka po Rzymie śladem świątobliwej Ludowiki z Kęt*, „Allmanach Kęccki” IV (2000), s. 21.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Tamże.



Laureat tegorocznej nagrody Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie: profesor Stanisław Sławomir Nicieja ze „Ślązaczka” – rzeźbą prof. Piotra Gawrona. Nagrodę wręczył laureatowi Franciszek Pieczka.

Stanisław Sławomir Nicieja przyszedł na świat pod znakiem Wagi – 4 października 1948 roku w Strzegomiu na Dolnym Śląsku. Znawcy horoskopów powiadają, że urodzeni pod tym znakiem kochają książki i prowadzą badania naukowe, są koneserami muzyki i sztuki, zawsze elegancko ubrani, wykazują dobre manery i takt, zwracając również uwagę na zachowanie tych cech przez innych ludzi. Zapewniam, że nie jest to wstęp do panegiryku, ale szkic przybliżający osobowość honorowanego dzisiaj Laureata.

Kiedy Stanisław Sławomir Nicieja w 1968 roku rozpoczyna studencką przygodę w Opolu, rozpościera nad nim dyskretnie swoje skrzydła Fortuna, z gałązką oliwną i rogiem obfitości. Młody adept historii pomaga szczęściu, pracowicie zdobywa wiedzę i rozwija talenty, aktywnie uczestniczy w życiu akademickim i po magisterium w 1973 roku w macierzystej Wyższej Szkole Pedagogicznej, rozpoczyna błyskotliwą karierę, wspinając się coraz wyżej po stopniach naukowych awansów, uzyskując w roku 1993 tytuł profesora zwyczajnego, zwieńczeniem tej drogi staje się insygnia rektorskie Uniwersytetu Opolskiego, którymi społeczność akademicka honoruje profesora Stanisława Nicieję przez cztery kadencje od 1996 do chwili obecnej. W swoim dorobku prof. Nicieja posiada ponad 800 publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym 26 książek poświęconych: tematyce kresowej, dziejom nekropolii oraz historii opolskich uczelni. Jego monografia Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie została sprzedana w rekordowym nakładzie 250 tys. egzemplarzy, Stanisław Nicieja jest również autorem 25 filmów dokumental-

LAUDACJA

ku czci

Stanisława Sławomira Nicieji – historyka, profesora, doktora habilitowanego nauk humanistycznych, rektora Uniwersytetu Opolskiego, senatora Rzeczypospolitej Polskiej V kadencji, kustosa pamięci Lwowa i miast kresowych, wizjonera i budowniczego *Alma Mater Opoliensis* i *Wzgórza Uniwersyteckiego – Mons Universitatis*, kreującego uniwersalną i wyjątkową przestrzeń, poszukiwania prawdy i pielęgnowania śląsko-kresowej pamięci, stanowiącej ważną część dziedzictwa kulturowego współczesnej Europy.

nych dla Telewizji Polskiej, ukazujących historię i współczesne oblicze kresowych zamków, cmentarzy i miast. Za swoje dokonania uzyskał tak wiele wyróżnień, laurów i nagród, że nie sposób wymienić wszystkich w krótkim wystąpieniu, ale warto wspomnieć o nagrodzie Karola Miarki, *Glorii Artis* i o Nagrodzie KLIO (zwanej polskim Noblem dla historyków), którą Profesor otrzymał w ubiegłym roku wspólnie ze swoim wydawcą Bogusławem Szybkowskim za serię „Kresowa Atlantyda – historia i mitologia miast kresowych”, wielotomowe dzieło, ocalające od zapomnienia dzieje blisko 200 miast II Rzeczypospolitej, które pozostały za wschodnią granicą Polski po drugiej wojnie światowej.

Pełniąc funkcje rektora doprowadził do rozkwitu Uniwersytet Opolski wzo-

sząc lub remontując kilkadziesiąt obiektów uczelnianych na czele z *Collegium Maius*, *Collegium Civitas*, *Collegium Minus* oraz *Collegium Pedagogicum*, bo jak powiedział w jednym z wywiadów:

– Uniwersytet powinien być czynnikiem miastotwórczym, dającym mieszkańcom miasta pracę i wiedzę, ale musi też emanować potencjałem intelektualnym na region i kraj, dawać szanse i wyzwalać ludzkie ambicje, powinien być magnesem przyciągającym wszystkich tych, którzy mają predyspozycje do tworzenia nauki, kultury, oświaty, rozwijania gospodarki.

Utworzenie Uniwersytetu Opolskiego nie było zadaniem łatwym, wielu nie życliwych ironizowało „A po co uniwersytet w takim małym Opolu?”, wówczas Profesor Nicieja odpowiadał niedowiarkom, że Opole może być w Polsce silnym miastem

akademickim na miarę uniwersyteckich miast europejskich: Heidelbergu, Fryburga, Uppsali czy też Getyngi. Aby zrealizować dzieło swojego życia potrafił zgodnie współpracować z wieloma osobistościami życia społeczno-politycznego naszego kraju, a wszyscy wiemy jak o to trudno w naszej skomplikowanej rzeczywistości. Dzięki zaangażowaniu księdza arcybiskupa Alfonsa Nossola realny stawał się pomysł, aby w Opolu po zmianach systemowych dokonać odważnego eksperymentu i połączyć Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Opolu z filią KUL – na wzór klasycznego uniwersytetu z teologią i prawem. Ostatecznie Jan Paweł II dał swoje pozwolenie na realizację tego pomysłu i spełniły się marzenia wielu Opolan, aby na własnym Uniwersytecie młodzież Śląska Opolskiego mogła studiować „doma”.

Rektor nie spoczął po tym sukcesie na laurach, oprócz wielkiej inwestycji jaką było zbudowanie *Collegium Maius*, przystąpił do tworzenia intelektualnej oraz duchowej formacji młodego Uniwersytetu, który Jego zdaniem ma być miejscem spotkania, dialogu i współpracy środowiska akademickiego z wybitnymi postaciami ze świata sztuki, kultury i polityki. Wkrótce wiele znakomości zostało obdarzonych i z radością przyjmuje tytuły doktorów honorowych UO: są wśród nich m. in.: pisarze: Stanisław Lem, Tadeusz Różewicz, naukowcy: Dorota Simonides, Zbigniew Religa, Bogdan Suchodolski, Jan Miodek, Janusz Tazbir, Henryk Samsonowicz, artyści i ludzie kultury: Adam Hanuszkiewicz, Wojciech Kilar, Kazimierz Kutz, Jerzy Janicki, Krzysztof Zanussi, Daniel Olbrychski, politycy: Ryszard

Kaczorowski, Lech Wałęsa, Hans Gerd Pottering, Władysław Bartoszewski, duchowni: Jan Paweł II, arcybiskup Alfons Nossol, Karl Lehmann biskup Moguncji i Miroslav Vlk – arcybiskup praski, prymas Czech. Podniosłym uroczystościom wręczenia laurów, za każdym razem podczas święta uczelni, towarzyszą liczne wydarzenia kulturalne, artystyczne i naukowe. Nazwiska laureatów wyryto złotymi literami na marmurowej tablicy w *Collegium Maius*.

Kiedy przechodzimy ścieżką otulającą *Mons Universitatis* pozostawiamy zgiełk miasta i zwalniamy na chwilę. W tym miejscu, gdzie czas przybiera od wieków kształt granitu, brązu i piaskowca – powraca z oddali sentencja Cycerona: *Cum tacent, clamant – Kiedy milczą, krzyczą* – odslaniając przed nami sekretną naturę gwiazd i kamieni. Na mostku po prawej stronie kolumna z figurą św. Krzysztofa, świadectwo świetności pałacu w Kopicach, dawnej siedziby Karola Goduli i jego przybranej córki – śląskiego kopciuszka Joanny Gryzikówny – hrabiny von Schafgotsch. W pobliżu możemy zobaczyć Agnieszkę Osiecką z plikiem rozsypanych wierszy, Grotowskiego spoglądającego za horyzont, Niemena stojącego z gitarą, Marka Grechutę i wytwornych Starszych Panów w cylindrach na głowach. Wszyscy zniechęceni w brązowych figurach, tylko Janusz Kofta spóźniony, wchodzi po schodach do gmachu uczelni, na zajęcia. Mijamy panteon polskiej piosenki i podchodzimy do kościoła na Górcę oraz studni św. Wojciecha. Przechodnie mijają w pośpiechu przykościelny skrawek ziemi, nad którym wznoszą się horyzontalnie dwie pły-

ty nagrobne i kapliczka. Pod pierwszym epitafium spoczął Edmund Jan Osmańczyk (1913–1989), a pod drugim ks. prałat Wacław Kucharz (1931–2006) urodzony w Stanisławowie. Dwa epitafia, dwa kamienie opolskiego mikrokosmosu, ukazujące śląsko-kresową przestrzeń owocującej pamięci, której kustoszem od lat jest prof. Stanisław Sławomir Nicieja.

Baltazar Gracjan hiszpański jezuita siedemnastego wieku w „Brewiarzu dyplomatycznym” wypowiada maksymę: **Słowa łącznie z czynami tworzą doskonałość człowieka** stanowiącą sumę dokonań życiowych Profesora, coraz częściej umykającego do wiejskiej Niciejówki w Pępicach, gdzie w zaciszu murów dawnej pastorówki scala lekkim piórem rozbity witraż kresowej pamięci, wypełniając testament Jerzego Janickiego, który usynowił Pisarza mianem – najmłodszego dziecka miasta Lwowa – i tak oto powstają kolejne tomy „Kresowej Atlantydy” – dzieła, które już dawno przekroczyło wymiar literacki i stanowi dziś ogólnopolski fenomen społeczno-kulturowy, związany z przywracaniem pamięci, stanowiącej sumę biografii kresowych rodzin, zarówno znanych, jak też już zapomnianych na kartach historii.

Na spotkania autorskie z Profesorem do reprezentacyjnych sal metropolii i do wiejskich świetlic przychodzą tłumy czytelników, przynosząc rodzinne pamiętki i opowieści. Powiększa się archiwum kresowe Pisarza – tysiące zdjęć, dokumentów, teczek, filmów i listów, o które troszczy się Pani Halina, żona, sekretarz, kierowca a przede wszystkim piękna i mądra Muza u boku Profesora – kustosa śląsko-kresowej pamięci, podążającego za słowami śląskiego mecenasa nauki i sztuki – księcia Jerzego II Piasta, który w sali Śląskiego Wawelu, gdzie 400 lat po jego śmierci zrodziła się idea powołania Uniwersytetu Opolskiego, powtarzał potomnym łacińską dewizę: *Straverunt alii nobis nos posteritati....* Jedni budują dla nas – my dla następnych pokoleń – a nam wszystkim Chrystus drogę do gwiazd....” tak zaprawdę profesor Stanisław Sławomir Nicieja – romantyk w poszukiwaniu piękna i pozytywista w działaniu, stojąc na Wzgórzu Uniwersyteckim w Opolu wśród kamiennych świadków śląskiej historii sięga coraz wyżej do gwiazd.

Laudację wygłosił
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCİK

Warszawa, 26 kwietnia 2016 roku, Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II Carroll-Porczyńskich, uroczystość wręczenia tegorocznych nagród Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie.

Janusz Ireneusz Wójcik – członek Zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, współpracownik miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, długoletni dyrektor departamentu kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego, obecnie doradca Marszałka Województwa Opolskiego.



Profesor Stanisław Sławomir Nicieja i autor laudacji Janusz Ireneusz Wójcik



Panorama Cieszyna

Kornela Filipowicza wojny religijne

Bracia odłączeni w oczach dziecka

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ



„Na parterze, na szarej, okopcanej ścianie, zawieszony wysoko pod sufitem wisiał ogromny Chrystus na krzyżu. Drzewo było poczerńiałe, ale Chrystus był niedawno polakierowany na biało; na twarzy, rękach i nogach miał czerwoną krew. Rana w boku była głęboka i także czerwona w środku. Przeżyłem chwilę niepewności – czy przeżegnać się, czy nie, bo to mógł być Chrystus ewangelicki. Ostatecznie poskrobałem się po piersiach, tak jak to robiła moja matka, kiedy mijała kościół. Potem obejrzałem się – nie było nikogo”. (*Ziemia obiecana*).

Ten krzyż będący znakiem własnej, a także cudzej wiary dostrzegło dziewięcioletnie dziecko, które w wyniku zawirowań dziejowych, po utracie domu rodzinnego na Kresach, znalazło swą „ziemię obiecaną” w Cieszynie. Oczarował on od początku małego przybysza

pięknym, urozmaiconym górzystym pejzażem, układającym się w pewnej opozycji do równinnego kraju lat najmłodszych:

„Okolice, w czasie wyrzuciło mnie w czasie snu morze – była zupełnie niepodobna do krajobrazu mojej ojczyzny, to jest miejsca, gdzie się urodziłem. Ziemia nie była tutaj płaska, jak w moich stronach, tylko pofalowana. Była jakby w ciągłym, bardzo powolnym, niewidocznym dla oka ruchu. Wznosiła się i opadała, tworzyła doliny i wzgórza. Wzgórza, pokryte były kolorowymi pasami zagonów albo porośnięte lasem. Daleko, poza i ponad nimi, wznosiły się góry, były granatowe, a dalej widać było jeszcze wyższe góry – niebieskie. Ponad górami wznosiły się chmury, bardzo do gór podobne” (*Odkrycie nowego łądu*). Bardzo znamienne wydaje się to zestawienie: „coraz wyżej” z płaskością i nizinnością – od razu zapowiada ono atrakcyjność owej ziemi obiecanej, jej nie tylko przenośną ale i dosłowną „wyższość” nad pożegnanym pejzażem. Nowa przestrzeń będzie co krok czymś zaskakiwała: czystymi, jakby świeżo wysprzątanymi ulicami, wodociągami i elektrycznością, ludźmi, którzy może mieli mniej poczucia humoru – a „więcej poczucia rzeczywistości”, byli bardzo uczciwi i solidni, choć ich mowa czasem bywała niezrozumiała. Była to też kraina zróżnicowana kulturowo i wyznaniowo; żyli tu obok siebie katolicy i protestanci, z którymi rodzina mieszkająca na Kresach Wschodnich wcześniej się nie zetknęła.

Tę odmienną i zróżnicowaną pojmowaną jako bogactwo w opowiadaniach Kornela Filipowicza, (głównie z tomu *Białe ptaki*) jednego z najwybitniejszych polskich prozaików powojennych, mistrza krótkich form, będziemy początkowo postrzegać trójako: oczyma matki i babki, ojca – i dziecka, a w miarę jego dorastania, prezentowany będzie już tylko młodzieńczy punkt widzenia. Bohater, a zarazem narrator – najpierw kilku- a potem kilkunastoletni chłopiec jest wrażliwym, nie uwikłanym w żadne stereotypy i konwencje, dzieckiem oglądającym świat z wielką świeżością i w zadziwieniu. Często to zadziwienie wyraża się w podstawowych pytaniach egzystencjalnych, na które z niezwykłą dojrzałością – przeważnie sam odpowiada.

Rodzina, w której dorastał chłopiec nie była zresztą jakoś żarliwie religijna, wprawdzie babka wieczorami odmawiała nowennę do Matki Boskiej i ona też, gdy była wielka cisza mówiła „anioł dom przeleciał” (*Fortepian*), co ogromnie działało na wyobraźnię dziecka, próbującego sobie wyobrazić anioła. W czasie wigilii śpiewano kolędy *Wśród nocnej ciszy, Bóg się rodzi, Lulajże Jezuniu*, chodzono czasem na pasterkę, wzywano też imienia Bożego w nadzwyczajnych okolicznościach – ale w sumie robiło to wszystko wrażenie pewnego

obyczaju, a nie przeżycia. Jednak takie wychowanie wystarczyło, by chłopiec rozumiał, co oznacza krzyż, choć nie bez znaczenia była też zapewne jego głęboka wewnętrzna wrażliwość.

Dla matki i babki bulwersujący był fakt, „... że ci ewangelicy nie zdejmują kapeluszy i nie żegnają się przed kościołem ani przed krzyżem” (*Ziemia obiecana*) i że jest ich tak dużo, prawie połowa mieszkańców miasta! Wstrząsające jest dla nich i to, że religia protestancka, z którą się na Kresach nie zetknęły, jest tak bardzo podobna do katolickiej: wiara w tego samego Chrystusa, chrzest, spowiedź, komunie – przy równoczesnym nie uznawaniu papieża i surowości wystrój kościołów; chłopcu zresztą też kościół protestancki wydawał się zimny.

Bardzo podejrzane i „dwuznaczne” wydawało się matce i babce też to, że ludzie wyznający tę religię przeważnie uważali się za Polaków, modlili się po polsku i śpiewali psalmy tłumaczone przez Kochanowskiego (*Odkrycie nowego łądu, Wojny religijne*). Wszakże żadnej z nich nie przyszła do głowy myśl, by o to zapytać księdza, czy sięgnąć do jakiegś ksiągki i jakoś w ten sposób próbować zrozumieć. Ich trochę plotkarskie dyskusje toczone przy stole, w obecności dziecka mogły w jego głowie spowodować chaos pojęciowy i stać się źródłem uprzedzeń.

Dla ojca – nie miało to żadnego znaczenia, ale tylko pozornie, bo przecież z pewnym upodobaniem, a może i przekorą odwiedzał, ubrany ze szczególną starannością, kościół ewangelicki, a nawet bóżnicę. To powodowało jeszcze większą bezradność dziecka, zmagającego się z problemem: nasz Bóg i cudzy Bóg?

Przy stole w czasie dysput na te tematy ojciec przeważnie milczał lub w sposób bardzo rzeczowy wskazywał na wyższość cywilizacyjną życia protestantów i demokratyzm cieszyńskiej ludności. Natomiast, gdy zaczęły się w mieście rodzić nastroje antysemityczne – ojciec (ale także pastor! jak informuje narrator) zdecydowanie bronił Żydów i wszystkie oskarżenia pod ich adresem określał jako zdziczenie i głupotę (*Suchy piorun*). To dawało chłopcu, dla którego ojciec był największym autorytetem i przewodnikiem po świecie, wiele do myślenia. Właśnie ojciec uczył tolerancji i surowo piętnował wszelkie fanatyzmy. Bardzo istotne dla tego problemu jest opowiadanie *Mój ojciec milczy* w całości poświęcone problemowi antysemityzmu, którego mottem stanowią słowa ze starego Testamentu: „Będzie li przechodzić mieszkał w ziemi waszej, a będzie przebywał między wami, nie urągajcie mu, ale niech będzie jako syn ziemi waszej; i będziecie go miłować jako sami siebie, bóstwie i wy byli przechodniami w ziemi egipskiej...”. To kluczowy cytat, ujawniający głębsze pokłady wiedzy religijnej narratora,

który teraz przemawia jako ktoś dorosły, odwołujący się nie tylko do autorytetu ojca ale i świętej Księgi i chrześcijan i Żydów. W tym opowiadaniu właśnie padną bardzo ważne słowa: „Różne paszki rzeczy w historii zaczynały się od bicia Żydów”. Ojciec wie, że dziecko w swej istocie prawe, powtarza tylko zasłyszane potoczne i niemądre opinie – ale lekcja, której udziela jest dla delikatnego i uczuciowego chłopca, dość surowa – polega na lekceważącym milczeniu.

Przemyślenia i odczucia chłopca zasadniczo są efektem tego, co odczuwali rodzice i babka. Jednak tak jest tylko do pewnego stopnia, bo poza zaniepokojeniem, w którym odczuć można trochę poczucia obcości i trochę zachwytu, jest czyste, intuicyjne dziecięce zrozumienie, że Chrystus jest tylko jeden i, że krzyż jest znakiem wspólnoty – a nie podziału, i to odczucie będzie powracało, czasem nawet kilkakrotnie w jednym opowiadaniu.

Chłopiec wie, że krzyż stanowi sacrum, że Chrystus do niego przybyty ma jedyną moc bez względu na to, gdzie się znajduje i jaka jest jego zewnętrzna postać. Nie przeżegnać się przed nim – to tyle, co go obrazić, poza tym naruszałoby to porządek religijny, kulturalny i społecznego universum, w którym chłopiec został wychowany. Chłopiec nie chce zdesakralizować postaci Chrystusa – a jest zbyt młody i niedoświadczony, by podjąć jakąkolwiek próbę zrozumienia sytuacji; gest przeżegnania będzie więc ukradkowy, ale równocześnie taki, jaki wykonują matka i babka, przechodząc pośpiesznie przed kościołem. Ta refleksja chłopca wskazuje jak uważnym był obserwatorem i pewną bylejąkość aktu wiary wytłumaczy – też na wszelki wypadek – właśnie odniesieniem do wysokich autorytetów rodzinnych.

Tego „ewangelickiego Chrystusa” chłopiec będzie odąd spotykał wychodząc i wracając do domu i będzie problem rozwiązywał po swojemu: zdejmując czapkę lub żegnając się ukradkiem. Zawsze jednak przechodząc koło krzyża i Chrystusa, który będzie go witał przy wejściu stając się znakiem przestrzeni oswojonej i bezpiecznej, odda mu cześć.

Można też przypuszczać, że jakoś po swojemu uzgodnił tę sprawę z Panem Bogiem, co tak pięknie wyraził narrator-bohater w opowiadaniu *Pistolet*: „Przed wiszącym na krzyżu Chrystusem przeżegnałem się mimo że do tej pory nie zostało jeszcze wyjaśnione, czy jest to Chrystus katolicki, czy ewangelicki. Kiedy się żegnałem, robiłem to zupełnie nieoficjalnie, była to moja prywatna umowa z Panem Bogiem”.

Pierwsze spotkanie musiało mieć jednak szczególne znaczenie skoro po wielu latach potrafił tak dokładnie odtworzyć tamten widok: stare, poczerńiałe drzewo i bielejące świeżym lakierem ciało Chrystusa – ostro skontrastowane

z czerwienią krwi na rękach, nogach i głęboko przebitym boku. Sam Krzyż ma bardziej charakter symboliczny – figura Chrystusa realistyczny. Całe otoczenie wydaje się dziecku szare, mroczne, okopcone, charakterystyczny jest też układ przestrzenny owej sceny: chłopiec jest mały – Chrystus na krzyżu zawieszonym wysoko na ścianie jest ogromny lub taki się dziecku wydaje, bo z perspektywy widzenia chłopca dziewięcioletniego większość rzeczy i spraw jest ogromna, i taki krzyż zapada w pamięć: „Dzieciństwo – napisał Jerzy Cieślakowski – jest bowiem najbardziej otwarte na wszystkie treści, chłonie je łapczywie i pamiętliwie”.

Różnice światopoglądowe – jak się okazało – nie przeniknęły w żadnym stopniu w codzienne życie dziecka, które szybko znalazło porozumienie z rówieśnikami i odnalazło w nich znakomitych kolegów (później nawet przyjaciela – Władka), z którymi razem tworzyli tzw. bandy. Bandy chłopców były wielowyznaniowe, powstawały w różnych dzielnicach Cieszyna i od nich przybierały swoje nazwy: były więc bitwy, ataki, rokowania, pakti i sojusze, wojna – żywioł chłopięcych zabaw – nigdy nie toczyła się na tle religijnym – ale sama dla siebie, była potrzebą chłopięcego życia, w którym nie istniała świadomość żadnej odrębności poza tą, że jedna banda nazywała się „Ulica Górna” – a inna „Ulica Srebrna”, czy „Plac Teatralny”, jeszcze inna „Koszary” lub „Mała Łąka”. Wyróżniało je „terytorium”, inna dzielnica Cieszyna.. Taka „wojna” mieściła się w strukturze „dziecięcej zabawy w naśladowanie” np. w Indian, w bandytów i żołnierzy, kowbojów: był w niej pościg i schwywanie – jako podstawowy element gry.

I tak było na co dzień, o różnicach przypominały natomiast święta: „nagle wśród najlepszej wojny lub zabawy w Wielki Piątek, gdy ewangelicy opuszczali nas, czyścili buty, myli pod studnią twarze i ręce i biegli do domu po kancjanały, za chwilę widzieliśmy ich, jak (niektórzy kulejąc i zakrywając rękami dziury w spodniach i podrapane kolana) potulnie maszerują do kościoła w towarzystwie swoich wystrojonych i nadąsanych sióstr i odświętnie ubranych rodziców” (*Odkrycie nowego ładu, Wojny religijne*). W dziecięcym oglądzie tej sytuacji znać pewne współczucie: wyczyszczone buty, nadąsana siostra, odświętni rodzice i potulność – to dość kłęs jak na dziewięcioletniego dziesięcioletka. Katolicy też zresztą mieli za swoje, gdy np. ósmego grudnia, w święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, zamiast szaleć na nartach musieli iść do kościoła. Było więc jakoś podobnie – i sprawiedliwie, widać wyraźnie, że w umysłowości dziecięcej nie ma ani śladu świadomości istoty religijnego przeżycia owych świąt, są one jedynie smutną koniecznością przerywania zabawy, dotykającą

jednak boleśnie wszystkich chłopców – bez względu na światopogląd.

Dostrzeganie różnic zaczęło się właściwie dopiero w okresie młodości, gdzieś w okolicach czwartej lub piątej klasy gimnazjum. Nie było to jednak różnice typu teologicznego i właściwie z istotą religii nie miały nic wspólnego. Chodziło po prostu znów o ulubioną chłopięcą zabawę – o wojnę. Tym razem nazywała się religijna ale w głębi rzeczy nie różniła się niczym od walk toczonych przez „Plac Teatralny” przeciw „Srebrnej Łące”. Przed rozpoczęciem lekcji religii chłopcy z dwóch równoległych klas łączyli się w porządku wyznania i nauka odbywała się według dwóch obrządków, prowadziło ją dwóch katechetów: katolicki i protestancki.

„Chwila ta była zawsze okazją do bijatyk, które odbywały się przy łada okazji i nie miały absolutnie nic wspólnego z religią. Podział stwarzał tylko jeszcze jedną, dodatkową okazję do rozróby – a to był przecież nasz żywioł. Kiedy więc ksiądz Brzuska wchodził do klasy, w powietrzu unosił się jeszcze bitewny kurz, chwiały się lampy, a niedobitki «lutrów» przemyciły się pod ścianami w kierunku drzwi (*Odkrycie nowego ładu*)”.

Nie trudno uchwycić cechy stylistyczne przytoczonego fragmentu, jego dominantą jest słownictwo batalistyczne: „bitewny pył”, „niedobitki”, „przemyciły się”, etc – jest w tym trochę żartobliwego dystansu do opisywanych wydarzeń ale jest wspomniana też już powyżej – zabawa w wojnę. To określenie padnie zresztą z ust uczniowskich, gdy za którymś razem katecheta zapyta o przyczynę zamieszek. Usłyszy wówczas: „walki religijne, proszę księdza... [...] Tak, proszę księdza z ewangelikami. Klóćmy się o dogmaty i w ten sposób dochodzi do walk...”.

Tylko pierwszy słowo w przytoczonej wypowiedzi jest prawdą – reszta stanowi sprytny i obliczony na wymierny efekt – odroczenie właściwego toku lekcyjnego – dorobienie ideologii. Zawsze się to sprawdzało: katecheta – poczuł się momentalnie żołnierzem kościoła wojującego – i ani nie pytał, ani „nie nudził” lecz mówił o szkodliwości reformacji, konieczności nawracania i modlitwy za tych, którzy błędzą”. A uczniowie udając „święty gniew”, brali odwet za wszystkie ograniczenia szkolnego żywota, uwalniając na moment swój instyngt walki dławiony przez szkołę i cywilizację, czując się na moment wyzwoleni z zakazów narzuconych im przez zwyczaj i wychowanie. Narrator zresztą wyzna bardzo szczerze, że owe walki religijne „bardzo urozmaicały” naukę religii. Ale katecheta tego nie rozumiał; nie posiadał takiej wiedzy psychologicznej, ani w swej prostoduszności i dobroci nie zdolny jest do podobnego sposobu myślenia, nie było też w nim cienia podejrzliwości wobec intencji uczniowskich, więc łatwo go było wprowadzić w pole.

Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy nastąpił drugi katecheta, kapelan wojskowy, który „nosił rogatywkę i był niby w mundurze, ale bez pasa i bez odznak, tylko na patkach miał trzy gwiazdki”, który w lot przejrzał swych wychowanków i dał im surową lekcję tolerancji religijnej oraz jednoznacznie pojmowanej miłości bliźniego. Dla zilustrowania tej zmiany warto przytoczyć obszerniejszy fragment wspomnienia *Odkryciu nowego ładu* (w *Wojnach religijnych jest prawie taki sam fragment jest*):

„[...]... aż raz ksiądz Brzuska zachorował i na zastępstwo przyszedł – ze znacznym opóźnieniem – kapelan wojskowy, ksiądz Pogódek. Walki religijne z powodu nieobecności księdza Brzuski miały tego dnia szczególnie zacięty charakter i nie ustały nawet po wyjściu ewangelików. Kiedy do klasy wkroczył, kolebiąc się na zdeformowanych w czasie I wojny światowej nogach, ksiądz Pogódek, nie omieszkał nam go poinformować, że wstępuje na pobojowisko, na którym przed chwilą właśnie rozegrała się wojna religijna katolików z ewangelikami. Ksiądz Pogódek włożył na nos binokle, model 1905, powiódł zdumionym wzrokiem po klasie i przemówił:

– zwarowaliście? Jaka wojna religijna? Komu wy chcecie urządzać wojny religijne? Ja, jak obchodziłem pole walki, to nie patrzyłem – katolik, prawosławny czy ewangelik, każdy dostawał łyk wódki i rozgrzeszenie. Raz nawet przez pomyłkę namazałem olejami świętymi, jak się później okazało, Żyda – ale skąd mogłem wiedzieć, jak nic nie gadał, tylko cicho jęczał, a całą twarz miał we krwi? I wy mnie chcecie robić wojny religijne? Ty tam, pod piecem, jak się nazywasz – zmów „Ojcze nasz” i „Zdrowaś” ...”

I tak młodzieńcza zabawa w wojnę została skonfrontowana z prawdziwie żołnierskim przeżyciem w jego wstrząsającym wymiarze, którego prawdziwość dodatkowo podkreślał wygląd i sposób bycia katechety. W relacji księdza kapelana jest krew, cierpienie, umieranie – nie ma zabawy. Jego wypowiedź jest ostra, pełna nietajonego oburzenia, nazywająca bez ogródek głupotą zabawy w wojnę, każdą wojnę. Zarazem jest to najprawdziwsza lekcja religii i braterstwa: łyk wódki dla uśmierzenia bólu i rozgrzeszenie – dla życia wiecznego w sytuacji największego cierpienia ludzkiego. Taką lekcją w pamięć młodzieńczą zapadła na całe życie, stając się zarazem wzorem postawy moralnej wobec innowierców.

Zmów „Ojcze nasz” i „Zdrowaś” – a nie osądzaj cudzej wiary! To mocne, głęboko prawe i jakże męskie postawienie problemu – kończy „wojny religijne”. Ci dwaj katecheci to: ks. Eugeniusz Brzuska i ks. Konstanty Pogódek, wspomniany o nich sam Kornel Filipowicz w pięknym wspomnieniu *Odkrywanie nowego ładu*, w którym jeszcze dodał: „Niech im obu ziemia lekka będzie... Jeden umarł w obozie koncentracyjnym, drugi zginął zdaje się we wrześniu 1939”. I tu pisarz był w błędzie,



Kościół i klasztor oo. Bonifratrów w Cieszynie

gdyż ks. Brzuska zmarł w październiku 1938 roku, a ks. Pogódek w czasie II wojny światowej był kapelanem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie; zmarł w 1944 w Szkocji. Ale od tych ustaleń ważniejszy jest autentyczny szacunek z jakim pisarz wspominał swoich cieszynskich katechetów.

Właśnie od lekcji z ks. Pogódkiem zaczęło się dorosłe i dojrzałe traktowanie spraw wiary. Powraca w nim jak echo wizja tamtego krzyża, przed którym przeżegnało się dziecko, znaku przed którym zgina się każde kolano, a który w istocie swej nie jest ani katolicki, ani prawosławny, ani ewangelicki i swymi ramionami obejmuje także Żyda, co wynika jasno z wykładu kapelana – katechety, a co zbieżne jest z przekazanymi wcześniej przez ojca uwagami na ten temat. Była to zresztą z punktu widzenia psychologicznego lekcja niezwykle trafna, bo sformułowana przez dojrzałego mężczyznę, który sam wojny doświadczył i został przez nią okaleczony. Adresowana do młodych, w których żadnych uprzedzeń religijnych w gruncie rzeczy nie było, a którzy bawiąc się w wojnę, skierowali swą zabawę na teren niebezpieczny, w wieku dojrzałym mogącym przynieść prawdziwie groźne owoce. Nauka ta przemówiła prawdą osobistego przeżycia, wspartego autorytetem wiary. To, co kapelan wyuczył znakomicie – pisarz potwierdził w jeszcze innym opowiadaniu pt. *Gutmann albo ostatnia przed wakacjami lekcja języka niemieckiego* (*Kot w mokrej trawie*) wspominając, że jedyne starozakonne, jaki uczęszczał do klasy, Zygfryda Gutmanna, traktowali bez cienia antysemityzmu, z oniesmieleniem i dumą, jako kogoś wyjątkowego: „W naszej klasie, w połowie katolickiej, w połowie ewangelickiej, był Gutmann

zjawiskiem dziwnym, jak przelotny, zblakany ptak”. Będzie też w tym refleksie ojcowej nauki, o której była już wcześniej mowa.

W pejzaż dzieciństwa i młodości Kornela Filipowicza zostały wpisane różne lekcje: zetknięcie z mrowiskiem będzie lekcją o wolności (*Formikarium*), z zaćmieniem słońca będzie wiązała się lekcja o przemijaniu i zmienności, z opowiadaniem *Kulifant*, nauka o względności i nietrwałości naszych radości, jeszcze z innym *Miód*, czyli o nadmiarze, jak sam tytuł wskazuje lekcja na temat, że każda rzecz – nawet najzdrowsza, w nadmiarze jest szkodliwa. Nie ma w tych lekcjach wszakże ani cienia goryczy czy sarkazmu a także natrętniej dydaktyki. Jest natomiast wielki ładunek wzruszenia i świadomość, że to niezwykle bogactwo doświadczeń życiowych, wyniesionych z dzieciństwa – jest wartością, która procentuje przez całe życie. Wśród tych wszystkich lekcji, chyba najważniejsze były lekcje religii – odbywane nie tylko w szkole ale także w różnowierczym środowisku rówieśniczym cieszynskiej szkoły. Ich ślad odnajdziemy w całym piśmarstwie autora *Portretów moich przyjaciół*, piszącym o ludziach odmiennej wiary zawsze z ogromnym szacunkiem.

Im też poświęcił wzruszające opowiadanie pt. *Temat prawie bez komplikacji* w ostatnim wydanym za życia tomie pt. *Rozmowy na schodach*. Jest ono w całości pochwałą protestanckiej pracowitości, gospodarności i dobrej znajomości Pisma Świętego oraz „mocno ugruntowanych podstawowych nakazów moralnych”. W wielkim uniwersalizmie tych lekcji tkwi nieprzemijalna wartość piśmarstwa Kornela Filipowicza, będąca zarazem wielką pochwałą urody cieszynskiego świata i mądrości jego mieszkańców.



Władysław Strzałkowski

„Czekoladowy dom” Strzałkowskiego

HERNRYK SZCZEPAŃSKI

Znajduje się w Katowicach pod adresem 3. Maja 34 – pierwsza obok „Galerii Katowickiej”. Sąsiaduje z nią przez ścianę i podwórze. Zdobí ją skromna elewacja w pastelowych barwach, wśród których pojawiają się czekoladowe odcienie. Jeszcze w 1910 r. miały tu swoje biuro Oberschlesische Elektrizität Werke – Górnośląskie Zakłady Elektryczne, jedyny dystrybutor energii w mieście i okolicy. W 1913 r. na drugim piętrze zamieszkał Erich Bernhardt, mechanik a potem kupiec, jeden z udziałowców „Ebeco” Oberschlesische Fahrradfabrik – Górnośląskiej Fabryki Rowerów; w czekoladowej kamienicy przetrwała wojnę światową i powstania śląskie.

Zbudowana w 1868 r., była dwupiętrową kamieniczką z lokalami wynajmowanymi jako mieszkania albo pomieszczenia handlowo-usługowe. Wzniósł ją Karol Haussler na zamówienie Salo Schefera. Na początku XX wieku stała się własnością znanego katowickiego architekta Antoniego Zimmermanna – budowniczego stylowej willi przy ulicy Stalmacha. Wtedy była już większym domem o trzech piętrach i z trzema ofycynami. W *la belle époque*, dzięki Angeli Neugebauer, która na parterze prowadziła duży skład wyrobów czekoladowych, katowiczanie zapamiętali ją jako „sokoladenhauss” – „czekoladowy dom”, gdzie prócz pralinek, łomu czekoladowego, czekolady w proszku i batoników kupowało się też pyszne pierniki. Po 1922 r. słodko pachnące tradycje przez kilka lat pielęgnowała Fryda Susmann, ale w latach 30. ze względu na wiek, wciąż ciesząc się liczną klientelą, robiła już tylko smaczne konfitury.

Jeszcze w 1910 r. miały tu swoje biuro Oberschlesische Elektrizität Werke – Górnośląskie Zakłady Elektryczne, jedyny dystrybutor energii w mieście i okolicy. W 1913 r. na drugim piętrze zamieszkał Erich Bernhardt, mechanik a potem kupiec, jeden z udziałowców „Ebeco” Oberschlesische Fahrradfabrik – Górnośląskiej Fabryki Rowerów; w czekoladowej kamienicy przetrwała wojnę światową i powstania śląskie.

Pierwsze na polskim Śląsku

W kilka miesięcy po powrocie Katowic do Polski, jesienią 1922 r., Władysław Strzałkowski i Wilhelm Schützer, obydwaj z Bielska Białej, zakupili czekoladową kamienicę należącą do radcy budowlanego Zimmermanna a wraz z nią ruchomości i nieruchomości stanowiące własność „Ebeco”, należącej do spółki Erich Bernhardt & Company.

Pod dawnym znakiem firmowym poszerzyli zakres produkcji i usług. Teraz ich firma nosiła nazwę: „Ebeco” Fabryka Rowerów, Gramofonów i Wyrobów Metalowych.

Pan Władysław z żoną Wilhelminą i córkami zamieszkał w obszernym apartamencie na pierwszym piętrze. Obok ulokował się jego wspólnik.

Jeszcze tego roku, w warsztatach zlokalizowanych w podwórzu czekoladowej kamienicy przyszedł na świat pierwszy śląski rower wyprodukowany w Polsce Odrodzonej. Zaprojektował go Władysław Strzałkowski – utalentowany wynalazca i konstruktor. Piasty do je-

Dbał o swoją kamienicę. Pamiętając, że jej elewacja jest równie ważna jak dobrze skrojony garnitur na szanującym się obywatelu, usunął staroświeckie dekoracje burżuazyjnego frontonu i nadbudował czwartą kondygnację. Zafundował elegancki i bardziej współczesny wystrój fasady. W jej murach znalazł siedzibę zarząd Związku Cyklistów i Motocyklistów Województwa Śląskiego.

Strzałkowskiemu i jego firmie sławy przysparzała popularna, niedzielna impreza organizowana pod hasłem „biegi rowerowe” na dystansie 105 km. Patronowała jej katowicka Fabryka Rowerów „Ebeco”, sponsorująca klub sportowy

W warsztatach zlokalizowanych w podwórzu czekoladowej kamienicy przyszedł na świat pierwszy śląski rower wyprodukowany w Polsce Odrodzonej. Zaprojektował go Władysław Strzałkowski – utalentowany wynalazca i konstruktor.

go kół, toczył według oryginalnej własnej technologii. Był pasjonatem o wszechstronnych zainteresowaniach. Osobiście nadzorował personel. Często widywano go w fartuchu roboczym przy obrabiarkach, imadłach i kowadłach. Wiele czynności wykonywał własnoręcznie. Zatrudniał co najwyżej kilkunastu pracowników. Wśród nich wyróżniał się Franciszek Mrozek, tokarz z Załęża, który wraz z firmą doczekał ostatnich jej dni w Polsce Ludowej.

– Z tego okresu pamiętam, że warsztat był pod nadzorem pana Mrozka, który mi dawał pierwsze lekcje składania roweru i pokazał, jak napina się szprychy. – wspomina pan Władysław Różycki, wnuk Władysława Strzałkowskiego, od wielu lat mieszkający w australijskim Melbourne. – Przestrzeń produkcyjna była bardzo ograniczona. Po wojnie były dwie „hale” fabryczne, po dwóch stronach podwórka. W jednej była tokarka, czy frezarka, to wszystko. Tylne części posesji miała dwie oficyny z mieszkaniami do wynajęcia. Siodła, pedały, prace malarskie itp. były robione przez kontraktorów. Nie było żadnych możliwości rozwoju produkcji na tej posesji.

Tutaj Strzałkowski pod szyldem „Ebeco” wyprodukował pierwszą na polskim Śląsku, maszynę do szycia a w jakiś czas potem – gramofon tej samej marki. Część podzespołów wytwarzał u siebie a pozostałe nabywał u renomowanych krajowych i zagranicznych producentów. Każde urządzenie było rękodziełem. Nie produkował masowo a raczej na zamówienie. Jego wyroby cieszyły się sławą solidnych i bezawaryjnych.

Nowoczesne, luksusowe i kosztowne urządzenia marki „Ebeco” katowiczanie oglądali w witrynie firmowego sklepu przy ulicy 3. Maja 34, najkorzystniej usytuowanym punkcie handlowego centrum ówczesnych Katowic. Podobne sklepy Strzałkowski miał w Bielsku Białej przy Zamkowej 2 oraz w Chorzowie przy Wolności 22.

z jej firmową nazwą. W jej barwach jeździli m.in.: bracia Erwin i Ewald Ligonowie, Erwin Czech i Muller. Zrzeszeni i niezrzeszeni cykliści walczyli o puchar i medale fundowane przez pana Władysława i jego żonę Wilhelminę.

Jubileuszowe publikacje z 1929 r. informowały, że polskie „Ebeco” początkowo zatrudniało 20 robotników. Po pięciu latach pracowało ich już 60. Na początku lat 30. Strzałkowski, jako uznany fachowiec został radcą Izby Przemysłowo-Handlowej.

Tymczasem, sąsiad i wspólnik Schützer, słysząc co naziści robią z jego żydowskimi rodakami, tuż za pobliską granicą, wycofał się ze spółki. To zmusiło Strzałkowskiego do spłaty kosztownego udziału. Wszystko pospłacał. Zmarł w 1937 r. Gdy do Katowic wkroczyli hitlerowcy, firmę prowadziła jego żona i córki.

– Kiedy niemieccy okupanci zapytali ją, jakiej jest narodowości, to odpowiedziała, że mąż był Polakiem, córki są Polkami, to ona też czuje się Polką. Wtedy Niemcy opieczętowali jej mieszkanie i kazali się wynosić. Musiała jeszcze udowodnić, że nie ma pochodzenia żydowskiego, o czym do dziś jako pamiątka świadczy jej metryka urodzenia, wy-

Strzałkowski pod szyldem „Ebeco” wyprodukował pierwszą na polskim Śląsku, maszynę do szycia w jakiś czas potem – gramofon tej samej marki.

dana w czasie wojny, przechowana w rodzinnym archiwum jednej z wnuczek – wspomina pan Różycki.

W latach 80. minionego stulecia, spadkobiercy dawnych właścicieli firmy i domu założyli spółkę i reaktywowali dawną nazwę. Nie produkuje rowerów, gramofonów ani maszyn do szycia. Dba o dobrą kondycję kamienicy i dobrze prosperuje na rynku obrotu nieru-



Reklama firmy Ebeco

chomościami. W gabinecie jej prokurenta można obejrzeć historyczne eksponaty w postaci roweru „Ebeco”, maszyny do szycia, gramofonu i firmowej koperaty na płycie.

Niezwykłe dzieje Władysława i jego żony

Urodził się w okolicach galicyjskiego Tarnowa, wtedy w granicach zaboru austriackiego. Jego przodkowie wywodzili się ze szlachty zaściankowej. Gdy pytano jaki klejnot ma w herbie, to z ironicznym uśmieszkiem odpowiadał „wielka wesz na długim łańcuchu”. Miał naturę nonkonformisty. Był barwną postacią, śmiałkiem i ekstrawagantem, nie pozbawionym zmysłu praktycznego. Pociągała go inżynieria, ekonomia a nawet polityka.

Jako czternastolatek uciekł z domu, ale policja ciupasem dostarczyła go rodzinie. W 2 lata później wymknął się aż do Szwajcarii. Tam pozostał przez następne 4 lata.

– Gdzie pracował tego nie wiem – mówi jego wnuk Władysław Różycki z Australii – zapamiętałem natomiast, że pracował gdzieś w warsztatach mechanicznych, i że wynalazł składane łóżko polowe. Ponieważ tego

nie opatentował, ktoś to skopiował, a on nic z tego nie miał. W Szwajcarii dołączył się do kręgu socjalistów. I bardzo się do idei socjalistycznych zapalił. W Zurichu poznał swoją późniejszą żonę Wilhelminę Gull. Po jakimś czasie zabrał ją do Tarnowa (jeszcze za czasów austriackich), aby się z nią ożenić i przedstawić swojej matce. Ta jak się dowiedziała, że narzeczona jest



Władysław Strzałkowski z żoną Wilhelminą

W latach 80. minionego stulecia, spadkobiercy dawnych właścicieli firmy i domu założyli spółkę i reaktywowali dawną nazwę. Nie produkuje rowerów, gramofonów ani maszyn do szycia. Dbą o dobrą kondycję kamienicy i dobrze prosperuje na rynku obrotu nieruchomościami. W gabinecie jej prokurenta można obejrzeć historyczne eksponaty w postaci roweru „Ebeco”, maszyny do szycia, gramofonu i firmowej koperty na płytę.

protestantką, to go wyrzuciła z domu razem z jego przyszłą żoną. To był ostatni raz jak widział swoją matkę, no i kontaktu z rodziną więcej nie miał.

Tym razem Tarnowa nie opuścił. Z mechanika i konstruktora przemienił się w ogrodnika. Założył plantację róż. Jednak, kwiaty choć piękne i dorodne, kiepsko się sprzedawały. Młodzi karmili się miłością i z trudem wiązali koniec z końcem. Odnalazł miejscowych socja-

listów. Kolegę z rekomendacjami szwajcarskich towarzyszy przyjęli z otwartymi ramionami. Zygmunt Żuławski, ówczesny przywódca i teoretyk polskiego socjalizmu, został ojcem chrzestnym małej Wilhelminy, pierworodnej córki Strzałkowskich.

Towarzysz Władek był dobrym mówcą. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, partyjni koledzy powierzyli mu wygłaszanie przemówień na pacyfi-

stycznych manifestacjach. Wznięcał antywojenne nastroje i niechęć do cesarza militarysty. Naraził się austrowęgierskiej żandarmerii. Trafił do aresztu a potem do więzienia, gdzie spędził dwa lata. Pani Strzałkowska, cudzoziemka z gromadką swoich córek, została bez środków do życia. Jej osamotnieniem nie zainteresowali się partyjni towarzysze uwięzionego męża.

– Gdy przyszło Boże Narodzenie, na wigilijnym stole postawiły talerz z jednym śledziem. – wspomina pan Różycki. – Pomagali jej tylko ubodzy murarze. Gdyby nie oni, to wraz z dziećmi zginęłaby z głodu

Po wyjściu z więzienia, Strzałkowski zrażony obojętnością socjalistycznych kompanów, pożegnał się z Galicją i zamieszkał na terytorium Rzeszy Niemieckiej w Bielsku nad Białą. Razem z żoną i dziećmi urządził się w centrum miasta, w dawnym zamku Sułkowskich. Tutaj, tak jak dawniej w Zurychu, zajął się wytwarzaniem urządzeń metalowych. Ze Szwajcarii sprowadzał podzespoły mechaniczne firmy His Masters Voice. Robił drewniane szafki do gramofonów i maszyn do szycia, które składał z części produkowanych przez czeską „Ladę”. Dobrze uprzemysłowione Czechy należały wtedy do Austrii. Na przedsiębiorców Galicji miały wpływ znacznie większe niż cesarskie Niemcy. Już w Bielsku Strzałkowski zaczął składać pierwsze rowery.

– W Australii poznałem starszego pana, który w czasach pierwszej wojny światowej, memu dziadkowi sprzedawał farby do rowerów i twierdził, że już wtedy dziadek składał te pojazdy w całości – dodaje pan Władysław Różycki.

Strzałkowski należał do polskiego Towarzystwa Żelaza i Metali. Rodzinna legenda podaje, że nie zabrakło go w gronie założycieli najstarszego w mieście – kina „Wanda”. Po klęsce wilhelmińskiego cesarstwa był jednym z działaczy Polskiej Rady Ludowej przejmującej władzę nad miastem.

W domu Strzałkowskich przez pewien czas, ze względu na panią Wilhelminę mówiono się po niemiecku. Później opowiadała język swego męża i do końca życia czuła się Polką. W międzyczasie córki podrosły i trzeba było zapisać je do gimnazjum. – W Bielsku, bardziej zniemczonym niż inne okolice Śląska, polskiego gimnazjum jeszcze nie było. Do wyboru pozostawało niemieckie albo żydowskie. Ponieważ Strzałkowski nie cierpiał Niemców, to wysłał córki do żydowskiego – wyjaśnia Władysław Różycki.

Pięć panien na wydaniu

Od 1922 r. w czekoladowej kamienicy na pierwszym piętrze mieszkało pięć panien Strzałkowskich: Wilhelmina, Zofia, Klara, Irena i Jadwiga. Każda marzyła o ślubnym welonie i weselnym przyjęciu.

Wilhelmina, najstarsza z nich, absolwentka szkoły handlowej w Bielsku wyszła za mąż za inż. Gustawa Rózyckiego, specjalistę w dziedzinie budowy maszyn górniczych i właściciela fabryki w Załężu. Jego firma, prócz urządzeń dla kopalń wyprodukowała też pierwszy polski motocykl na Śląsku. Na cześć swego konstruktora, tak jak i fabryka przy obecnej ulicy Tokarskiej, otrzymał nazwę: „MOJ” – tak bowiem brzmiał pseudonim Rózyckiego, pod którym znali go koledzy ze studiów akademickich i pracy w śląskich kopalniach. Wcześniej był przedstawicielem niemieckiego concernu maszyn górniczych „Erickhoff” (obecnie: Eickhoff). Tam dorobił się małej fortuny. Odkupił podupadłą i zadłużoną fabryczkę w Załężu. Rozbudował ją i uruchomił produkcję. Oferował maszyny górnicze i wiertła, wentylatory do schronów wojskowych, silniki elektryczne, a nawet motocykle. Z firmą „Ebeco”, związał się dopiero po śmierci swego teścia.

Zofia wyszła za mąż za Wiesława Baluka, oficera Wojska Polskiego, po złamaniu kręgosłupa w czasie ćwiczeń na poligonie przeszedł w stan spoczynku i został pensjonariuszem sił zbrojnych.

Klara zdobyła dyplom inżyniera chemika, zamieszkała w Warszawie i pracowała w branży kosmetycznej. Została żoną metalurga inż. Witolda Sznuka. Po 1945 r., gdy „Ebeco” odrodziło się jako sklep z gramofonami i mały warsztat naprawy rowerów, zajęła się jego prowadzeniem a po kilku latach oficjalną likwidacją.

Na początku lat 50. minionego stulecia, u swego stryja Witolda, mieszkającego na II piętrze czekoladowej kamienicy, bywał wtedy nastoletni Tadeusz Sznuke, po latach znakomity dziennikarz, prezenter i radiowiec.

– W domu mego stryja stały dwa szafkowe gramofony firmy „Ebeco”. Z takich „odtworaczy” słuchało się wtedy dobrej muzyki podczas gimnazjalnych prywatek. Wtedy Katowice były krainą eksycytujących staroci w czasach okupacji. Jednym z niezwykłych trofeów jakie przywiozłem stamtąd była maska przeciwgazowa. – wspomina Sznuke.

Dzisiaj to miejsce jest jednym z pomników upamiętniających historyczne dokonania polskiej techniki i pięknym motywem złotej legendy miasta.

Irena ukończyła ekonomię w Warszawie i wyszła za Włodzimierza Rymarkiewicza, absolwenta Szkoły Morskiej w Antwerpii, kapitana żeglugi wielkiej, oficera marynarki handlowej, który po latach służby na okrętach powrócił do Gdyni i miał objąć stanowisko morskiego attaché polskiego konsulatu w australijskim Sydney. Plany pokrzyżował wybuch wojny. Do 1938 r. mieszkał w Katowicach, gdzie Włodzimierz był przedstawicielem firmy „Bergtrans”. Potem przenieśli się do Gdyni. Rymarkiewiczowi powierzono jedno z kierow-



Władysław Strzałkowski z córkami

niczych stanowisk w firmie maklerskiej M Z. Cedro i S-ka

– Mieszkali w pięknej willi w Oliwie. Odwiedzałem ich jako student gdańskiej politechniki. Włodzimierz był wtedy ważną osobą – nadzorował załadunek broni i amunicji na statki wychodzące w morze. Przystojny mężczyzna, fantastyczny kontaktowy facet, był duszą towarzystwa i sypał kawałami. – wspomina jego powinowaty, Krzysztof Sznuke, pułkownik Wojska Polskiego i doktor Wojskowej Akademii Technicznej, wybitny specjalista w dziedzinie balistyki dalekiego zasięgu i strzelania artyleryjskiego, który po 1945 r. bywał także u swego stryja Witolda w katowickiej kamienicy Strzałkowskiego.

Jadwiga, romanistka z dyplomem wyszła za inż. Stefana Nowosielskiego, metalurga krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, trzykrotnego mistrza Polski w biegach przez płotki i wielokrotnego wicemistrza w kilku dyscypli-

nach lekkoatletycznych. Występował w barwach katowickiej „Pogoni”. Jako znany sportowiec miał przyjaciół w wielu krajach Europy. Pomogli mu gdy w czasie okupacji zbiegł z Polski na Węgry. Po wojnie wraz z żoną mieszkał na II piętrze czekoladowej kamienicy Strzałkowskiego. Jako chłopiec odwiedzał go red. Tadeusz Sznuke. Z mistrzem płotkarstwa przedwojennej Polski, chodził na stadion, gdzie brał lekcje sportowego biegania i lekkoatletyki. Gościem Nowosielskich i Sznuków był kuzyn Tadeusza, Krzysztof Sznuke – późniejszy pułkownik i pedagog WAT.

Władysław i Wilhelmina Strzałkowscy, rodzice pięciu pięknych panien z czekoladowej kamienicy, zostali pochowani na cmentarzu przy ulicy Francuskiej w Katowicach. Spoczywają tam wspólnie z córkami i zięciami. Ich kwatery znajduje się w tym samym rzędzie co grobowiec Korfantego.

WIESZCZBA

wszyscy wyszliśmy z wody, więc cztery lata deszczu nie powinny wyrządzić nam większej krzywdy. tymczasem dom obraca się w dryfujący statek pośrodku oceanu, do którego tak trudno było nam się dostać. Rebeka nadal żywi się ziemią, później wymiotuje. nigdy nie urodzi dziecka. Urszula wegetuje upstrzona wstążkami i farbą. niebo wyrzuca ostanie krople. słońce cicho wynurza się z wody. jeszcze wszystko można naprawić. otworzyć okiennice i drzwi. przejdą zmarli i utraپieni nie z tego świata. odmalujemy ściany, odymimy kąty, rozlejemy wosk. nikt nie powie, że wszystko zostało zapisane i będzie toczyć się w koło bez ratunku dla kogokolwiek, z przepowiednią obrócenia się w pył.

REZONANS

uważaj na usta. mogą powiedzieć za dużo lub napić się trucizny. jesteś tym co powiesz. nie zawrócisz rzeki kijem. nie obronisz domu choćbyś użył celtyckich zaklęć. uważaj na ściany, które przebyły dłuższą drogę niż twoja wyprawa do wnętrza i z powrotem. słyszały namiętność, płacz i gruchotanie kości, zanim dotarłeś do tego miejsca. nałożyłeś tynk i rozwiesiłeś firanki co pięść. uważaj na usta. wszystko co powiesz zapamiętają. później opowiedzą innym jak zakwitały konwalie za oknem gdy miotales się w wyrzutach i podnosiłeś głos.

EWA OD NAJDŁUŻSZEJ DROGI.

karmię się piaskiem. brzuch jest ciężki, więc nie dotykaj go przed zachodem. zwykle bywa nas za dużo. każdy wypowiada głośno swoje chce, pragnie, nie lubi. piasek jest mokry. popołudniu miewam zaparcia i migrenę, a tu należy uporządkować głosy, historię i budowę komórki. po angielskim wychodzi się łatwiej. z konieczności suszę łyzy, wieszam pranie. piasek wietrzy się z pościelą na słońcu. deski na podłodze odkształcają twoją obecność. nie pójdę sprawdzić, bo twoje ciało pochowałam przed miesiącem. miałaś gładką twarz i lodowate ręce. nie całuj – szeptali. mówili, że bałaś się śmierci. ty się nie bałaś. ja się nie boję. oni się boją. chciałabym leżeć obok ciebie w piasku pod dębem, którego już nie ma. piorun strzelił w jasne przedpołudnie kiedy odchodziłaś mając za dużo lat do zapamiętania.



Barbara Janas-Dudek (1976) – ukończyła Wyższą Śląską Szkołę Zarządzania. Pasjonatka sztuki, psychologii, podróży i słowa. Związana z Klubem Promocji Poetyckich Macieja Szczawińskiego. Laureatka kilku konkursów poetyckich. Gość „Artystycznych Spotkań” w Radiu Katowice. Zadebiutowała w 2009 r. tomem wierszy *Oczy na uwięzi*, z którego już dawno przestała być dumna. W 2011 r. nakładem Zaułku Wydawniczego Pomyłka ukazał się arkuszyk poetycki *Alfabet Lęku*. W roku następnym ta sama oficyna wydała książkę poetycką *Zakład Pracy Chronionej*. Jej teksty ukazały się również w kilku almanachach poetyckich, ArtPub, Śląskiej Strefie Gender, „Toposie”, „Nieregularnym Piśmie Kulturalnym – Kwartalnik” i „Szafie”. Redaktor działu poezji w Kwartalniku Literacko-Artystycznym Szafa oraz „Szkoły poetów” na stronie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach. Współorganizator chorzowskich imprez literackich Port Poetycki.

ISTOTA

w hałasie czuję się bezpieczny
zdarzy się wdzięk reklama
towar którego nie można sprzedać
banalna historia rozpisana
w pstrokaty bestseller

kolejny raz po rozmowie z filologiem
wyniosłem że wszystko już było
tłum prowokacja dar empatii
szczegół

trudno mi przyjąć z godnością
wczesny anachronizm faktów i więzi
oglądam dokładnie linie papilarne
prawdziwe imiona tkanek



Rys. Leszek Górka

JAKI TAM CHORZOWSKI PIES

i po bólu strzały ucichły
ostatnio tylko szczęk zamka
wieczne wchodzę
i wychodzę

że po bólu to wiem
szukanie jest wpisane
w każdą stronę drzwi
póki co straciłem węż

słowo-chmurny wstał
odświeżył strony
za plecami cień
nie chce dotyczyć

DOTYCZY KOLEJNEJ „50tki”

obraz drży i się wybrzusza
naczynia lecą z rąk
neurologia dotyczy przymierza z wiekiem
chętniej wchodzę w mechanizmy
niedowierzam jeśli na nic nie mam wpływu

deptanie przynależności
nie posiada cech zachwytu
tataże nie pomogą ale niech mają motyw
jak krzyk zanoszą się na patos
bronie się wielokropkiem

nie łapię dokładnie przerw
tam jest świadomość

Jacek Dudek – od urodzenia mieszka w Chorzowie. Zadebiutował w roku 1999 w pokonkursowym tomiku wierszy *Zmrok to jeszcze nie ciemność*. Jego wiersze znajdują się w almanachach Klubu Literackiego „Barwy” (2002, 2004, 2005). Utwory poetyckie ukazały się także w prasie regionalnej i lokalnej. Jest uczestnikiem spotkań warsztatowych Klubu Literackiego „Barwy” w Rudzie Śląskiej oraz Klubu Promocji Poetyckich w Chorzowie Batorem. Współautor i wydawca książek poetyckich *Druid Bar* (2004) i *Ziemia Druid* (2006). W 2008 r. wydał tom wierszy *Biała Ryba*. W 2013 r. nakładem Zaułka Wydawniczego Pomyłka ukazała się książka poetycka *Homo Silesius*. Gość audycji „Poczta Poetycka” Macieja Szczańskiego w Polskim Radiu Katowice. Pomysłodawca, kreator i organizator cyklicznych prezentacji poetyckich Port Poetycki w Chorzowie.

Nie ma morza w Bagdadzie!?

(cz. III)

WITOLD TURANT

Niežnośny ale niezastąpiony

Człowiek, który miał na bliskowschodnim, a więc drugorzędnym teatrze wojennym odegrać kluczową rolę urodził się w 1888 roku w Anglii w rodzinie niezbyt zamożnej, ale wystarczająco zasobnej w środki, by wysłać go na studia do Oxfordu. Archeologia uchodziła wtedy za nieco snobistyczny kierunek studiów, odpowiedni dla młodych kandydatów na *gentleman of leisure*, obdarzonych żyłką podróżniczą lub zgoła awanturniczą. Niewielki odsetek absolwentów tego kierunku poświęcał się pracy badawczej i naukowej na uczelni i poza nią. Thomas Edward Lawrence zdecydowanie zaliczał się do tej niewielkiej, lecz przynoszącej chlubę uczelni grupy. Od wczesnych chłopięcych lat zafascynowany był historią, etosem rycerskim oraz tym, co dziś nazywamy *survival*. Z czasem do tych zainteresowań dołączyła się sztuka, kultura i przeszłość Bliskiego Wschodu.

Pierwszy jego kontakt z Orientem zakrawał na szaleństwo. Absolwent renomowanej uczelni zawziął się, by spory szmat syryjskiej pustyni pokonać pieszo, co odradzali mu najwytrawniejsi podróżnicy i znawcy zagadnienia. Postawił jednak na swoim. Oto co pisze jego biograf: „Każdego, kto na początku września 1909 roku znalazłby się na rozpalonej od słońca nizinie na zachód od Aleppo w północnej Syrii, widok ten musiałby zaskoczyć: oto przez pustynię szedł sobie młody, załóżnie chudy Anglik z plecakiem na ramionach, a tuż za nim ciągnął szwadron tureckiej kawalerii.

Kilka dni wcześniej T.E. Lawrence zawitał do podgórskiej miejscowości Sahjun, aby zbadać ruiny jednego z zamków pozostałych po krzyżowcach. Miejscowy *kajmmakam*, gubernator osmański, był tak zdumiony widokiem młodego podróżnika, że potraktował go jak dygnitarza. Ugościł u siebie, karmił, poił, a później przydzielił mu eskortę kawaleryjską na pięciodniową wyprawę do Aleppo. (...)

Ta właśnie podróż miała zmienić jego życie. Wszędzie, dokąd docierał, tubylcy witali go ze zdumieniem, ale też z niezwykłą serdecznością. W każdej wsi i wiosce okazywano mu wielką gościnność. Karmiono, dawano schronienie i mimo widocznej nędzy odmawiano przyjęcia zapłaty. „co za wspaniały kraj – zachwycał się Lawrence w liście do ojca w połowie sierpnia. – Gościnności nie da się wprost opisać.” (...)

W jednym z listów do matki z końca sierpnia jest zdanie jakby wyjęte ze zwierzeń dzisiejszego studenta, który żywi przekonanie, że oto podróż odmienia całe jego życie: „Będzie mi bardzo trudno znowu być Anglikiem”.

Zaiste, w dniu kiedy Lawrence rozpoczynał swoje oxfordzkie studia na wieży kościoła St. Michael's musiał siedzieć Anioł Dziwnych Przypadków, taki jakim opisał go E. A. Poe, i wygrywać na skrzypcach ognistego jiga. Kiedy absolwent Jesus College postawił stopę na arabskiej ziemi, Anioł był zapewne więcej niż ukontentowany. W niecałe dwa lata później T. E. Lawrence dołączył do ekipy prowadzącej wykopaliska w Karkemiszu, dziś leżącym na pograniczu turecko-syryjskim. Oddajmy ponownie głos jego biografowi: „O szczególnej pozycji Lawrence'a wśród miejscowych, o tym, że stał się autentycznym przywódcą, decydowała bardziej jego sympatia do Wschodu, podziw dla miejscowej kultury. Arabskim posługiwał się już całkiem swobodnie, ale w Karkemiszu pilnie pogłębiał znajomość języka, wypytyując robotników z ekipy wykopaliskowej, odpowiadając ich w domach, prowadząc systematyczne notatki. Wsłuchiwał się w ludowe opowieści, pytał o poglądy, dociekał powiązań klanowych, które decydowały o lokalnych sojuszach i więzach lojalności. Stopniowo poznawał okolice i wkrótce wiedział więcej o północnej Syrii, niż ktokolwiek z Europejczyków.

Nic tak nie zjednuje ludzi jak okazywana im uwaga i szacunek. (...) Postrzegano go więc bardziej jak swojego niż jak przybysza z Europy i zgodnie z arabską tradycją rewanżowano mu się wiernością i przywiązaniem. Każdy medal ma dwie strony: im dłużej Lawrence przebywał w Syrii, im bardziej wnikał w miejscową społeczność, tym mniej w nim zostawało z Brytyjczyka.”

Zamach w Sarajewie zastał Lawrence'a w Oxfordzie. Kiedy wybuchła wojna, zamierzał zgłosić się do służby wywiadowczej właśnie na Wschodzie, ale w sierpniu 1914 roku na takich jak on nie było jeszcze zapotrzebowania. Poradzano mu, by czekał aż Turcja przystąpi do wojny, co jak przewidywano, powinno wkrótce nastąpić. W końcu w październiku tego roku zaangażowano go jako cywilnego kartografa przy sztabie w Londynie. Zabawnie przebiegł proces jego przeobrażenia się z cywila w oficera. Po prostu kiedy jeden z generałów zaczął domagać się, by na tym stanowisku znalazł się oficer, polecono Lawrence'owi udać się do magazynu i wyfasować mundur podporucznika. I to był właściwy początek jego wojskowej kariery, którą zakończył w randze pułkownika. Jednak mundur nigdy nie stał się jego „drugą skórą”. Kiedy już zdarzyło mu się pojawić w pełnym umundurowaniu, wyglądał jak przysłowiowa oferma batalionowa, między innymi z uwagi na nietypowy wzrost; najczęściej jednak podczas swej bliskowschodniej służby występował w kombinacji brytyjskiego munduru i elementów ubioru

arabskiego, czym doprowadzał stuprocentowych zawodowców do białej gorączki. Zdarzało mu się także pojawiać w kompletnym arabskim ubiorze.

Na razie jednak mamy jesień 1914 roku i nasz bohater pochylony jest nad mapami frontu w Belgii, gdzie sytuacja przedstawia się coraz mniej ciekawie. Wreszcie 2 listopada marzenie świeżo upieczonego oficera spełniło się: Turcja przystąpiła do wojny po stronie państw centralnych. Pojawiła się szansa na spełnienie postanowienia z czasów pobytu w Syrii – wyrzucić stamtąd Turków, którzy dla Arabów byli najeźdźcami i okupantami, choć łączyło oba narody wyznanie. Dawny przełożony i współpracownik Lawrence’a, który został oficerem sekcji bliskowschodniej wywiadu, wzywa go do siebie, czyli do Kairu. Pierwszy krok został zrobiony. Jednak na kolejne przyjdzie mu jeszcze długo poczekać.

Główny ciężar zmagani wojennych w tym rejonie wzięły na siebie Dardanele i zatoka Suvla, która stała się cmentarzem wielu australijskich i nowozelandzkich chłopców, których tam wysłano, by stworzyć drugi front i odciążyć Rosję. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że Rosji nie można było już pomóc, a Turcy wspierani przez niemieckich dowódców i doradców zatrzymują tę moźe ze względów strategicznych konieczną, ale źle przeprowadzoną operację. W rejonie Kanału i Palestyny, a także dalej na południowy wschód panował spokój. Obie strony, to znaczy Brytyjczycy i Niemcy przewidywali, że kiedyś w przyszłości arabski zryw niepodległościowy może stać się ich atutem, Jeśli tylko karta arabska zostanie umiejętnie rozegrana. Wygląda na to, że Niemcy nie byli w zbyt zręcznej sytuacji, bowiem takie powstanie, nawet jeśli będzie skierowane przeciw Brytyjczykom, postawi ich wobec konieczności osłabienia Turcji, co by nie powiedzieć, sojusznika. Brytyjczycy nie musieli mieć takich skrupułów. Dla nich ważne było, by powstanie miało ograniczony zasięg i nie zaszkodziło ich interesom. Niemcom nie szło najlepiej, ale nie można powiedzieć, żeby się nie starali. W imieniu cesarza na Bliskim Wschodzie działał Kurt Prüfer, poniekąd kolega po fachu Lawrence’a z przedwojennych czasów. Jednak o ile w Egipcie taki plan antybrytyjskiej rewolty miał jakieś szanse, to znacznie gorzej przedstawiała się sytuacja w Palestynie, Syrii, Iraku i na Półwyspie Arabskim. Tam była ona znacznie bardziej korzystna dla Brytyjczyków, ponieważ tamtejsi Arabowie mieli już powyżej uszu pomiatania nimi przez Osmanów i nie byli ślepi – zaczęli zauważać, iż imperium tureckie goni w przyszłościową piętkę. Jednak Niemcom nie udało się nigdzie, natomiast Brytyjczycy...

No właśnie. Musieli najpierw przekonać się o tym, że ofiara pod Gallipoli była bezsensowna, a następnie utknąć ze swoją ofensywą w okolicy półwyspu Synaj, ale to zabrało im ponad dwa lata. Kiedy to wreszcie nastąpiło, nadszedł czas dla Lawrence’a. Przyszły bohater arabskiej rewolty najpierw przez niemal dwa lata porządnie wynudził się w Kairze, ale też miał czas by przemyśleć plan przyszłych działań, a także ich cel, który, o czym już wspominaliśmy, nie zawsze był całkiem zbieżny z celami polityki brytyjskiej w tym regionie. Warto także przypomnieć, że sytuacja na froncie zachodnim była od początku wojny ustabilizowana. Obie strony wykrawały się w niespotykany dotychczas sposób w wojnie pozycyjnej i jedynie front wschodni przynosił zmiany, ale zdecydowanie niekorzystne dla Rosji, która była przecież członkiem Ententy. Gdyby działania Brytyjczyków na Bliskim Wschodzie nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, byłoby dwa do jednego dla państw centralnych w tej krwawej rozgrywce. Na razie nikt nie przewidywał, iż bolszewicy w drodze przewrotu przejmą władzę w Rosji i zawrą pokojowy układ z Niemcami, podobnie jak i Stanom Zjednoczonym daleko było do frontowych okopów we Francji.

16 października rozpoczęła się, kiedy stanął na ziemi Hidżazu, arabska przygoda T.E. Lawrence’a. Niebawem miało się okazać, czy rzeczywiście był tym jednym z nielicznych Europejczyków, którym udało się przeniknąć zasłonę bliskowschodniej tajemnicy i pojąć mentalność oraz kulturę arabską, a także sposób prowadzenia wojny przez ludy pustynne, bo to było teraz najważniejsze. Trudno nam dziś zrozumieć, jakimi cechami, poza ogromną inteligencją, musiał wykazać się ten brytyjski oficer, żeby jego misja odniosła zamierzony skutek.

Może najpierw kilka słów o charakterze tej rozpoczynającej się kampanii, takiej, jaką ją widział Lawrence: „Wojna hidżaska powinna tymczasem stać się czymś w rodzaju walki derwiszów z armią regularną. Powinna to być batalia skalistego, górzystego i jałowego kraju (wzmocnionego hordą na wpół dzikich górali) przeciwko nieprzyjacielowi posiadającemu takie mnóstwo niemieckiej broni, że prowadzenie wojny partyzanckiej stało się dla niego niemożliwością. Strefa gór stanowiła raj dla strzelców wyborowych, a Arabowie byli w tej dziedzinie prawdziwymi artystami. (...)”

Gdy patrzyłem na ten obcy mi krajobraz, wydało mi się niemożliwe, aby bez zdrady części plemion górskich Turcy odważyli się na przemarsz przez ten teren. Ale nawet w przypadku zdrady próba przeforsowania pasma górskiego byłaby zbyt niebezpieczna. (...)”

Jedyną niepokojącą stroną był paniczny lęk, jaki budziła w Arabach turecka artyleria. (...) Arabowie święcie wierzyli, że broń jest tym groźniejsza, im więcej

robi hałasu. Nie bali się kul karabinowych ani nie lękali zbytnio śmierci, ale śmierć od szrapnela wydawała im się nie do wytrzymania. Doszedłem do wniosku, iż jedynym sposobem przywrócenia im wiary we własne siły jest dać im armaty, dobre lub złe, byle głośne. Wszyscy, od dostojnego Fajsala do nagiego wyrostka, marzyli tylko o jednym: artyleria, artyleria i jeszcze raz artyleria.”

Jak widać, Lawrence nie tylko dobrze znał psychikę żołnierzy, czy raczej wojowników, którymi miał dowodzić, ale także wiedział, jakie kroki podjąć, by ich walka okazała się skuteczna. Często mawiał, iż Arabowie są dobrymi żołnierzami, jeśli są dobrze dowodzeni. Cóż to jednak znaczy: dobrze dowodzić? Na to z pozoru proste pytanie nie ma jednej, uniwersalnej odpowiedzi. Z perspektywy czasu można śmiało powiedzieć, że gdyby arabską rewoltą dowodził nawet najbardziej utalentowany i doświadczony absolwent Sandhurst, istniałaby tysiąc i jedna przesłanka nie tylko klęski, ale być może ten zryw nie doszedłby w ogóle do skutku. Prawdopodobnie ów hipotetyczny oficer zacząłby wdrażać Beduinów do pojmowanej po europejsku wojskowej dyscypliny. Ponadto starałby się, zgodnie z duchem tamtych czasów, zachować i podkreślać swe oficerskie prerogatywy, że nie wspomnę o eksponowaniu inności czy wręcz obcości – kulturowej i wszelkiej innej. Jako zawodowy wojskowy z pewnością dbałby o nieskazitelność wszystkich szczegółów swojego umundurowania. Ponadto jako człowiek Zachodu ceniłby sobie życie, przede wszystkim własne, i nie potrafiłby tego ukryć. Można by tę listę jeszcze znacznie wydłużyć, choć być może nie wszystkie zawarte na niej pozycje zmaterializowałyby się w jednej osobie. Jednak i tego, co już mamy wystarczyłoby, żeby, jak to się mówi, położyć sprawę.

Jak wyglądała droga do wojskowości Lawrence’a już wiemy. Wiemy też, iż potrafił ludziom wśród których przebywał okazać zainteresowanie i zrozumienie. To był już jakiś fundament. Poza tym sam niespecjalnie hołdując wojskowej dyscyplinie, nie zamierzał poddawać jej swoich towarzyszy broni. To chyba najważniejsze określenie, bowiem bardzo dbał o to, aby jego podkomendni czuli się właśnie w pierwszym rzędzie towarzyszami broni, a nie podkomendnymi, z którymi łączy go jedynie zależność służbowa. Kiedy było trzeba, sam podejmował się arcyryzykownych zadań, jak choćby wysadzanie pociągów i mostów kolei bagdadzkiej. Brytyjskie dowództwo nie było, rzecz jasna, zachwycone tym „zarabizowaniem” swojego podkomendnego, jednak tolerowało i nieregulaminowym strój i poważne braki w wojskowej etykiecie, takie jak nieoddawanie honorów i głośne komentowanie rozkazów, a nawet epitety pod adresem wyższych rangą wypowiedziane na głos w ich obecności. Uważano, że jest okropny, ale jedyny do tej roboty. Szczytem jego ekstrawagancji było zameldowanie się w sztabie gen. Allenby’ego w kompletnym arabskim stroju nie pierwszej czystości. Co bardziej ograniczeni oficerowie sugerowali odesłanie go do kraju, a bezpośredni przełożeni udzielali mu od czasu do czasu reprimend, natomiast wyżsi przełożeni oraz Whitehall dostrzegali jego użyteczność i rozgrzeszali go z tych ekscesów. Jednak takie zachowanie nie było jedynie podkreślaniem własnej indywidualności i nie wynikało ze sprzeciwu wobec jednolitości i monotonii mundurowych dni. Było to coś znacznie więcej.

Ryzyko związane z prowadzeniem akcji bojowych na terenach Hidżazu rosło wraz z przyłączeniem się do oddziałów Fajsala, przyszłego władcy części wyzwolonych terenów, nowych plemion, które często bywały ze sobą skłócone. Jednak ta dziwna postać na czele oddziałów, które w szczytowym momencie działań liczyły ponad 10.000 Beduinów, oddziaływała magicznie. Lawrence mógł sobie pozwolić na zaatakowanie i wyzwolenie tak ważnego strategicznie dla Turków punktu, jakim była Akaba. Mógł sobie pozwolić także na zignorowanie zaleceń dowództwa i przeniesienie działań zaczepnych na Irak i zacząć poważnie planować marsz na Damaszek. Zalecenia dowództwa wynikały z umowy Sykes-Picot (16), o której Lawrence nie mógł mieć pojęcia, a ich realizacja zakładała całkowite ubezwłasnowolnienie państw arabskich, w każdym razie na terenie dzisiejszej Syrii, która miała dostać się w strefę wpływów Francji, co zresztą po wojnie nastąpiło, oraz na terenie Palestyny, która miała znaleźć się pod protektoratem brytyjskim. Trudno dziś byłoby stworzyć mapę marzeń Lawrence’a, ponieważ on sam pisał na ten temat dość mgliście, a biografowie nie mają umiejętności czytania w myślach, zwłaszcza osób nieżyjących. Zarówno jednak on sam jak i jego angielscy podkomendni wspominają, że gdy nadchodziły wynikające z niej instrukcje, zaczął miewać samobójcze myśli i ze straceńczą determinacją podejmował najbardziej ryzykowne akcje. Do jednej z nich należał marsz na Damaszek, który z jednej strony stanowił bardzo istotne wsparcie dla ofensywy Allenby’ego w Palestynie, ale był także rażącym pogwałceniem wspomnianej umowy. Rzecz inna, że trudno dziś ustalić, gdzie widział granicę pomiędzy brytyjskim interesem politycznym, a dążeniami swoich arabskich przyjaciół. Jedno jest pewne – na interes Francji w jego politycznej wizji nie było miejsca. A sprawa osadnictwa żydowskiego w Palestynie? – wypadaloby zapytać. Otóż problem ten, jak zdają się świadczyć jego wspomnienia w ogóle nie wchodził w zakres jego zainteresowań. Błąd? Z pewnością. Jednak jakimś wyjaśnieniem może być fakt, iż kiedy idea syjonizmu dopiero za-

czyniała starania o uwagę Parlamentu i rządu Jego Królewskiej Mości, Lawrence, był o całe tysiące mil od politycznego zgiełku.

Tymczasem nadszedł rok 1918. Walki ustały także na Biskim Wschodzie. Lawrence opuszcza Arabię, by już tam nigdy nie powrócić. Centrum akcji przeniosło się do Wersalu i Paryża, gdzie T. E. Lawrence przez pewien czas był kimś w rodzaju eksperta czy doradcy arabskiego przedstawiciela, Fajśala. Dopiero wtedy, szukając sojusznika dla arabskich roszczeń w stosunku do Palestyny, wraz z Fajśalem zwrócili się o poparcie do przywódcy ruchu syjonistycznego, późniejszego prezydenta Izraela, Chaima Weizmana, który im poparcia udzielił i w przeddzień konferencji opublikowali wspólny dokument. Dziś brzmi to jak baśń, ale tak było. Jednak konferencja pokojowa ostatecznie pogrzebała jego marzenia, a wizja dzielnych Arabów upominających się o swoje coraz bardziej zmierzała w kierunku szafy z tematami dla Hollywood, podobnie jak i postać samego Lawrence'a, do której w późniejszych czasach kilkakrotnie sięgano. Dla publiczności był kimś w rodzaju współczesnego lorda Byrona, postacią rodem z romantycznej tradycji.

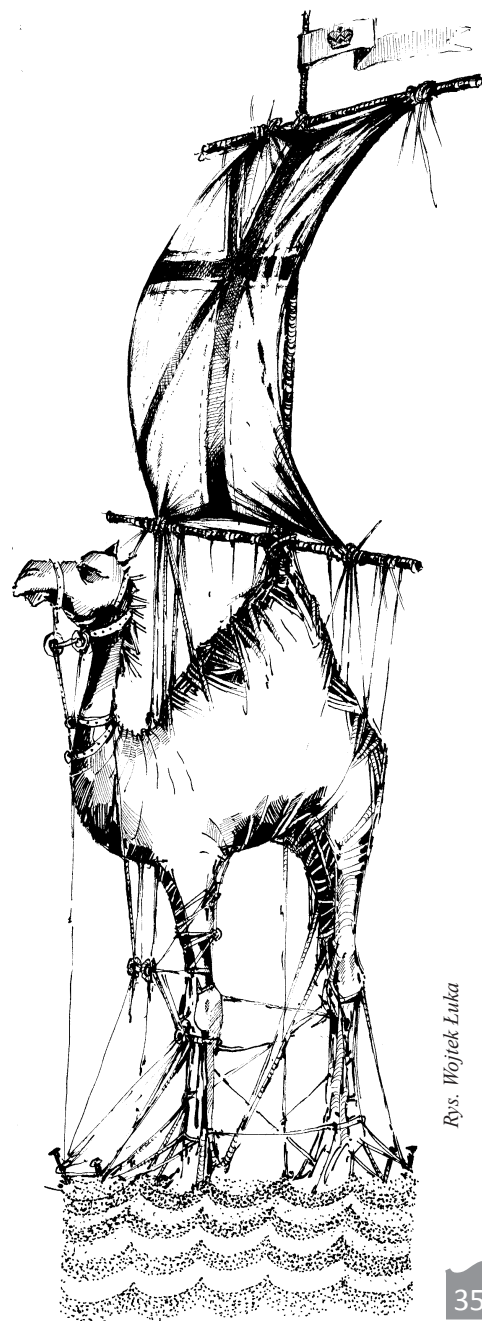
On sam pragnął usunąć się w cień. Był człowiekiem wypalonym i głęboko rozczarowanym. Przez krótki czas pracował w Urzędzie do spraw Kolonii, którym kierował Winston Churchill. W 1922 roku zgłosił się do dowództwa RAF z prośbą o przyjęcie do służby w stopniu szeregowca. Przypomnijmy, iż zakończył swą bliskowschodnią służbę w stopniu pułkownika. Zmienił także nazwisko na John Hume Ross, a następnie na Thomas Edward Shaw. W 1929 roku zamieszkał na wsi i oddał się spisywaniu wspomnień. Stał się odludkiem i unikał spotkań nawet z przyjaciółmi, także arabskimi, z wojennych czasów. Jeśli brał w nich udział, to bardzo niechętnie. Oto jego wypowiedź na temat spotkania z Fajśalem, jakie miało miejsce w 1925 roku: „Zmieniłem się – pisał po spotkaniu do swej przyjaciółki Charlotte Shaw. – Lawrence, który przyjaźnił się z takimi ludźmi, już nie żyje. Więcej niż nie żyje. Jest obcym człowiekiem, którego kiedyś znałem.”

Nowe czasy, nowi gracze

A Bliski Wschód? Zarówno Brytyjczycy jak i Francuzi zbierali gorzkie żniwo umowy Sykes-Picot. Jak przewidział Lawrence, najpierw zbuntowały się i wystąpiły zbrojnie plemiona syryjskie, a następnie doszło do rewolty w Iraku. Sytuację komplikowały dodatkowo dwa czynniki. Pierwszy z nich, to włączenie się do gry o surowce, a co za tym idzie do polityki bliskowschodniej olbrzymia, który do tej pory trzymał się na uboczu, a włączywszy się w 1917 roku do wojny, w znacznym stopniu przechylił szalę zwycięstwa na korzyść Ententy i teraz nie miał zamiaru rezygnować z udziału w podziale łupów. Mowa oczywiście i Stanach Zjednoczonych, które odchodząc od polityki izolacjonizmu, nie miały ochoty do niej powracać. Drugim ważnym elementem był napływ żydowskich osadników i dążenie syjonistów do utworzenia w Palestynie żydowskiego państwa. Fajśal swoim podpisem pod wspomnianym dokumentem, ogłoszonym wspólnie z Weizmanem naraził się islamskim fundamentalistom, a brytyjska polityka w tym rejonie wywoływała zamieszanie i poczucie niepewności. Dochodziło do starć zbrojnych i wydawało się, że protektorzy nie robią nic, aby sytuację uspokoić. Brakowało politycznej wizji oraz kogoś, kto mógłby załagodzić konflikty, o których rozwiązanie w latach dwudziestych ani trzydziestych minionego stulecia nikt się nie starał. Sytuacja zaczynała się zaogniać zwłaszcza w drugiej połowie lat trzydziestych, kiedy przybierał na sile exodus Żydów europejskich, zwłaszcza z krajów dotkniętych brunatną czy czarną zarazą.

Druga wojna okazała się jeszcze bardziej światową damą niż jej poprzedniczka. Działania wojenne i ruchy wojsk objęły niemal wszystkie zakątki świata. Polska epopeja wojenna rozgrywała się także na Bliskim Wschodzie. Polscy żołnierze, a wraz nimi spora grupa cywilów, dotarli tam przez Związek Sowiecki i Iran. Jednak góry perskie czy pustynia iracka oraz wspaniałe zabytki kultury materialnej i duchowej tych krajów, jak również Palestyny były jedynie tłem. Także w literaturze. W „Karabeli z Meschedu” czy „Trębacz z Samarkandy”, jak w wielu innych utworach, także reportażowych, uwaga autora skupia się na sprawach polskich. Czasy nie były po temu, żeby rozkoszować się wspaniałościami krajów przez które wiodła droga polskich żołnierzy.

Po zakończeniu wojny sytuacja na Bliskim Wschodzie okazała się nie mniej zapalna i niestabilna niż w 1939 roku. Przede wszystkim powstało państwo Izrael, które rodziło się w niezwykle bolesny sposób. Poza tym pojawił się nowy gracz przy stoliku naftowego pokera – Związek Sowiecki. Ponadto w samym świecie arabskim sytuacja była dość płynna. Brak stabilizacji ustrojowej, spory graniczne, spory dynastyczne powodowały przekonanie chyba wszystkich mocarstwowych partnerów, iż o ryby najłatwiej w mętnej wodzie. Co prawda idea kolonii czy



Rys. Wojtek Łuka

protektoratów mocno się już wtedy przeżyła, jednak jej zejście z politycznej sceny odbywało się w sposób niezbyt elegancki. Zapierała się nogami i rekami, chwyciła kurtyny, ale duch czasów, cokolwiek pod tym pojęciem rozumiemy, był nieubłagany. Znakomicie ilustruje to zjawisko uwaga Winstona Churchilla poczyniona jeszcze przed wojną, w czasach gdy stał na czele Urzędu do spraw Kolonii; zauważył on mianowicie, że pieniądze płyną nie w tę stronę, co trzeba. Recz w tym, że utrzymanie kolonii i zarządzanie nimi w taki sposób, by się nie burzyły, kosztują więcej, niż kolonie dają państwu przychodu. To przesądziło sprawę, nawet w tych państwach, które zarządzały swoimi koloniami w sposób wybitnie rabunkowy. I tak sobie ta idea schodziła ze sceny przez kilkadziesiąt lat. Oczywiście nikt nie miał zamiaru rezygnować z wpływów w tych postkolonialnych rejonach.

Dwuznaczne uroki Zachodu

Trzeba jednak zauważyć, że poza ruchem gotówki, zaobserwowano z czasem także ruch ludności, także, z punktu widzenia niektórych dziś działających ugrupowań czy partii politycznych, w niewłaściwym kierunku. Niemożliwe było, i to z wielu przyczyn, zarówno etycznych, jak i ekonomicznych, odcięcie wszelkich kontaktów z krajami, które się kiedyś eksploatowało. Tak na przykład wielu prominentnych mieszkańców Indii czy krajów arabskich posiadało tytuły szlacheckie, nadane np. rodzinie Tata jeszcze przez królową Wiktorię. Były także osoby, które miały już obywatelstwo dawnych metropolii, jeszcze inni po prostu nie dowierzali stabilności politycznej i gospodarczej swego kraju, który dopiero co wybił się na niepodległość, czego przykładem mogą być rodzice światowej sławy pisarza Salmana Rushdie. Byli ludzie, którzy zdobyli wykształcenie we Francji czy w Anglii i pragnęli tego samego dla swoich dzieci. Uczelnie krajów arabskich wciąż nie mogły dotrzeć w tamtych czasach do poziomu bagdadzkiej Mustansirii. Po 1956 roku dla studentów z tzw. krajów trzeciego świata otwały także swoje podwoje uczelnie krajów wschodniej Europy, ze słynnym uniwersytem Lumumby w Moskwie. Dlaczego ów uniwersytet był słynny? Z pewnością nie dla swojego poziomu nauczania, o którym we sumie niewiele wiemy. Jego „produktem flagowym” byli komunistyczni agenci, działający następnie jako piąta kolumna komunizmu w swoich ojczystych krajach, głosząc chwytliwe hasła i siejąc tyle zamętu, ile się tylko dało i krzyżując w ten sposób plany pozostałych mocarstwowych i niekoniernie mocarstwowych graczy, także na Bliskim Wschodzie. Trudno powiedzieć, czy ludzie ci odgrywali jakąś rolę w procesie zbliżania się czy przenikania kultur. Raczej postawiłbym ich w jednym szeregu z playboyami z bogatych czy nawetznaczonych koron rodzin bliskowschodnich, którzy zapelniali kasyna Europy i Ameryki w czasach naftowego boomu, a zapewne i teraz nie brakuje ich w Monte Carlo czy Las Vegas. Podejrzewam, że jedyny ich kontakt ze słowem drukowanym to giełdowe notowanie ropy brent i temu podobne. Tamci natomiast, zorientowawszy się, iż ich czas może nie być długi, jako że socjalizm na tej szerokości geograficznej, podobnie jak demokracja, ma jeszcze długą drogę przed sobą, napychali kieszenie sobie, krewnym i członkom swego klanu i nie stronili od dyktatorskich metod rządzenia, jak np. Saddam Hussein. Kultura i zabytki były jedynie chorągiewką, która miała przyciągnąć turystów i sprawić wrażenie oświeconych rządów. Nie jest przypadkiem i fanaberią z ich strony, iż wielu pisarzy, poetów i artystów tego kręgu kulturowego przebywa i tworzy na emigracji. Buland Al. Haydari, kurdyjski poeta z Iraku, którego wpływ na poezję języka arabskiego był znaczący, większą część swojego życia spędził na wygnaniu i zmarł w Londynie. Podobnie wielu pisarzy i intelektualistów, głównie z Północnej Afryki, szukało azylu we Francji. Propaganda w ich krajach rodzinnych przedstawiała ich jako odstępców od własnej kultury i zdrajców. Ich oddziaływanie na kulturę zachodnią było bardzo różnicowane, ale w sumie raczej niewielkie. Ta sytuacja zaczęła się zmieniać w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Było to skutkiem m. in. zwrócenia uwagi na tych twórców przez komitet literackiej nagrody Nobla, ale też i sukcesami czytelnictwami u zachodniej publiczności takich autorów jak Salman Rushdie, egipski noblista Nagib Mahfouz oraz turecki laureat Orhan Pamuk. Nie nobliści znacznie liczniej są reprezentowani w naszych księgarniach, jak choćby afgańsko-amerykański pisarz Khaled Hosseini, autor głośnej powieści „Chłopiec z latawcem”. Przebijają się przez barierę językową, choć często nie muszą, gdyż potrafią równie dobrze pisać w języku angielskim czy francuskim, autorzy z Palestyny, Syrii czy Iraku. Zainteresowanie ich twórczością wynika z tego, iż niezależnie od sytuacji politycznej, mają nam wiele do powiedzenia, a my wbrew naszym fobiom i uprzedzeniom, chcemy tego wysłuchać. To już nie jest sprawa gadających ryb, bądź wymaginowanych pereł w Zatoce. Po prostu świat się kurczy, a my świadomie lub nie, korzystamy z tej sytuacji.

(Koniec)

W wczesnym dzieciństwie, przez kilka lat – w oczekiwaniu na mieszkanie w bloku – mieszkaliśmy z rodzicami na Biadaczu, tajemniczym i budzącym uzasadniony lęk zakątku dawnych Wielkich Hajduk, dzisiaj nazywanych Chorzowem Batorem. Jakiś czas temu w jednym z tekstów nazwałem pochodzącego z Hajduk krakowskiego filozofa Jana Kielbasę „synkiem z Biadacza”. Mama uczonego przyjęła to z nietłumioną dezaprobatą, twierdząc, że Biadacz zaczyna się „za torami” (miała na myśli do dziś istniejące wewnętrzne, zakładowe tory kolejowe łączące Hutę „Batory” z linią kolejową Gliwice–Katowice oraz okolicznymi zakładami pracy). Nie myliła się, Kielbasowie bowiem mieszkali na rogu ulic Szpitalnej i Żelaznej. Ta ostatnia prowadziła wprawdzie do samego serca Biadacza, ale zaczynała się jakieś dwieście metrów przed torami. Zatem w rzeczy samej nie mieszkali na Biadaczu.

Moja niefrasobliwość dotycząca granic Biadacza zburzyła intrygującą – jak naiwnie mniemałem – myśl, wedle której laureat III miejsca polonistycznej olimpiady na szczeblu ogólnopolskim z III LO w Chorzowie (1977/1978), a po latach tłumacz Jeana-Paula Sartre’a, znawca i komentator filozofii średnio-wiecznej, pochodzi z Biadacza. Błąd wynikał z mojej oczywistej pomyłki natury topograficznej wprawdzie, ale jego skutki brały się stąd, że – jak się okazało – mieszkać w Hajdukach a mieszkać na znajdującym się w ich obrębie Biadaczu czyniło jednak różnicę, przynajmniej dla niektórych.

Jednak historia, którą chcę tu opowiedzieć, nie dotyczy samego Biadacza czy samych Hajduk, ale każdego, nawet najbardziej niepozornego i niewielkiego zakątka Górnego Śląska, a pewnie i każdego ze światów najmniejszych. Znajdujące się w Hajdukach liceum, które kończyłem w 1985 roku, kilka lat wcześniej wypuściło w świat paru energicznych chłopców, którzy w większości mieszkali zaledwie kilkaset metrów od niego (ze mną rzecz miała się zresztą nie inaczej). Był wśród nich wspomniany Jan Kielbasa (matura 1978), ale także Jarosław Świerszcz, znany szerzej jako Ingmar Villquist – jedna z najbardziej interesujących postaci we współczesnej środkowoeuropejskiej dramaturgii. Tutaj się urodził i tutaj ukończył w 1979 roku wspomniane III LO im. Stefana Batorego. Maturę zdawał w klasie z Piotrem Naliwajką – malarzem uznanym i cenionym, jedną z artystycznych indywidualności we współczesnej Polsce. Dodajmy, że w otoczeniu Świerszcza, Kielbasy i Naliwajki znaleźli się także inni koledzy z „Batorego”, m.in. publicysta i poeta Krzysztof Karwat (matura 1977) – autor cieszącego się od wielu lat niezmienną popularnością, prezentowanego w chorzowskim Teatrze Rozrywki, cyklu „Górny Śląsk – Świat Najmniejszego”. W klasie

Chłopcy z ferajny



JACEK KUREK KAMIEŃ DROGOCENNY

Janka i jego żony Lilki (lektorki i tłumaczki) znalazł się także nieżyjący już Tomasz Chmiel – talent wielki i autor najlepszej pracy maturalnej (wedle oceny Kuratorium Oświaty) w roku 1978. Był w tej pokoleniowej grupie także poeta Piotr Zaczkowski, który szkoły tej nie ukończył, ale po latach napisał książkę znaną jako *Szkola złudzeń. Dziennik*, gdzie tamte szkolne czasy, rzecz jasna, przywołuje. Wrócił później, po latach, by prowadzić nieraz ekstremalnie niekonwencjonalne zajęcia. Dziś jest dyrektorem instytucji „Katowice Miasto Ogrodów”. Byli i inni...

Szczególne pokolenie? Wyjątkowa szkoła?, a może to miejsce – Hajduki – szczególnie naznaczone?... Albo najwyżej... życie i jego niespodzianki.

Piotr Naliwajko mimo intratnych propozycji i kuszenia przez Holendrów nie opuścił Hajduk do dziś. Jarosław Świerszcz w licznych wypowiedziach wyraża swoje najgłębsze przywiązanie do lokalnego świata, z którego pochodzi, a Chorzów konsekwentnie nazywa Królewską Hutą. Jednak gdy w 2004 roku został laureatem Nagrody Prezydenta Chorzowa w dziedzinie Kultury, nie przyjechał, by ją odebrać (to jedyny taki przypadek w historii nagrody). Nie znalazł wówczas powodu, by na ten jeden wieczór opuścić Gdynię, w której w tamtym czasie wystawiał. Dziś znówu mieszka w Hajdukach. Jest autorem dramatów *Miłość w Königshütte* (2012) i *Chłopiec z labędziem* (2015). Dla niewtajemniczonych rzeźba (fontanna) o takiej nazwie – autorstwa królewskohuckiego rzeźbiarza Teodora Kalidego – zdobi chorzowski plac Matejki, a w jednej z tamtejszych kamienic rozgrywa się akcja dramatu. Villquist zrealizował też (wraz z Adamem Sikorą) film *Ewa*, kręcony m.in. w Chorzowie i Świętochłowicach.

Jest wśród chłopców z ferajny także dziewczyna. Z tego samego kręgu pokoleniowego pochodzi przecież Alina Pawłowska-Zampino (matura 1980) – mieszkająca w Rzymie znakomita tłumaczka literatury włoskiej i wykładowczyni praktyki i teorii tłumaczeń, a także muzyk. Wcześniej szkołę kończyli m.in. Jacek Maziarski (matu-

ra 1954) czy Jerzy Cnota (matura 1960), a już w latach dziewięćdziesiątych XX w. Wojciech Kuczok (matura 1993). Wśród absolwentów pierwszego rocznika w 1951 znalazł się Józef Stempel, by poprzestać tylko na wybranych artystach i ludziach pióra. Wszyscy wymienieni to – rzecz jasna – laureaci Honorowej Statuetki Batorego, większość także Nagrody Prezydenta Chorzowa w dziedzinie Kultury.

Czasy, w których maturę zdawali Naliwajko, Świerszcz czy Kielbasa, gromadziły w III LO tych, którzy do tej szkoły mieli najbliżej, młodzież robotniczej dzielnicy Chorzowa Batorego i bardzo bliskich Świętochłowic. Dopiero po latach miało się to zmienić. Co zatem mogą znaczyć tak często wyrażane opinie w rodzaju: „szkoła niczym się wtedy niewyróżniająca”, bo „dzielnica robotnicza”, bo „Biadacz”? Jakie znaczenie może mieć przekonanie, że z pewnych miejsc na pewno nic dobrego nie wyjdzie? A może właśnie przede wszystkim z nich... Stąd. Znikąd indziej...

Dziś chorzowski „Batory” to szkoła renomowana, „dobrze jest chodzić do „Batorego”, „dobrze jest widziane chodzenie do «Batorego»”. Snobizm? Jak najbardziej! Jeśli wziąć pod uwagę pochodzenie słowa „snob”: *sine nobilitate* (bez szlachectwa) wpisywano w XVIII i XIX wieku w dokumentach uniwersyteckich tym chcącym się uczyć, którzy nie byli szlachetnie urodzeni. *Sine nobilitate*. W skrócie *s. nob.* Z czasem zniknęła znacząca kropka. Ale nigdy nie zniknęła potrzeba kształcenia się. I ci, którzy nieraz wbrew wszelkim przeciwnościom, gotowi byli wykorzystać swoją szansę. A do wielkich osiągnięć – takich na miarę sukcesu wspomnianych tu osób – idzie się przez wąskie, krzywe czasem, biadackie, chodniki... Warto o tym pamiętać w dobie szaleństwa elitarnych szkół, ogradzanych osiedli i mnożących się zakazów wstępu, wjazdu czy przejść... Fenomen samobójczy dla lokalnego świata segregacji i podziałów, zaniku wspólnot i idei sąsiedztwa, w naszych miastach, w których coraz więcej „gorszych” dzielnic.



Jerzy Szczakiel mistrz świata na żużlu 1973 r.

Nieoczekiwany mistrz świata

JAN COFAŁKA

To była wielka sensacja, która 2 września 1973 roku zaskoczyła stu-tysięczną widownię zgromadzoną na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Nikt prawie nie liczył, że 24-letni Jerzy Szczakiel z Opola, jako pierwszy Polak w historii, zdobędzie tytuł indywidualnego mistrza świata na żużlu.

Wszystko przez siostry

Urodził się 28 stycznia 1949 roku w Grudziach pod Opolem, gdzie jego rodzice posiadali gospodarstwo rolne. Ojciec Alojzy miał głowę do interesów więc ich wielodzietna rodzina nie cierpiała biedy. W domu panowała dyscyplina i Eda, jak do niego mówili w domu, od małości miał różne obowiązki. Po latach wyzna, że jego motocyklowa pasja zrodziła się za sprawą sióstr, głównie listonoszki Renaty, która wygrywała liczne zawody kolarskie, zdobywając cenne nagrody, w tym motocykle WFM. Właśnie WFM- emkę, gdy nikogo nie było w domu, uruchamiał już jako siedmiolatek. Był zbyt mały by na nią wsiąść, podprowadzał więc ją pod murek, odpalał, i z tego murku wskakiwał na siodełko. Początkowo jeździł po podwórku, z czasem wypuszczał się dalej, o czym sąsiedzi informowali ojca, od którego za to obrywał. Kiedy miał 15 lat spytano go w „zawodówce” w Opolu do której uczęszczał, kim chce być, odpisał bez wahania: żużlowcem.

Początki

Kiedy ukończył 16 lat poszedł na kurs prawa jazdy, by po jego zdobyciu zapisać się do wymarzonej szkółki żużlowej Kolejarza Opole, w której od razu wykazywał niezłe umiejętności. Największym jego kibicem była matka. Nawet kiedy na piątym treningu złamał obojczyk. Wymusiła jednak przyrzeczenie, że nie tknie, jako zawodnik, alkoholu. Kiedyś jednak napił się szampana, bo postawił go sam Ivan Mauger, takim mistrzowi nie wypadało odmówić. Wierzył w Szczakiela trener Jan Stormowski obiecując, że zrobi z niego mistrza oraz szef Głównej Komisji Żużlowej płk Rościśław Słowiecki, który wstawił go do reprezentacji Polski w dwóch najważniejszych dla niego „złoty” zawodach.

Eda – walczak

W 1967 roku Eda, zastępując kolekę, debiutuje w meczu drugoligowego wówczas Kolejarza Opole ze Stalą Toruń, zdobywając pierwsze trzy punkty. Potem, z meczu na mecz, spisywał się coraz lepiej. W następnym roku był jednym z najlepiej punktujących zawodników w drużynie. Pierwszy komplet 15 punktów, za wygranie wszystkich wyścigów w czasie zawodów, zdobył w 1969 roku.

Mówiono o nim *walczak*, bo nigdy nie odpuszczał na torze wykazując dużą waleczność. Nawet zarzucano mu, że jeździł za ostro, wtedy odpowiadał, że nikogo *nie wsadził w dechy*, czyli w drewnianą bandę okalającą wówczas tor żużlowy, choć zdarzyło mu się raz samemu pojechać na łuku jednym kołem po niej. Wtedy popularne stało się powiedzenie: *wyrobił się jak Szczakiel na wirażu*. Lubił się wyżyć, ale nie było to żadne wariactwo. Kiedyś jednak ścigając się z Janem Muchą przez cały luk jechał trzymając nogę na jego ha-

ku, bo Mucha miał szybszy motocykl i by mu uciekł.

Kibice nie przepadają za mięczakami więc go lubili. Potrafił weisnąć się motocyklem w najmniejszą szczelinę między walczącymi zawodnikami. W żuźlu – jak twierdzi – najwięcej zależy od motocykla, ale niektórzy choć mają doskonałe maszyny nie potrafią ich wykorzystywać, bo brakuje im odpowiedniej techniki. Trzeba też mieć szczęście i sporo trenować. Szczakiel jako zawodnik zawsze był bardzo obowiązkowy. Potrafił przyjść na stadion nawet o piątej rano, by popracować nad motocyklem.

W czasach kiedy był czynnym zawodnikiem otrzymywał w klubie dwa motocykle rocznie, które musiały mu wystarczyć na cały sezon, odpowiednio przysposobione przez mechanika i niego samego. Sporto musieli się nagłówkować, by odpowiednio doregulować różne części, by silnik pracował tak, jak sobie życzyli.

Na silnik motocykla, na którym zdobył tytuł mistrza świata trafił przypadkowo. Kiedyś, zmęczony treningiem, chciał już pójść pod prysznic, ale mechanik błagał go, żeby przejechał się motorem klubowego kolegi, któremu jazda na nim nie wychodziła. Szczakielowi nie bardzo się chciało, lecz dla świętego spokoju uległ, wsiał, zrobił parę kółek i odeszło mu zmęczenie, bo silnik w tym motorze nie spadał na łuku z obrotów, a to było to, czego od dawna poszukiwali. Jego mechanik Witold Banik okazał się także szczęśliwym prorokiem, bo przed wyjazdem do Chorzowa powiedział mu, że wygra tam złoto i tak się stało.

O mało się nie załapał

Szczęśliwym okazał się dla niego rok 1971, w którym najpierw wywalczył awans do finału mistrzostw świata w Göteborgu, a potem w Rybniku, w parze ze starszym o osiem lat Andrzejem Wyglendą, z kompletem 30 punktów, sięgnęli po złoty medal Mistrzostw Świata Par Żuźlowych, pokonując takie sławy jak: Barry Brigs i Ivan Mauger z Nowej Zelandii oraz Anders Michanek i Bernt Person ze Szwecji. Przy czym start Szczakiela nie był pewny. Spodziewano się raczej wystawienia pary klubowej rybnickiego ROW: Andrzeja Wyglendy i Antoniego Woryny, obeznanej z miejscowym torem, w końcu jednak zdecydowano się na Szczakiela, który świetnie sobie tu radził.

Największy osobisty życiowy sukces osiągnął Jerzy Szczakiel dwa lata później.

Każdorazowo finał indywidualnych mistrzostw świata na żuźlu poprzedzany był cyklem turniejów eliminacyjnych dla wyłonienia najlepszej na świecie szesnastki. Gospodarzowi mistrzostw przysługiwało prawo wystawienia 5 zawodników oraz rezerwowego.

Jerzy Szczakiel przed tym, już 37 finałem Indywidualnych Mistrzostw Świata w Chorzowie, nie był w najwyższej formie, mniej trenował ucząc się do matury i mocno przeżywał śmierć matki Jadwigi, z którą był bardzo uczuciowo związa-

ny. Czekał jednak spokojnie na decyzję, zawsze bowiem był skromny i nie lubił się pchać tam, gdzie go nie proszono.

O tym, że został zakwalifikowany dowiedział się na tydzień przed startem. Uczestniczył więc w tych mistrzostwach bez większego psychicznego obciążenia, bo nikt specjalnie na niego nie liczył. Nie należał też do faworytów mediów, których ulubieńcem był najmłodszy z Polaków, 20-letni Zenon Plech ze Stali Gorzów. Dzień przed finałem w Chorzowie telewizja pokazała film Mariusza Waltera „Wiraże nadziei” poświęcony Plechowi, a „Przegląd Sportowy” zamieścił jego zdjęcie na stronie tytułowej.

Do tego na stadionie witał Plecha transparent „Świat przyjechał do Chorzowa, mistrz pojedzie do Gorzowa!”. Oprócz Zenona Plecha i Jerzego Szczakiela w polskiej reprezentacji znaleźli się: Paweł Waloszek, Jan Mucha i Edward Jancarz i – jako rezerwowi – Andrzej Wyglenda.

Nadzieję kibiców na zwycięstwo Polaka mocno podsylił podwójny sukces naszych kolarzy Ryszarda Szurkowskiego i Stanisława Szozdy, którzy dzień wcześniej w Barcelonie zdobyli mistrzostwo i wicemistrzostwo świata w wyścigu amatorów. Teraz kibice żuźla, ciesząc się z pierwszego mistrzostwa naszych kolarzy, oczekiwali podobnej niespodzianki w Chorzowie.

Przed startem

Była niedziela. Jerzy Szczakiel, jak na Ślązaka – katolika przystało, ogolił się, ubrał odświętnie i poszedł rankiem z mechanikiem na mszę świętą do drewnianej kapliczki znajdującej się przy stadionie. Po mszy przyprowadzili pod zakrystię motocykle, które ksiądz poświęcił. Potem zamiast przygotowanego lekkostrawnego obiadu wywalczył przyzwoity, z ulubionym kotлетem schabowym i kapustą, a przed wyjazdem na stadion uciął sobie małą drzemkę.

Faworytem 37 Indywidualnych Mistrzostw Świata na Żuźlu w Chorzowie był Nowozelandczyk Ivan Mauger, czterokrotny mistrz świata w latach 1968, 1969, 1970, 1972, który na dodatek przywiózł nowość techniczną z czechosłowackiej fabryki *Java*, w której testował motocykle dominujące wówczas na torach żuźlowych. Dostał tam silnik z tzw. długim skokiem tłoka w cylindrze, czym pochwalił się na treningu. Ale bardzo szybki motocykl Maugera, co zdążyli z mechanikiem zauważyć, miał drobną, lecz istotną wadę – nie najlepiej wychodził ze startu.

Niesamowite zawody

Jerzy Szczakiel rozpoczął od zwycięstwa nad koalicją skandynawsko-angielską. Z Ivanem Maugerem zmierzył się w ósmym wyścigu i choć przypadło mu niezbyt korzystne miejsce przy bandzie, zdołał objąć prowadzenie i go nie oddał. Tuż za nim pędził Paweł Waloszek a Ivanowi Maugerowi nieoczekiwanie przyszło walczyć o jeden punkt z Rosjaninem Walerem Gordiejewem.

W kolejnym wyścigu Eda walczył ze Szwedem Andersem Michankiem oraz Zenonem Plechem i Janem Muchą. Szwed zerwał taśmę startową i został wykluczony z walki, tym sposobem pozostała na torze trójka Polaków. Zenon Plech spóźnił start i potem już tylko mógł oglądać oddalającego się coraz bardziej, niesamowicie dobrze usposobionego tego dnia, Szczakiela. Do piętnastego wyścigu przystąpił już jako lider z trzema zwycięstwami na koncie, ale przegrał z Rosjaninem Grigorem Chłynowskim, a w kolejnym dał się wyprzedzić Duńczykowi Ole Olsenowi. W rezultacie okazało się, że Szczakiel i Mauger zgromadzili po 13 punktów i o mistrzostwie świata miał zdecydować dodatkowy wyścig, do którego mógł jeszcze dołączyć Plech lub Chłynowski, lecz pojedynek między



Jerzy Szczakiel walczy na torze Stadionu Śląskiego z Peterem Collinsem z Wielkiej Brytanii

nimi okazał się niezwykle dramatyczny. Plech prowadził do ostatniego okrążenia, lecz wściekle atakowany przez Chłynowskiego wywrócił się z nim. Sędzia nie przerwał wyścigu i jego zwycięzcą został jadący za nimi na trzeciej pozycji Anglik Peter Collins. Plechowi przyznano, co prawda, za ten wyścig dwa punkty, razem 12, ale wystarczyły jedynie do brązowego medalu.

Ostatecznie więc do rozstrzygającego o mistrzostwie świata pojedynku stanęli: czterokrotny mistrz świata Ivan Mauger z Nowej Zelandii i dziesięć lat od niego młodszy opolanin Jerzy Szczakiel.

A jednak Szczakiel!

Zacęła się – jak wspomina Jerzy Szczakiel – niezbędna przed takim pojedynkiem celebra: – *Jeszcze przed startem wiedziałem, że mam już pewny srebrny medal. Nie spodziewałem się, że będzie mnie stać na pokonanie, po raz drugi tego dnia, takiego asa jak Ivan Mauger, dlatego zgodziłem się by to on losował tory. Mauger wylosował pierwsze pole, ja miałem się ustawić na mniej korzystnym zewnętrznym trzecim. Teraz wszystko miało zależeć od startu. Wystarczyło, że obaj ruszymy spod taśmy równo i będzie po pitokach, bo Mauger posiadając szybszy motocykl, wejdzie przede mną w pierwszy wiraż i już go nie dogonię.*

Mauger pierwszy podjechał do taśmy i w skupieniu, nieruchomo, czekał na zwolnienie mechanizmu ją przytrzymującego, nie zauważając, że ja podjeżdżając, cały czas przesuwalem się nieznacznie motocyklem do przodu i kiedy taśma wystrzeliła w górę, wygrałem start, po czym mocno ściałem do krawężnika i przed Maugerem, wszedłem w pierwszy luk (dziś sędziowie nie pozwalają na tzw. lotne starty i nakazaliby powtórkę wyścigu, wówczas na to nie reagowano). Stary mistrz jednak nie odpuszczał. Na prostej rozpędził maszynę i zbliżył się chcąc mnie, na kolejnym łuku, wypchnął pod bandę i wyprzedził. Wyczułem ten manewr i – jak mi radził mechanik – nie oglądając się do tyłu pędziłem do przodu pilnując krawężnika, bo to był klucz do sukcesu. Doganiający mnie Mauger przeszarżował, dotknął przednim kołem tyłu mojego motocykla i upadł. O tym, że się przewrócił zorientowałem się dopiero na następnym wirażu.

Trudno dziś orzec, czy gdyby nie upadł, pokonałby mnie na dystansie, czy nie? Stało się



Jerzy Szczakiel na podium, na Stadionie Śląskim w Chorzowie 2 września 1973 r., po zdobyciu tytułu indywidualnego mistrza świata na żużlu, z lewej Ivan Mauger (Nowa Zelandia) z prawej Zenon Plech (Polska)

to co się stało, i ja przy ogłuszającym dopingu kibiców zmierzałem samotnie do mety, po pierwsze w dziejach polskiego żużla indywidualne mistrzostwo świata.

Niektórzy twierdzą, że stojąc na podium płakałem, a w rzeczywistości płakał prezes polskiego żużla, który na mnie postawił. Ja, płakałem tylko na pogrzebie matki. W Chorzowie byłem po prostu bardzo szczęśliwy.

Wymuszony koniec kariery

Jerzy Szczakiel jeszcze raz, rok później, stanął na Stadionie Śląskim na podium, kiedy z Janem Muchą, Zenonem Plechem i Andrzejem Jurczyńskim zdobędą brązo-

wy medal w drużynowych mistrzostwach świata. Potem szczęście go opuściło.

W dniu 22 maja 1977 roku, podczas meczu Kolejarza Opola z Włókniarzem Częstochowa, znany showman żużla Józef Jarmuła, nazywany też „szalonym Józkiem”, już w pierwszym wyścigu, chcąc się popisać, jak walczy z mistrzem świata, doprowadza do szczerzenia się ich motocykli, wskutek czego obaj wylądowali na bandzie. Jarmuła połamał sobie zębra, u Szczakiela nastąpiło złamanie kości skokowej w nodze. Uraz okazał się tak skomplikowany, iż wymagał rocznego leczenia.

W 1978 roku był w stanie wziąć udział w zaledwie w trzech zawodach, nadal odczuwając skutki kontuzji. Wrócił na tor 6 maja 1979 roku i był to jego ostatni sezon. Powodem zakończenia kariery sportowej w 30. roku życia, była kontuzja kręgosłupa.

Czterdzieści lat później

Jerzy Szczakiel mieszka w rodzinnych Grudzicach, dziś dzielnicy Opola, w domu który wybudował w czasie kariery sportowej. Sukces nie przewrócił mu w głowie, choć każdy chłopak chciał być, jak on, mistrzem świata. Legenda tamtego mistrzostwa świata, kiedy to opustoszały Grudzice i okoliczne wsie, bo wszyscy, albo pojechali mu kibicować do Chorzowa, albo siedzieli przy telewizorach, ciągle jest tu żywa. Co roku więc organizuje dla młodych żużlowców zawody „Jerzy Szczakiel zaprasza”.

W czterdzieści lat po jego wielkim sukcesie, miejscy radni i działacze Kolejarza Opola postanowili nazwać ruchliwe rondo wylotowe z Opola do Strzelec Opolskich jego imieniem.

Na rondzie stanął motocykl żużlowy, ofiarowany przez jego macierzysty klub, z przymocowaną z boku tabliczką: „JERZY SZCZAKIEL 1973 Chorzów”.

Rondo przypomina czas najwyższej jego świetności, gdy tak nieoczekiwanie został pierwszym Polakiem, indywidualnym mistrzem świata na żużlu. Na kolejny tytuł kibice musieli czekać znowu 37 lat, do 2010 roku, kiedy to najbardziej utytułowany polski żużlowiec Tomasz Gollob został ponownie mistrzem świata. Pierwszym pozostanie na zawsze Jerzy Szczakiel. ■

Powyższy tekst został przygotowany do nowej książki Jana Cofalki pt. *Legendy sportu śląskiego*.



Rondo im. Jerzego Szczakiela w Opole

GRA

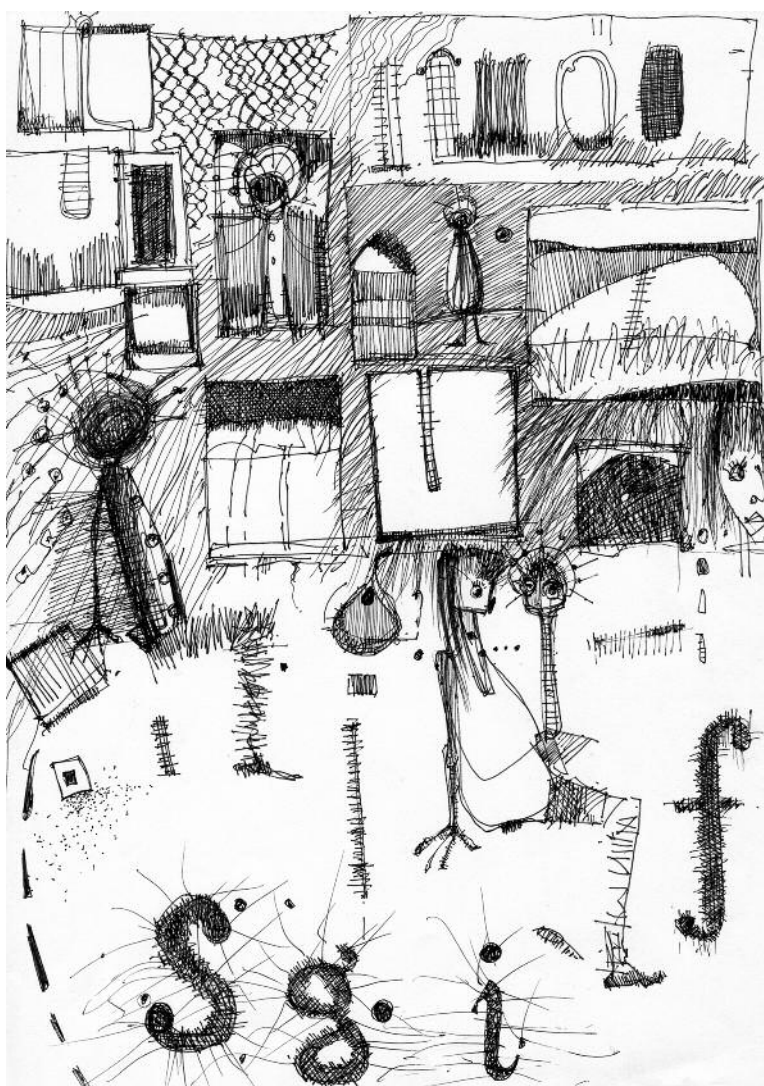
we współczesnym świecie nie warto sięgać dna kielicha jeśli już to tylko muskać płatki korony czyli że nie ma sensu angażować się w coś lub w kogoś dogłębnie zostanie się bowiem tylko zranionym i zdradzonym taki jest świat zdradzasz lub jesteś zdradzony czy ty też w to grasz

LUCYFER I PROMETEUSZ

lucifer czyli „niosący światło” podobnie Prometeusz dał ludziom ogień i został potępiony przez Zeusa Lucyfer dał ludziom jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego i otworzył ludziom oczy to może on jednak nie jest taki zły ten Lucyfer nawet Bóg uznał że mamy wolną wolę i zło jest potrzebne byśmy mogli wybierać więc może Lucyfer jest równie potrzebny jak Bóg i nie można go potępić tak jak i zła które jest na świecie może więc wszystko co się dzieje w życiu trzeba akceptować i poddać się losowi

O TARGOWANIU SIĘ ŻYCIEM

o ile mi wiadomo Kubą-Rozpruwaczem w Anglii był zasłużony lekarz który wynalazł metodę leczenia która uratowała życie tysięcy istnień ludzkich jednocześnie mordował prostytutki czy F. Dostojewski zgodnie z jego powieściami np. ze „Zbrodnią i karą” uznałby go za nadczłowieka który miał prawo mordować kobiety lekkich obyczajów skoro ratował życie tysięcy innych ludzi? czy życie jest wymierne: jednych poświęcać na ołtarzach innych chronić za wszelką cenę?



Rys. Adam Dutkiewicz

Zenon Dytko (1962) – absolwent II LO w Chorzowie. W latach 1982–1983 był studentem wydziału psychologii Uniwersytetu Śląskiego. Publikował w różnych czasopismach, m.in.: „Śląsku”, „Gazecie Wyborczej”, „Dzienniku Zachodnim”, „Wiadomościach Zagłębiowskich” i „Hajduczaninie”. Jego wiersze były czytane na antenie Radia Katowice w Poczcie Poetyckiej Macieja M. Szczawińskiego i nie tylko. Jest laureatem wielu nagród poetyckich. Od zawsze mieszka w Chorzowie. Wydał zbiory wierszy: Grymas „O” (2007), D. i inni (2010), Prysznic (2011), Ty i ja (2012), Zmiany klimatyczne (2013), Żuk gnojarsz i gwiazdy (2014).

Z dyrektorem Pałacu Schoena – Muzeum w Sosnowcu

PAWŁEM DUSZĄ

rozmawia MARIA SZTUKA

Foto. Paweł Więclawek



Kod miasta

– Muzea w XXI wieku mają niełatwy orzech do zgryzienia, szczególnie trudne zadanie stoi przed placówkami regionalnymi, miejskimi. Czy muzeum powinno być nowoczesne i ściągać tłumy zwiedzających?

– Nasze muzeum jest młode, w ubiegłym roku obchodziło 30-lecie. To

krótka historia, ale barwna. U zarania było to Muzeum Historii Ruchu Robotniczego Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, funkcjonowało jako filia Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Po uzyskaniu w 1989 r. samodzielności, czyli przejęciu go przez sosnowiecki samorząd, z nazwy pozo-

stało: muzeum i miejsce. Kiedy przed ponad rokiem przejmowałem dyрекcję obiektu, stanąłem przed decydującym pytaniem – jakiego typu to ma być muzeum, skoro nawet nie nosi przymiotnika – miejskie. Zadanie podstawowe spoczywa oczywiście na dziale historii kultury miasta, który gromadzi i opracowuje wszelkie pamiątki związane z tym miejscem. Równie ważne są jednak pozostałe działy: sztuki i szkła. Zdecydowałem więc, zachowując odpowiednie proporcje – pokazać historię miasta... przez sztukę. Pierwszą decyzją był powrót do źródeł, czyli przywrócenie temu miejscu jego pierwotnej nazwy – Pałac Schoena i idąc tropem właściciela obiektu, wykorzystanie tradycji włókienniczych, które w znacznym stopniu tkwały miejską tkanekę. Zaczęliśmy od remontu, zmiany nazwy, którą uzupełniliśmy o „Pałac Schoena”, nowego systemu wizerunkowego, w tym nowej szaty strony internetowej, którą nadal uzupełniamy.

– **Zaczął się dosyć szokująco, wystawą „Kobieta jest jak Sosnowiec”.**

– Inspiracją wystawy był tom wierszy Marcina Barana zatytułowany „Sosnowiec jest jak kobieta”. Ekspozycja była opowieścią o Sosnowcu, o mieście i jego kobiecej stronie, pisana działalnością artystyczną ludzi, którzy tu żyli, bądź pozostawili trwałe ślady, mimo że tylko przez miasto przemknęli. Pojawiły się więc prace takich postaci jak: Andrzeja Tobisa, Janny Kraupe, Judyty Bernaś, Jadwigi Maziarskiej czy Dominiki Kowyni, zobaczyliśmy także filmy z udziałem Poli Negri, wysłuchać można było również opowiadania Sylwii Chutnik „Pola”, która kilka lat temu rezydowała w Sosnowcu. W narrację wystawy świetnie wkomponowały się prace artystów spoza Sosnowca – Zofii Kulik, Andrzeja Urbanowicza i wielu innych artystów. Kurator wystawy Marek Zieliński nakłaniał widzów do przebudzenia, zmiany myślenia o mieście i otaczającej nas rzeczywistości. Wystawa została wyróżniona nagrodą Marszałka Województwa Śląskiego za wydarzenie muzealne roku 2015 w kategorii najlepszych wystaw.

– **Ta wystawa miała dodatkową symbolikę, była nie tylko pierwszą po remoncie budynku, ale także pierwszą za pana dyrekcji. Powiało zmianami.**

– Świadomość w jakim miejscu się znajduję wywołała szereg konotacji. Otoczony romantycznym parkiem pałac XIX-wiecznych przemysłowców nie był strefą odosobnienia, wokół niego wiedli życie włókniarze za-

trudnieni w pobliskich zakładach, później wrzała rewolucja 1905 r. a za kilkanaście lat rozciągały się mury getta, tuż obok pałacu rozwijała się kolej warszawsko-wiedeńska – jest to więc miejsce szczególne, naznaczone niezwykle ważnymi wydarzeniami nie tylko w skali lokalnej, ale i ogólnokrajowej. Takie postrzeganie obiektu w decydujący sposób ukształtowało moją wizję muzeum. To oczywiście, że musi ono służyć mieszkańcom, przywoływać historię miasta, dbać o zabezpieczenie pamięci zarówno w materialnym jak i duchowym wymiarze, nie może jednak zamykać się tylko na to, co było, ale musi także patrzeć świeżym okiem na to, co jest. Dzięki takiemu podejściu powstała we wnętrzach pałacu pierwsza instalacja Matyldy Sałajewskiej pod nazwą *Kuszenie*, inspirowana tradycjami przedziałniczymi, instalacja ta ma swoją kontynuację w tym roku w postaci realizacji landartowej. Dlatego chcę, aby w muzeum gościły wystawy związane ze sztuką, przede wszystkim wystawy tematyczne, nie boję się powiedzieć – niszowe, nie schlebające popkulturze.

– **Wystawa „Trójkąt w kole” była ekspresową powtórką z historii miasta.**

– Młodzi to pokolenie esemesów i chcąc zachęcić ich do zwiedzania wystawy posłużyliśmy się ich najpopularniejszą formą komunikacji. Krótkie notki, niczym zwięzłe esemesy zawierały to, co najważniejsze, resztę zobrazowaliśmy ciekawymi eksponatami.

– **Wystawa Kossaków była frekwencyjnym sukcesem.**

– Będziemy oczywiście sprowadzać do Sosnowca ekspozycje z różnych dziedzin sztuki i nie muszą być one tematycznie związane z miastem. Krążąc po kraju wystawę Kossaków, którą przejmowaliśmy od Muzeum w Toruniu nieco wzbogaciliśmy, mając na uwadze młodych odbiorców. Do poszczególnych eksponatów dołączyliśmy fiszki z informacjami na temat kontekstu historycznego wydarzenia zobrazowanego przez twórców, wśród nich znalazły się opisy bitwy pod Raclawicami, pod Laskami, Cudu nad Wisłą, bitew napoleońskich itd. To swoiste połączenie lekcji historii z lekcją sztuki okazało się pomysłem trafionym.

– **Odnoszę wrażenie, że duma sosnowieckiego muzeum – kolekcja szkła współczesnego wciąż nie może doczekać się godnego jej wartości zainteresowania.**

– To jedyna w Polsce taka kolekcja i rzeczywiście zainteresowanie nią da-

leko odbiega od oczekiwań, wina nie leży jednak po stronie muzeum, sądzę, że jest to wynikiem braku rynku sztuki w Polsce. Bardziej doceniają wartość tego zbioru Czesi czy Francuzi, którzy z ogromnym pietyzmem traktują swoje kolekcje szkła artystycznego, Polacy mają doń dość obojętny stosunek. To nie jest jednak problem lokalny, to dotyczy całego kraju. Całe szczęście kilka lat temu mój poprzednik zadbał o dotację z Ministerstwa Kultury i dzisiaj część tej kolekcji jest dobrze prezentowana.

– **Po raz pierwszy w rezydencji Schoenów zagościła Industriada.**

– To było widowiskowe wydarzenie, i jak stwierdził Adam Hajduga z Wydziału Promocji Urzędu Marszałkowskiego podczas podsumowania Industriady – powrót Sosnowca na szlak w wielkim stylu (kiedyś na Szlaku Zabytków Techniki znajdował się Dworzec Główny). Projekt artystyczny Matyldy Sałajewskiej nie tylko ożywił park okalający pałac, ale także za sprawą kilometrów kolorowej włóczki produkowanej niegdyś w Domu Handlowym „C.G. Schön” obudził zlikwidowany po wojnie staw. Staraliśmy się przywołać namiastkę atmosfery XIX-wiecznego osiedla i świetności rezydencji przemysłowców, którym nie tylko Sosnowiec, ale całe Zagłębie Dąbrowskie zawdzięczało rozkwit przemysłu włókienniczego. Wywołaliśmy duchy tamtej epoki, pojawiły się między innymi opowieści Fanny Lamprecht, która przemówiła przez stare drzewa znajdujące się w parku.

– **Czas muzealnych gablot przemianą.**

– Zdecydowanie. Obejrzałem kilkadziesiąt europejskich i polskich muzeów, w tym także Muzeum Powstania Warszawskiego czy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, wszystkie one wręcz bombardują multimedialnymi prezentacjami a jednak największe wrażenie pozostawiają przedmioty oryginalne. I to moim zdaniem się nie zmienia. Podobnie jak nieprawdziwym okazał się wieszczony koniec książki czytanej, a jednak biblioteki nadal są nam potrzebne i mam nadzieję, że tak pozostanie. W muzealnictwie jest podobnie. Najważniejsze są oryginalne pamiątki.

– **Czym nas pan jeszcze zaskoczy?**

– Jednym z najważniejszych zadań, jakie sobie postawiłem jest przygotowanie stałej wystawy obrazującej dzieje miasta. Musi mieć ona jednak nowoczesną formę, która przyciągnie niechętnie czytającą młodzież,

nie możemy ich zanudzać statycznymi obrazami. To musi być nie tyle historia miasta, co opowieść o nim, chcemy pokazać jego specyfikę, przywołać pewne legendy miejsc, tak, aby każdy, kto wejdzie mógł odczytać kod miasta, który jest zapisany nie tylko w pamiątkach materialnych.

– **Taka wystawa wymaga dużej powierzchni wystawienniczej, czy to oznacza rezygnację z wystaw czasowych?**

– Nie, z niczego nie zamierzamy rezygnować. Jednak sprowadzanie działalności muzeum jedynie do wystaw czasowych jest krótkowzroczną koncepcją. Planujemy odzyskanie pomieszczeń, w których mieści się obecnie restauracja. W niedługim czasie w Pałacu Wilhelma otworzy swoją działalność centrum konferencyjne i tam z pewnością znajdzie się miejsce dla restauracji. Pomieszczenia, które powrócą do pałacu są niezwykle inspirujące. Kręte korytarze i liczne zaułki – to wyzwanie, które uruchamia wyobraźnię. Katedralnymi malowidłami Tetmajera można na przykład opowiedzieć o historii Królestwa Polskiego, ja tę wystawę mam przed oczami... O czasach PRL-u i systemowej propagandzie można opowiedzieć poprzez mroczną historię Zdzisława Marchwickiego, ale na przykład o muzyce nie można snuć opowieści tylko przez pryzmat *Chłopaka z Sosnowca*, mamy tak wiele do opowiedzenia. W najbliższych miesiącach chcę powołać grupę inicjatywną, w skład której zostaną zaproszeni fachowcy z różnych dziedzin, nie tylko naukowcy, historycy, ale także członkowie rozmaitych stowarzyszeń, przewodnicy, pasjonaci. Zadaniem tej grupy będzie wypracowanie tematów wystawy stałej o mieście. Dopiero wtedy będzie można zlecić napisanie jej scenariusza, podjąć rozmowy z architektami i scenografami. Liczę, że uda się to zrealizować w najbliższych latach.

– **Po wielu latach oczekiwań pojawiła się monografia Sosnowca.**

– Dobrze, że to właśnie muzeum zostało obarczone tym zadaniem, nie widzę właściwszej instytucji, która mogłaby być za to odpowiedzialna. Monografia cieszy się dużym zainteresowaniem, to znaczy, że była potrzebna.

– **Możemy oczekiwać kolejnych ciekawych publikacji?**

– Plany mamy ogromne. Przede wszystkim chcemy zbliżającą się jubileuszową edycję Sosnowieckich Spotkań Artystycznych uhonorować obszerną publikacją, która będzie zawierać prace pozyskane na plene-



rach. Niemal wszystkim dyrektorom muzeów sen z oczu spędza świadomość, że wielu ludzi ocenia nasze zasoby wyłącznie na podstawie prezentowanych wystaw, tymczasem magazyny kryją prawdziwe skarby. My także w naszych zasobach mamy się czym pochwalić, chociażby malarską wersją horoskopu Tadeusza Kantora autorstwa Janiny Kraupe. Chciałbym upamiętnić także odrębnymi monografiami członków Grupy Zagłębie. W zeszłym roku prywatnymi kanałami, dowiedziałem się, że zmarł Jakob Zim – sosnowiczanie, artysta niezwykle szanowany na światowym rynku artystycznym, który po powrocie z obozu w Buchenwaldzie na stałe osiadł w Palestynie. Polskę i swój rodzinny Sosnowiec odwiedził dopiero w 1990 roku, później jego prace gościły w warszawskiej Zachęcie, sosnowiczanie mogli je podziwiać w 1993 r. w Galerii Extravagance a w 2003 r. w naszym muzeum. Posiadamy niestety zaledwie dwie jego prace. W planowanych publikacjach chcemy przywołać pamięć o ludziach, którzy w historii miasta zajmują, należne im poczesne miejsce.

– Co zobaczymy wkrótce?

– Najbliższą wystawę poświęcamy Romanowi Chruścielowi, sosnowieckiemu grafikowi, autorowi m.in. znakomitego cyklu pejzaży zagłębiowskich. Co do kolejnych planów, nie zostały one wprawdzie jeszcze upublicznione, uchylę jednak rąbek tajemnicy. Pod koniec października w ramach festiwalu *Ars Cameralis* zagości u nas wystawa *Planeta Topor*, będzie to prezentacja dzieł trzech pokoleń Toporów. Najsilniejszy akcent skierowany będzie na Rolanda – pisarza, rysownika, grafika, aktora, reżysera, scenarzystę i scenografa, pokazemy także dzieła malarskie Abrama-nestora oraz najmłodszego, żyjącego obecnie w Paryżu – Nikolai. Wystawę przygotowujemy wspólnie z Francuską Biblioteką Narodową, pojawi się ona tylko w Sosnowcu i w Paryżu, w dwóch miejscach, ale zachowajmy nutę tajemnicy. Nie wiem czy będzie to sukces podobny Kossakom, ale nie chciałbym, aby miarą dobrej popularności muzeum był wyłącznie rachunek ekonomiczny.

– Historia miasta to nie tylko świetlane postaci i bohaterskie wydarzenia, jak każde miasto, także i Sosnowiec ma swoje wstydlive daty.

– Artystom, którzy wzięli udział w 19. Sosnowieckich Spotkaniach Artystycznych zaproponowaliśmy temat „Czarny potok”, jego inspiracją była powieść Leopolda Buczkowskiego. Sosnowiec lat międzywojennych przypominał kocioł kulturowy. Na ulicy Modrzejowskiej można było obok polskiego usłyszeć także język rosyjski, niemiecki, francuski, jidysz, przez lata ludzie ci mieszkali obok siebie, wspierali się, gościli... a po kilkunastu latach nie wytrzymali próby człowieczeństwa, zaczęli na siebie donosić, grabić sąsiadów, strzelać... to także jest historia naszego miasta. Choć znacznie chętniej wspominamy piękną postać Matki Zagłębia – heroiczną karmelitankę siostrę Teresę Janinę Kierocińską, nie powinniśmy przemilczać żadnych tematów, nawet tych drażliwych, ponieważ wszystkie te historie, i te szlachetne, i te niechlubne składają się na *genius loci* tego miasta. ■



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

O jeszcze jednym kazaniu pastora Bartelmusa

W styczniu 2005 roku napisałem szkic zatytułowany „Staropolszczyzna w Kazaniu przeciwko pijaństwu Zygmunta Bartelmusa z r. 1765”, który w charakterze wstępu ukazał się w bibliofilskim wydaniu tego tekstu – edytorskim dokonaniu Artystycznej Oficyny Drukarskiej Aleksandra i Zdzisława Spyrów w Pszczynie.

Po 11 latach mam przed sobą kolejny odnaleziony tekst pastora Bartelmusa – kazanie wygłoszone z okazji założenia kościoła w Golasowicach w tymże roku 1765, cudownie wydane przez tę samą – jakże zasłużoną dla całego naszego regionu – oficynę.

I o tym językowym zabytku mogę powiedzieć, że jego lektura sprawiła mi ogromną filologiczną satysfakcję. Odnacza się on równie bogatą, ekspresyjną polszczyzną i jest przy tym łatwy w odbiorze, w pełni zrozumiały, co nie może dziwić, gdy się weźmie pod uwagę czas jego powstania mierzony kategoriami historycznojęzykowymi – nieodległy współczesności.

Nie znaczy to, że w kazaniu Bartelmusa nie ma form różniących się od dzisiejszego języka. Owszem – są, ale ich obecność i morfologiczno-znaczeniowa przejrzystość dodaje recepcji czytelniczej sztafażu archaizacyjnego, a ten ostatecznie służy uatrakcyjnieniu całego tekstu.

Czyż nie jest swoście piękny chociażby *kąsek pola* – z typowym do dziś dla gwar śląskich *kąskiem* „kawałkiem”? Mamy i *drzewiany budynek*, a nie *drewniany* jak w języku ogólnym, a także po śląsku brzmiące *przece*, dziś częstsze jako *przece*, odpowiadające standardowemu *przece*. Wierny jest Bartelmus jak i współcześni Ślązacy staremu dopełniaczowi liczby pojedynczej miękkotematowych rzeczowników żeńskich z końcówką –*e*: *do ziemie syryjskiej, Pannie nieba i ziemie, ze ziemie wychodzące, nie pokładajcie nadzieje*. Jak śląszczyzna-staropolszczyzna brzmią formy *chętliwie* „chętnie”, *nadgrodzić, nadgradzać* „nagrodzić, nagradzać”, *spominać* „wspominać”, *krom* „bez, poza, oprócz”,

w postród „w pośrodku”, *onego* „jego, tego”, *duszny* „duchowy”, *przytomny* „obecny, będący tutaj”, *wobec* „w ogóle”, *uważanie* „rozważanie”, *naздаć* „nawymyślać, nagadać komuś”, *młód* „młodzi ludzie, młodzież”, *żądość* „pragnienie”, *fortyować* „popierać”, *ulubić sobie* „upodobać sobie”.

Nasienie jest u Bartelmusa *siate*, a nie *siane* i coś jest *spolepszane*, a nie *ulepszane, polepszane*.

Mamy i starą składnię: *na nas nie zapomnisz* „o nas nie zapomnisz”, *bójcież się w nim* „bójcież się go”, *panujesz wszystkim państwom* „panujesz nad wszystkimi państwami”, a także stare syntagmy z krótkimi zaimkami: *za cie* „za ciebie”, *na się* „na siebie”. Wreszcie – charakterystyczne dla gwar śląskich konstrukcje z *ale*: *Pan Bóg ale oszczędził celnika, Którzyście ale ten grunt jeszcze nie dali położyć, Gotujcież też ale wy*. Jest i charakterystyczne *bez noc* „przez noc”, ale najbardziej śląsko-swojsko brzmią *frelki, siostry ich Mości!*

Bardzo cennym uzupełnieniem bibliofilskiego druku jest „Dyskurs na temat jednego kazania” dr Jadwigi Badury. Autorka informuje, jak szczególnie uroczście ewangelicy obchodzili pamiętkę położenia kamienia węgielnego pod budowę kościoła oraz rocznicę jego poświęcenia. Data nabożeństw rocznicowych z reguły zbiegała się z datą pierwszego poświęcenia świątyni tuż po jej wybudowaniu i oddaniu do użytkowania liturgicznego. W tym dniu zjeżdżali do danej parafii ewangelicy z sąsiednich okolic, zapraszane też były chóry kościelne, szczególnym zaś gościem był kaznodzieja „poświęckowy” – taki jak Zygmunt Bartelmus, do którego na długo przed uroczystościami proboszcz i rada parafialna kierowali oficjalne zaproszenie.

Historia budowy kościołów ewangelickich rozpoczęła się wraz z zakończeniem wojny trzydziestoletniej i zawarciem pokoju westfalskiego 24 października 1648 roku (na ratusz w Muenster, w którym traktat ten podpisano, mogłem 40 lat te-

mu patrzeć codziennie, gdy na tamtejszym uniwersytecie byłem wykładowcą języka polskiego). To wtedy cesarz wydał zgodę na budowę trzech świątyni na Śląsku – w Głogowie, w Świdnicy i w Jaworze – i to dlatego zwą się one do dziś kościołami Pokoju (są to obiekty wyjątkowej urody architektonicznej – do powiedzmy).

W 1707 roku w Altranstadt została zawarta konwencja, która przyniosła równouprawnienie religijne, a układ zawarty między królem szwedzkim Karolem XII a cesarzem austriackim Józefem I sprawił, że ewangelikom wolno było wybudować 6 kościołów Łaski (bo z łaski cesarza!): w Kożuchowie, Żaganii, Jeleniej Górze, Kamiennej Górze, Miliczu i w Cieszynie.

W roku 1742 król Fryderyk II wydał ewangelicko-luterański „Porządek inspekcyjny i prezbyterialny”, na mocy którego ewangelicy otrzymali zgodę na budowę 172 kościołów na Śląsku. Pierwszy został wybudowany w roku 1746 kościół w Pszczynie. Od 26 maja 1764 roku trwały starania o zgodę na budowę kościoła w Golasowicach. Ewangelicy mieszkańcy tej miejscowości oraz Jarząbkowic, Pielgrzymowic, Bzia, Ruptawy i Cisówki chcieli mieć swoją świątynię. Zadeklarowali nawet zbiórkę 200 talarów rocznie na ten cel, a wsparcia finansowego udzielił właściciel Golasowic – baron Otto Traugutt von Marklowski.

16 stycznia 1765 roku Fryderyk II wydał koncesję na budowę świątyni, a miesiąc później dał prawo do powołania duchownego. 10 sierpnia 1765 roku odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego, w czasie której kazanie wygłosił pastor Zygmunt Bartelmus. Pochodził on z Bielska. W roku 1749 został zatrudniony w Pszczynie jako drugi kaznodzieja i rektor miejscowej szkoły ewangelickiej. W latach 1767-1797 był głównym proboszczem parafii. Ja zaś – powtórzę – dowiedziałem się tego wszystkiego z postowia dr Jadwigi Badury.



„Sacra Conservazione” – Matka Boska z Dzieciątkiem i śś. Katarzyną i Barbarą. Fragment tryptyku w trakcie konserwacji.

Madonny wracają

EWA LISZKA

Dzięki wiedzy, umiejętnościom konserwatorów dzieł sztuki i ich wręcz detektywistycznej precyzji oraz współczesnej technice wielu obiektom udało się przywrócić pierwotny wygląd i tchnąć w nie drugie życie, a w niektórych przypadkach nawet odkryć „prywatne życie” dzieł sztuki. W Muzeum Historii Katowic można oglądać niezwykłą wystawę zatytułowaną „Sztuka konserwacji”.

Sztuka konserwacji pokonuje czas i jego skutki, ale też nieodpowiedzialne, zamierzone, bądź nie, ludzkie działania. Struktura technologiczna zabytków to materiały, które w miarę upływu czasu i zależnie od warunków, w jakich się znajdują lub gdzie były przechowywane, starzeją się i ulegają niszczeniu. Podstawą podjęcia właściwych działań konserwatorskich jest wnikliwie opracowany autorski program prac dla każdego rodzaju przedmiotów, umożli-

wiający wejście w tkankę materii obiektu – starodruków, map, obrazów, grafik, dokumentów, rzeźb, polichromii oraz wielu innych zabytków. Często przedmiot badań kryje wiele nieoczekiwanych niespodzianek. Żelaznymi zasadami obowiązującymi w sztuce konserwacji są: minimalna interwencja (zastosowanie jak najskromniejszych środków, mających wpływ na istniejącą tkankę zabytkową) oraz odwracalność interwencji (zawsze powinna ist-

nić możliwość zlikwidowania skutków zabiegu konserwatorskiego, gdyby zaistniała potrzeba powrotu do stanu przed interwencją).

Wystawa *Sztuka konserwacji* ma na celu pokazanie pracy ludzi, którzy na co dzień walczą o przywrócenie pierwotnego wyglądu wyjątkowych dzieł o znaczeniu historycznym i artystycznym, oraz jej efektów. Muzeum Historii Katowic już po raz drugi podejmuje ten temat. W 2014 roku prezen-

towaliśmy dokonania Pracowni Konserwacji Zabytków AMC SZTUKA Aleksandry i Marka Ciesielczyków, którzy od wielu lat sukcesywnie poddają konserwacji spuściznę po Pawle Stellerze. Dzięki przeprowadzonym zabiegom konserwatorskim można je oglądać na ekspozycji stałej w Dziale Grafiki im. Pawła Stellera Muzeum Historii Katowic. Obecnie prezentujemy kunszt konserwatorów dzieł sztuki z pracowni konserwatorskich znajdujących się na Śląsku, a także konserwatorów spoza regionu, ale współpracujących ze śląskimi muzeami.

Konserwatorzy dzieł sztuki to zazwyczaj bardzo zapracowani ludzie, których wysiłek przekuwa się na ocalone od zniszczenia, degradacji i zapomnienia dzieła. Stale się spotykamy z dokonaniami konserwatorskim mniej lub bardziej spektakularnymi, ale nigdy nie zastanawiamy się, ile wysiłków i wnikliwej, fachowej wiedzy wymagają. Podziwiamy końcowe efekty, niejednokrotnie z niedowierzaniem, że było to w ogóle możliwe i wykonalne. Prezentowana wystawa to wyjątkowa sposobność uhonorowania wysiłków konserwatorskich. Dzięki wiedzy, umiejętnościom konserwatorów dzieł sztuki i ich wręcz detektywistycznej precyzji oraz współczesnej technice wielu obiektom udało się przywrócić pierwotny wygląd i tchnąć w nie drugie „życie”, a w niektórych przypadkach nawet odkryć „prywatne życie” dzieł sztuki. Szczególną dumą napawają uhonorowania dla konserwatorów – Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego: dla Jana Gałaszka za wieloletnią działalność na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego (2010) oraz dla Renaty Dubiel-Białas (2011), Adriana Poloczka (2013), Jarosława Szpakowicza (2014) i Danuty Skrzypczyk (2015) za wybitne osiągnięcia w dziedzinie konserwacji zabytków.

Chcąc pokazać uwieńczenie zabiegów konserwatorskich, jakim jest zwycięstwo materii nad upływającym czasem, na wystawie prezentowane są bardzo ciekawe i trudne w wykonaniu zabiegi konserwatorskie na przykładach różnych zabytków ze zbiorów muzeów, kościołów i prywatnych kolekcji. Pokazywane są wyjątkowe i unikatowe obiekty, takie jak: Biblia... w tłumaczeniu Jakuba Wujka z 1599 roku i Statut... Jana Łaskiego z 1506 roku ze zbiorów Oddziału Starych Druków Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Słowackiego w Tarnowie, *The Book of Beauty* wydana w Londynie w 1896 roku z Muzeum Zamkowego w Pszczynie, *Biblia Sacra* z 1726 roku i *Atlas z 17 mapami księstw śląskich* z 1802 roku z Muzeum w Chorzowie, *Panorama dóbr Henryka Dietla* z II połowy XIX wieku z Muzeum w Sosnowcu, drewniany



„SACRA CONVERSAZIONE” – Matka Boska z Dzieciątkiem i śś. Katarzyną i Barbarą, ok. 1480 r., tempera na drewnie, wym. 200 x 160 cm. Kościół parafialny p. w. Podwyższenia Krzyża Świętego w Starej Wsi koło Wilamowic.

Obraz umieszczony jest w ołtarzu głównym kościoła w niszy zamkniętej lukiem. Postaci Świętych Niewiast przedstawione są w lekkim skłonie w stronę Matki Boskiej. Podczas przystosowywania obrazu do nowego ołtarza, musiano zmienić układ głów i nimbów Świętych, gdyż zwieczona lukiem nisza je zasłaniała. Zamalowano więc głowy Świętych i wykonano nowe, bardziej pochylone, tak, aby rama niszy ich nie zasłoniła. Zmieniono także układ nimbów, a rzeźbione korony i barokową sukienkę po odpowiednich modyfikacjach umieszczono ponownie na malowidle.

Podjęto decyzję o usunięciu podczas prac konserwatorskich wszystkich wtórnych warstw przemalowań wykonanych w latach 70. XIX wieku, łącznie z namalowanymi wiedy głowami śś. Katarzyny i Barbary. Obraz ten eksponowany jest obecnie w Muzeum Parafialnym, natomiast kopia o układzie z lat 70. XIX wieku umieszczona została w ołtarzu głównym kościoła. Dzięki przeprowadzonym pracom konserwatorskim przywrócony został pierwotny kształt malowidła, które było w pocz. XVI wieku najważniejszym elementem wyposażenia świątyni starowiejskiej. W zwieczeniu ołtarza znajduje się gotycki obraz ze sceną Ukrzyżowania.



Biblia... w tłumaczeniu Jakuba Wujka z 1599 roku. Stan przed konserwacją.

Konserwacja – nieustanna sztuka wyboru

Problemy związane z pracami konserwatorskimi nie dotyczą jedynie doboru metod i technik. Zupełnie inną grupą zagadnień są kwestie związane z renowacją i restauracją obiektów będących w kulcie, wziętych do konserwacji z kościołów i tam mających powrócić. Konserwatorzy stają wówczas często wobec trudnych wyborów: odczuwają presję inwestorów – zazwyczaj proboszczów reprezentujących wspólnoty wiernych, które oczekują, że oddany do konserwacji obiekt będzie „jeszcze piękniejszy” (cokolwiek to znaczy), muszą jednak pozostać wierni etyce konserwatorskiej nie pozwalającej na przekroczenie pewnych granic w przywracaniu blasku dzieła sztuki. Nie chodzi o krytykę podejścia inwestorów, jest ona zrozumiała.

Konserwacja zachowawcza, a taki charakter ma zawsze konserwacja, jest oczywista w przypadku obiektów muzealnych. Mając jednak do czynienia z obiektami kultu, nie sposób nie dostrzec, że mają one zupełnie inne funkcje, wręcz „żyją” w swoim naturalnym środowisku (w przeciwieństwie do niezliczonej ilości kościelnych dzieł sztuki wyrwanych z miejsc swego przeznaczenia i przechowywanych w muzeach). Wobec takich obiektów konserwator musi wybierać: na ile prace zachowawcze są wystarczające, na ile trzeba rekonstruować dzieło, doprowadzając w interwencji do restauracji dzieła? Czy można zdjąć wszystkie przemalowania i powrócić do pierwotnej warstwy malarskiej, czy po takich zabiegach wierni rozpoznają jeszcze „swój” obraz czy rzeźbę? Znane są przypadki, że obrazy uznawane za cudowne, zostały poddane głębokiej konserwacji, łącznie z usunięciem warstw przemalowań. W efekcie obraz umieszczony z powrotem w nastawie ołtarzowej nie przypominał malowidła funkcjonującego w zbiorowej świadomości wiernych, co doprowadzało do całkowitego zaniku kultu.

Innym jeszcze rodzajem zagadnień związanych z pracami konserwatorskimi czy nawet bardziej restauracyjnymi w obrębie stref kultu są rekonstrukcje historycznych retabulów, a także wprowadzanie ołtarzy posoborowych w prezbiteriach kościołów zabytkowych. Czy prace przy rekonstrukcjach retabulów są pod względem etycznym właściwe? Przecież tak naprawdę są przekłamaniem, udają tylko swoje historyczne pierwowzory i to nie zawsze w sposób zupełnie wierny. Ale czy może być to zarzutem w kraju, którego dziedzictwo kulturowe było w ciągu ostatnich czterystu lat regularnie niszczone? Odpowiedzi na te problemy znajdują się gdzieś pomiędzy oczekiwaniami inwestorów a etyką konserwatorów, pomiędzy ekspozycją muzealną a funkcją kultową, ale także pomiędzy kiczem a sztuką.

ks. dr LESZEK MAKÓWKA
Dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego
w Katowicach

świecznik wiszący w stylu eklektycznym z I połowy XIX wieku z Muzeum w Gliwicach, chorągiew organizacji powstańczej z Czułowa z 1919 roku z Muzeum Miejskiego w Tychach, dokument pergaminowy, pisany ręcznie brązowym atramentem z 1579 roku z Muzeum w Będzinie itd. Wśród prezentowanych dzieł sztuki na szczególną uwagę zasługują te wyróżnione Nagrodą Marszałka Województwa Śląskiego za Wydarzenia Muzealne Roku w kategorii „dokonania z zakresu konserwacji”: zespół zabytkowych obrazów z chorągwi cechowych XVIII/XIX wieku pochodzących z Muzeum w Raciborzu (2009), kolekcja malarstwa zachodnioeuropejskiego ze zbiorów Muzeum w Tarnowskich Górach (2011), obraz *Portret króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II* z około 1790 roku z kolekcji Muzeum w Gliwicach (2012), oleodruk z przedstawieniem Matki Boskiej Kodeńskiej z Muzeum „Górnośląski Park Etnogra-

ficzny” w Chorzowie (2014) oraz te, których konserwacja stała się tematem prac dyplomowych: *Św. Wacław* z Muzeum Śląska Cieszyńskiego (praca magisterska Jarosława Szpakowicza, 1983), *Portret Emericha barona von Mattencloita* z Muzeum Śląska Cieszyńskiego (praca magisterska Tomasza Trzosa, 1996), *Rzeź niewiniątek* z Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach (praca dyplomowa Anny Zadora, 1997), obrazy z kolekcji księdza infułata dra Michała Lewka z Muzeum w Tarnowskich Górach (praca doktorska Aleksandry Holi, 2011).

Ze względu na bardzo różnorodną specyfikę obiektów i różne specjalizacje dotyczące przeprowadzanych zabiegów konserwatorów wystawę podzielono na wybrane działy: malarstwo, tkanina, papier, rzeźba. Oddzielnie zaprezentowano polichromie (m.in. na przykładzie odkrytych polichromii w kościołach w Żemicy, Sierakowicach i Lubecku oraz rekonstrukcji polichro-

mii w Pałacu Mieroszewskich i Domu Modlitwy „Mizrachi” – obiektach Muzeum Zagłębia w Będzinie) oraz tak znaczące dokonania, jak: konserwacja i renowacja pocysterskiego Zespołu Klasztorno-Palacowego w Rudach Raciborskich, odnowienie elewacji Muzeum Zamkowego w Pszczynie i remont elewacji wewnętrznej oraz zadanie dziedzina Zamku książąt Sułkowskich Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej.

Obiektami o szczególnej wartości, które udało się sprowadzić na wystawę, są: *Drzewo Jessego* – dwudzielny, płaskorzeźbiony fragment nastawy ołtarzowej z Rzymskokatolickiej Parafii Świętych Apostołów Filipa i Jakuba w Żorach oraz obraz *Sacra Conversazione* – fragment gotyckiego tryptyku pochodzącego z ołtarza głównego kościoła parafialnego p. w. Podwyższenia Krzyża Świętego w Starej Wsi koło Wilamowic. Jednak największą dumą napawa fakt, iż udało się zrealizować początkowy zamysł wystawy. Dzięki szczególnemu zaangażowaniu ks. dr. Leszka Makówki, dyrektora Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach, życzliwości ks. proboszcza Krystiana Janko z Parafii Wszystkich Świętych w Pszczynie, Sławomira Kulpy, dyrektora Muzeum w Wodzisławiu Śląskim, oraz całego zespołu badawczego – przede wszystkim dr hab. Małgorzacie Grupie z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, umiejętnościom i wytrwałości konserwatorów Agnieszki i Tomasza Trzósów z Pracowni Konserwacji Zabytków w Tychach możemy zaprezentować niezwykle obiekt, jakim jest sarkofag wydobyty z krypty grobowej Promnitzów, a także złote precjoza i odzież grobowa Zygfyda II Promnitza z XVI wieku.

Wszystkie prezentowane na wystawie ocalone obiekty mają bardzo dokładną dokumentację opisowo-fotograficzną postępowania konserwatorskiego, przedstawiającą szczegółowy proces prowadzonych działań przed podjęciem prac konserwatorskich, w ich trakcie oraz po zakończeniu renowacji. Fotografie ilustrują różnorodny charakter i rodzaj zniszczeń obiektów zabytkowych, a także zastosowanie różnorodnych technik i technologii przy ich konserwacji, dzięki czemu mogą cieszyć oko współczesnych i służyć potomnym.

W przedsięwzięciu wzięło udział: 15 pracowni konserwatorskich, 24 muzea, 5 śląskich parafii oraz pracownicy uniwersytetów z Katowic, Krakowa i Torunia. ■

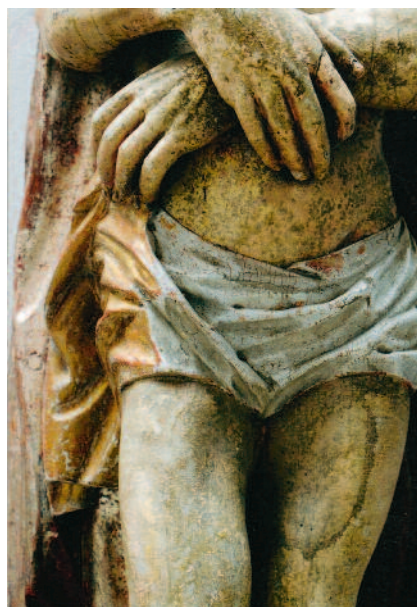
Ewa Liszka – starszy kustosz w Muzeum Historii Katowic, kurator wystawy „Sztuka konserwacji”.

SZTUKA KONSERWACJI

Muzeum Historii Katowic



Zdjęcia: Muzeum Historii Katowic



Chrystus Ecce Homo – rzeźba drewniana polichromowana, złocona.
Kościół pw. Wszystkich Świętych w Pszczynie. Autor: nieznany, II poł. XVII w.
Rzeźba przed i po konserwacji. Wykonawcy: Agnieszka i Tomasz Trzosowie.



Polichromia w kościele pw. św. Michała Archanioła w Żernicy k. Gliwic. Autor: Fryderyk Leopold. II połowa XVII wieku.
Autor prac: Adrian Poloczek



Ikona wielodzielna, XIX w.



Smoleńska Ikona Matki Bożej, pocz. XX w. Rosja, Moskwa

IKONY

ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach
i Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie



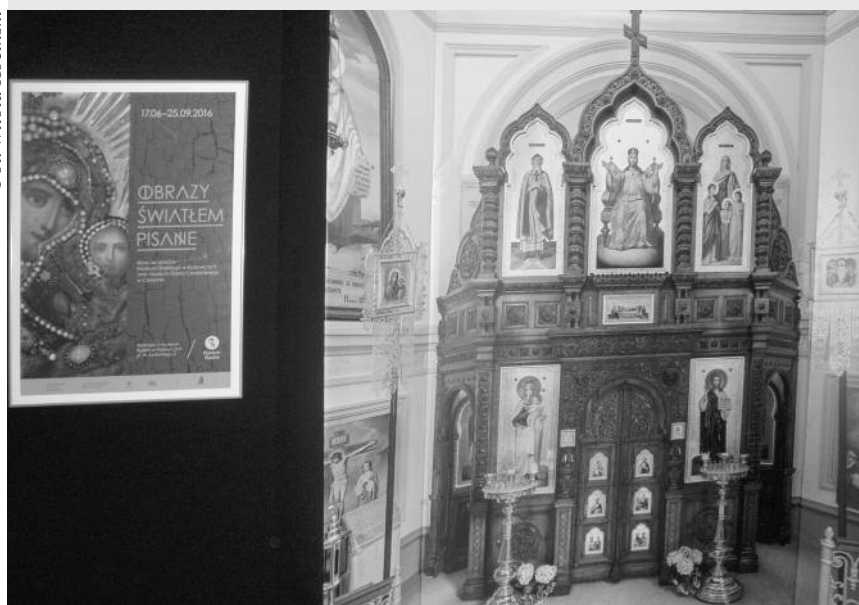
Ikona Ukrzyżowania z Kazańską ikoną Matki Bożej
i ikoną św. Mikołaja Cudotwórcy, XIX w., maniera wenecka



Ikona św. Pantelejmona Męczennika,
2 poł. XIX w.

Obrazy światłem pisane

Fot. Witold Kociński



Bóg mówi...

Ikona w muzeum nie jest tą samą ikoną co w cerkwi, czy w domu. Pozbawiona sfery sacrum staje się malarską błyskotką. Ubożeje jej niezwykła i niepowtarzalna wartość świętej rzeczy, zmniejsza się siła oddziaływania na ludzkie zmysły. Dlatego tak ważne jest zapewnienie prezentowanym na wystawach ikonom odpowiednio zaaranżowanego wnętrza. Pięknie udało się to w salach budynku Muzeum Śląskiego przy al. Wojciecha Korfantego 3 w Katowicach, gdzie eksponowana jest wystawa „Obrazy światłem pisane”. Ikonę ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie”. Porażający efekt uzyskano prostymi i szlachetnymi środkami – za pomocą kolorystyki ścianek, na których w czarnych ramach, przypominających półkoliście zamknięte okienka zawieszono obrazy malowane temperą, olejem, czasem dodatkowo pokryte srebrną ryzą wzbogaconą o klejnoty, koralliki i hafty...

Zwiedzających witają cichutkie śpiewy cerkiewne, zmuszające do zostawienia wszystkich złych emocji na zewnątrz i wielka fotografia ikonostasu z najbliższej czynnej cerkwi prawosławnej w Sosnowcu. Kuratorki katowickiej wystawy Katarzyna Jarmuł i Henryka Olszewska-Jarema słusznie uważają, iż zatrzymując się przed ikoną, nigdy nie wolno zapomnieć, że *uroda tego dzieła sztuki to tylko jedna z jej cech. Należy też posłuchać, co ikona ma nam do powiedzenia przez swoje milczenie...* Ikony nie tylko są znakomicie wyeksponowane, wykorzystując właściwe oświetlenie i muzykę, udało się stworzyć doskonałe warunki do rozmowy z Bogiem i Jego Matką.

Dzięki służbom celnym, które udaremniały nielegalny wywóz zabytków za granicę, Dział Sztuki Muzeum Śląskiego od 1999 roku poszerza swój profil zbiorów o malarstwo ikonowe. Przejmowane przez celników dzieła przechodzą na własność Skarbu Państwa i na mocy wyroków sądowych są przekazywane do zbiorów muzealnych, także do Mu-

zeum Śląskiego. W kolekcji liczącej 200 ikon znajdują się ikony powstałe na terenie Rosji od XVIII do XIX wieku, o różnym poziomie artystycznym: chrystologiczne, „prazniki”, czyli ikony świąteczne, hagiograficzne, ikony kalendarzowe, krzyże oraz ikony zwane podróżnymi. Najliczniejsze na wystawie są oczywiście przedstawienia maryjne, co jest związane z silnym kultem Matki Bożej na Rusi.

Przy wejściu zatrzymuje nas na dłużej Ikona Chrystusa Pantokratora z pocz. XX w., sprawia ona wrażenie fragmentu większej całości, być może jest ocalałą częścią ikonostasu. Tuż obok ikona w „manierze weneckiej”, czyli doskonałością rysunku postaci przywołująca najlepsze włoskie wzorce. Naszą uwagę przykuwają zwłaszcza ikony Mandylionu, *gdyż oblicze Boga, który stał się człowiekiem, stanowi ideowy fundament każdej ikony*. Małe ikona Mandylionu z 1865 r. zachwyca, chociaż to oleodruk, ale w jakiej pięknej srebrnej ryzie (koszulce).

Najciekawsza ikona ze scenami starotestamentowymi ma bogatą historię – deska jest XVII-wieczna, okład z XIX wieku. Małe ikona, ale jakże urokliwa jest ikona Sofii Mądrości Bożej. Przed każdą z ikon można stać bez końca i czytać to, co jest w niej napisane, bo przecież ikon się nie maluje, ikony się... pisze. Ciekawą grupę tworzą barwne ikony powstałe w tzw. szkole wietkowskiej, gdzie żyli i pracowali starobrzędowcy. Nie można oderwać wzroku od dominujących na wystawie przepięknych ikon maryjnych, jak choćby urzekającej kolorami Smoleńskiej Ikony Matki Bożej z przełomu XIX i XX w. (deska, tempera, srebro, metal, emalia). Matka Boska Smoleńska należy do najbardziej czczonych ikon rosyjskich. Powstanie pierwotnego przypisywane jest świętemu Łukaszowi Ewangeliście, którego dzieło z Bizancjum na Ruś przywiozła księżniczka Anna, córka bizantyjskiego władcy Konstantyna IX Monomacha. Jak zauważymy przyglądając się ikonom z wize-

runkiem Matki Boskiej Smoleńskiej jest to typ zwany Hodegetria – dzieciątko o twarzy dorosłego trzyma w lewej ręce zwinięty zwój, prawą wykonuje gest błogosławieństwa.

Na ekspozycji można również obejrzeć liczne wizerunki chrystologiczne, m.in. wspomnianego już Chrystusa Pantokratora, ale i ikony kalendarzowe i świąteczne, o charakterze narracyjnym. Warto zwrócić uwagę również na niewielkich rozmiarów ikony podróżne, dekorowane motywem Deesis (Chrystus-Pantokrator, Maryja i św. Jan Chrzcziciel).

Ostatnią część wystawy poświęcona jest wizerunkom świętych. Są tu popularne i lubiane w Polsce ikony ze św. Jerzym walczącym ze smokiem, ikony ze św. Mikołajem Cudotwórcą, jest tutaj moja ulubiona ikona św. Pantelejmona Męczennika, jest też niezwykła ikona przedstawiająca motyw odnalezienia głowy św. Jana Chrzcziciela oraz dwie kioty, czyli ozdobne drewniane szafki, w których umieszczano ikony (na wystawie można obejrzeć wersje z pojedynczymi ikonami, choć bywało, że znajdowało się tam również kilka ikon). Kioty, zwane też kiwotami, znajdowały się nie tylko w świątyniach, ale i w domach prywatnych, w tzw. pięknych kącikach (zajmowały wówczas wschodni róg głównej izby).

Poznanie tak obfitego zestawu ikonograficznego (ikony wielopostaciowe, trójrzędowe, czteropolewe itp.) uświadamia ich wielką różnorodność, przypomina, że nie są to jedynie wizerunki maryjne, z jakimi najczęściej bywają kojarzone (najpopularniejszą ikoną jest bez wątpienia cudowny obraz Czarnej Madonny, czyli Matki Boskiej Częstochowskiej w klasztorze paulinów na Jasnej Górze).

Słynna Matka Boska Włodzimierska, jaką w kilku wersjach można obejrzeć na katowickiej wystawie, reprezentuje typ Eleusy (Matka Boska obejmująca i przytula do policzka dzieciątko o poważnej twarzy). Pierwowzorem był XV-wieczny wizerunek wykonany przez sławnego rosyjskiego twórcę ikon Andrieja Rublowa, kopiujący układ z XII-wiecznej ikony przywiezionej z Bizancjum i umieszczonej w Soborze Zaśnięcia na Kremlu.

Podziwiając ikony prezentowane na wystawie „Obrazy światłem pisane” warto pamiętać, że to tylko część z udaremnionego przemytu. Wiele dzieł sztuki zostało uratowanych, ale niemało utraciliśmy na zawsze...

Katowicka prezentacja została wzbogacona dziełami z największej na Śląsku, liczącej ponad 400 eksponatów, kolekcji w Muzeum Śląska Cieszyńskiego, tam również wiele z nich trafiło z rąk służby celnej operującej na pobliskiej granicy. Ikony poddano konserwacji w Muzeum Śląskim, gdyż – jak dowiadujemy się z materiałów prasowych – cieszyńska placówka nie ma odpowiednich specjalistów, którzy mogliby przywracać je do dawnej świetności. Kuratorki tego artystyczno-duchowego wydawnictwa Katarzyna Jarmuł i Henryka Olszewska-Jarema współpracowały przy jego przygotowaniu z Ireną Pregel-Adamczyk z Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Ekspozycja będzie czynna do 25 września. Trzeba ją zobaczyć bezwarunkowo!

WITOLD KOCIŃSKI

Wystawie towarzyszy pięknie wydany katalog i co bardzo ważne w przystępnej cenie, jak na tego rodzaju albumowe wydawnictwo. Będzie wspaniałą pamiątką z wystawy i ozdobą domowej biblioteki.

Między Śląskiem a Wileńszczyzną

JOANNA JANUSZEWSKA-JURKIEWICZ
KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

W środowisku katowickiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich a także śląskich pracowników nauki (głównie z Uniwersytetu Śląskiego) związanych z Duszpasterstwem Akademickim, jesienią 2010 roku narodziła się idea upamiętnienia profesorów lwowskich zamordowanych przez hitlerowców w nocy z 3 na 4. lipca 1941 na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie.

W roku 2011 miało siedemdziesiąt lat od tej tragicznej w skutkach dla nauki polskiej zbrodni i tę dramatyczną rocznicę należało koniecznie przypomnieć i uczcić. Początkowo myślano o wmurowaniu tablicy ze stosowną inskrypcją w krypcie Katedry Chrystusa Króla w Katowicach, ale w trakcie licznych spotkań i dyskusji postanowiono zorganizować także konferencję naukową poświęconą więziom Lwowa z Górnym Śląskiem, sięgającą czasu powstania śląskich i plebiscytu, a może nawet wcześniej. Pomyśl wsparł natychmiast J. M. Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś jako przedstawiciel śląskich środowisk akademickich oraz J. E. Arcybiskup Metropolita katowicki ks. dr Damian Zimoń – tak więc idea zrazu szczupłego grona osób znalazła instytucjonalne wsparcie.

Konferencja odbyła się 27. maja 2011 w auli Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego gromadząc nadspodziewanie spore grono słuchaczy i tym samym potwierdzając słuszność przedsięwzięcia. Referaty wygłosili przedstawiciele całego śląskiego środowiska naukowego i artystycznego (Uniwersytetu Śląskiego, Akademii Muzycznej, Uniwersytetu Ekonomicznego, Akademii Sztuk Pięknych, Śląskiej Izby Lekarskiej, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, jak również Uniwersytetu Jagiellońskiego). Objęli oni swymi zainteresowaniami zasadniczo wszystkie aspekty życia naukowego, a także artystycznego na Górnym Śląsku po roku 1945, na którym swój znak wycisnęli przybyście ze Lwowa. Dynamiczna i merytoryczna dyskusja wniosła wiele nowych wątków i uzupełnień. W następnym dniu w Krypcie Katedry Chrystusa Króla uroczyście odsłonięto tablicę upamiętniającą pomordowanych profesorów lwowskich.

W roku następnym, 2012, wydano książkę *Niezwykła więź Kresów Wschodnich i Zachodnich. Wpływ lwowian na rozwój nauki i kultury na Górnym Śląsku po roku 1945*. Zawierała ona teksty referatów oraz wystąpienia z dyskusji,

oraz bogaty materiał ilustracyjny. W trakcie promocji książki, zapytywano organizatorów, kiedy przybyście z Wileńszczyzny doczekają się podobnej konferencji, a także książki. Konferencja, na którą Państwa zapraszamy jest odpowiedzią na te prośby.

* * *

Górny Śląsk i Wileńszczyzna – dwa regiony II Rzeczypospolitej na przeciwległych krańcach państwa – odległe i tak różne, a przecież, co wydawać by się mogło niemożliwe – jednak podobne. Gdy przyjrzeć się wnikliwiej dostrzeżemy wielu ludzi, którzy połączyli te ziemie, wiele spraw wspólnych i doświadczeń historycznych, które nie dzielą, lecz zbliżają.

Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że poza odległością mierzoną



Obraz Piękną Madonny z Ostrej Bramy

w kilometrach jeszcze większy dystans dzielił te ziemie w wyniku odrębnych doświadczeń historycznych, krańcowo różnych realiów gospodarczych, odmiennej struktury społecznej. A przecież, gdy w 1922 roku kształtowały się ostatecznie granice państwa polskiego, a w jego obszar niemal równocześnie wchodziły i ziemia wileńska, i część Górnego Śląska, to wartości wnoszone do Rzeczypospolitej przez mieszkańców tych ziem miały wiele wspólnego. Były nimi doświadczenia pogranicza kultur, wyznań i języków, gorące przywiązanie do własnej, a jak powiedzieliby wilnianie „bliższej” ojczyzny, umiłowanie własnej mowy, szczególnie stosunek do religii. Specyficzne dla obu regionów było nakładanie się identyfikacji religijnej i narodowej. I Ślązacy, i mieszkańcy Wileńszczyzny nie należeli zazwyczaj do ludzi głośnych, poszukujących poklasku, pragnących skupiać na sobie uwagę, rzucających słowa na wiatr. Często miłkwi i nie od razu otwierający się przed obcymi, obdarzeni byli uporem, stałością i ambicją. Choć przed pierwszą wojną światową ani Ślązacy nie znali z autopsji ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, ani mieszkańcy Wileńszczyzny nie bywali na odległym Śląsku, więź między nimi tworzyła poezja romantyczna, tak silnie związana z Wilnem, a trafiająca do uczuć Ślązaków. Działacz narodowy i dziennikarz Jan Przybyła, urodzony w powiecie gliwickim, jako młody els śląski ten kontakt z literaturą, tworzoną przez wychowanków wileńskiej Alma Mater uznał za istotny dla swych wyborów życiowych. Pisał później: „Dla nas Ślązaków dzieła wieszczów [...] miały w sobie coś tak czarującego, że [...] do dziś czuję te pierwsze wrażenia, które w ciężkich chwilach życiowych były mi nieraz balsamem, bo jak cudowne tony muzyki odzywały się w duszy, budziły rozumienie tych pierwszych orlich lotów ducha, tych silnych postanowień, by stać się człowiekiem dobrym i mądrym”.

A Karol Miarka w Mikołowie wydawał monumentalną serię poetów romantycznych, tak bardzo popularnych na Śląsku. O specjalnym kulcie Mickiewicza na Śląsku pisał przed laty Jacek Koraszewski.

W okresie międzywojennym kontakty naukowe, turystyczne, pielgrzymkowe między Śląskiem a Wileńszczyzną stawały się coraz częstsze, harcerska młodzież śląska wyjeżdżała na obozy w urokliwe zakątki Wileńszczyzny, młodzi wilnianie odwiedzali egzotyczny dla nich przemysłowy Śląsk i wędrowali po Beskidzie Śląskim. Gustaw Morcinek po wycieczce do Wilna napisał, że jest to najpiękniejsze polskie miasto.

Ślązacy wnieśli niebagatelny wkład w rozwój Uniwersytetu Stefana Batorego. Cieszyński, dr Kornel Michejda stworzył od podstaw Katedrę Chirurgii USB, kierował uniwersytecką kliniką chirurgiczną w Wilnie, przez dwie kadencje był dziekanem Wydziału Lekarskiego. Jego postawa w latach wojny, przeżytych na Wileńszczyźnie, uhonorowana została tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Urodzony w Legnicy absolwent Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Wrocław-



Paweł Steller Matka Boska Piekarska w koronach z pierwszej koronacji

skiego i lektor języka polskiego Erwin Koschmieder był profesorem filologii słowiańskiej na Wydziale Humanistycznym USB, a przez pewien czas pełnił także obowiązki kierownika słynnej Biblioteki Państwowej im. Wróblewskich w Wilnie.

Po wojnie niejednym z mieszkańców Wilna i ziemi wileńskiej znalazł na Śląsku życiową przystań, warsztat pracy i nową „bliższą” ojczyznę, choć gród nad Wilią i Wilenką, w blasku Ostrej Bramy zajmował w jego pamięci miejsce szczególne.

Konferencja nasza będzie okazją do ukazania paraleli losów Górnego Śląska i Wileńszczyzny, wzajemnych związków różnych części Śląska i Wileńszczyzny w sferze kultury i bezpośrednich kontaktów z okresu II Rzeczypospolitej. Chcemy przypomnieć biografie i dokonania ludzi, którzy na różnych etapach życia związani byli z tymi regionami. Szczególne ważne wydaje się ukazanie wkładu osób, które zmuszone do opuszczenia ziemi wileńskiej po II wojnie światowej, właśnie Śląsk uznały za swoje miejsce na ziemi, uczestnicząc tu w budowie życia artystycznego, naukowego i kulturalnego, sercem i umysłem pozostawały między Śląskiem a Wileńszczyzną.

W dwudziestoleciu międzywojennym, Lwów, Wileńszczyzna i Śląsk były ziemiami kresowymi i fakt ten wytwarzał więź dodatkową, bo to słowo posiada własną aksjologię i własną barwę emocjonalną. Znakomicie oddają ją słowa wybitnej polskiej pisarki, Zofii Kossak, która napisała:

„Kresy i stolica, obwód i jądro, bardzo rzadko rozumieją się wzajem. Co tu bywa krwawą tragedią, tam się wydaje nieznanym zatargiem. Ofiara czyjegoś życia nie jest powodem dostatecznym nawet do dyplomatycznego śniadania. Co dla pierwszych jest całym światem, dla drugich przedstawia jedynie wąski odcinek zawiąklanej sprawy. – Kresowcy zawsze przesadzają – mówi obojętnie stolica. Przypuścimy, że tak. Lecz jak żebyś się czuła Warszawo pozbawiona muru „przesadnych” i nieustępliwych kresowców?”.

Program Konferencji Naukowej „MIĘDZY ŚLĄSKIEM A WILEŃSZCZYZNĄ”

22-23 września 2016 r.

Miejsce: Aula im. Walerego Pańki, Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii
Uniwersytetu Śląskiego, Katowice, ul. Bankowa 14

■ 22 września 2016 r.

• godz. 9.30 – Otwarcie konferencji przez JM Rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. Andrzeja Kowalczyka i Kierownika Stacji Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności w Katowicach prof. Marka Zrałka.

• godz. 10.00 – 15.30 – Związki Ziemi Wileńskiej i Górnego Śląska przed II wojną światową

• godz. 10.00-12.15 – I sesja. **Moderator: prof. dr hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz**

prof. dr hab. **Tadeusz Bujnicki** (Uniwersytet Warszawski): *Kontakty literackie Wilna i Śląska w dwudziestolecie międzywojennym.*

prof. dr hab. **Andrzej Linert** (Uniwersytet Jagielloński): *Górnośląskie fascynacje dyrektora teatru wileńskiego*

dr hab. **Henryka Ilgiewicz** (Instytut Badań Kultury Litwy/ Lietuvos kultūros tyrimų institutas): *Ślązak profesor Erwin Koschmieder (1895–1977) w Wilnie*

dr hab. **Anna Tokarska** (Uniwersytet Śląski): *Książka wileńska na Śląsku.*

dr hab. **Katarzyna Tałuć** (Uniwersytet Śląski): *Wilno na łamach prasy śląskiej na początku niepodległości*

dr hab. **Joanna Januszewska-Jurkiewicz** (Uniwersytet Śląski): *Śląsk i Ślązacy na łamach prasy wileńskiej na początku lat dwudziestych XX wieku.*

7. Dyskusja

• godz. 12.40 – 15.15 – II sesja. **Moderator prof. dr hab. Tadeusz Bujnicki**

dr hab. **Aleksandra Pethe** (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach): *Gustaw Morcinek na Wileńszczyźnie*

prof. dr hab. **Krystyna Heska-Kwaśniewicz** (Uniwersytet Śląski): *Cieszyniak druzynowym w Wilnie. Kontakty harcerstwa na Górnym Śląsku i Wileńszczyźnie*

Mieczysław Dobkowski (Muzeum Górnośląskie w Bytomiu): *Śląsk w obiektywie wileńskiego fotografa Jana Bulhaka.*

dr **Maja Drzazga-Lech** (Uniwersytet Śląski): *Śląski Moniuszko – z dziejów kultu Moniuszki na Śląsku.*

dr **Katarzyna Luksa**, dr hab. **Joanna Januszewska-Jurkiewicz** (Uniwersytet Śląski): *Wilnianin na Górnym Śląsku. Wizyta Józefa Piłsudskiego w województwie śląskim w sierpniu 1922 roku.*

dr hab. **Krzysztof Nowak** (Uniwersytet Śląski): *Prof. Kornel Michejda w Wilnie i Katowicach.*

dr **Waldemar Wołkanowski** (Uniwersytet Opolski): *Sportowe kontakty wileńsko-śląskie w dwudziestolecie międzywojennym.*

8. Dyskusja

• godz. 15.15-16.15 – Zwiedzanie wystawy książek o tematyce kresowej **Świat Kresów: historia – ludzie – tradycje** w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej (CINiBA) w Katowicach, ul. Bankowa 11 a. Autorka wystawy: Ewa Żurawska.

• godz. 16.15-17.30

– Spotkanie z Wilnem w poezji Tadeusza Kijonki.

– Koncert pieśni Stanisława Moniuszki w wykonaniu zespołu „Słowiczki” – dyrygent Elżbieta Kudala.

■ 23 września 2016

• godz. 9.30-14.30 – **Dziedzictwo Wilna i Kresów Północno-Wschodnich na Górnym Śląsku po II wojnie światowej.**

Moderator: dr hab. Joanna Januszewska-Jurkiewicz

prof. dr hab. **Leon Markiewicz** (Akademia Muzyczna Katowice): *Z Wilna na Śląsk. Wspomnienie.*

dr hab. **Dorota Sula** (Muzeum w Gross-Rosen): *Przesiedlenia z Wileńszczyzny po II wojnie światowej*

prof. dr hab. **Marek Piechota** (Uniwersytet Śląski): *Śląscy poloniści w Wilnie.*

dr hab. **Anna Szawerna-Dyrzka** prof. Uniwersytetu Śląskiego: *Śląskie tropy Czesława Miłosza.*

s. dr **Anna Mroczek** (Zgromadzenie Sióstr od Aniołów, Warszawa): *Śląsk i Wileńszczyzna. Paralela między Matką Bożą Piekarską a Matką Bożą Ostrobramską.*

Przerwa

Moderator: prof. dr hab. Marek Piechota dr **Jan Rauch** (Śląska Izba Lekarska): *Wileńscy lekarze na Śląsku. Wkład w powstanie i rozwój szkolnictwa medycznego na Górnym Śląsku.*

dr **Lucyna Sadzikowska** (Uniwersytet Śląski): *Uczni o wileńskich korzeniach w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.*

dr **Grażyna Darlak** (Akademia Muzyczna Katowice): *Prof. Leon Markiewicz. Wilnianin współtwórcą życia muzycznego w Katowicach.*

dr hab. **Halina Dudała** (Archiwum Archidiecezjalne Katowice): *Wileńskie wizyty na Śląsku.*

5. Dyskusja

Organizatorzy: Uniwersytet Śląski w Katowicach, Stacja Naukowa Polskiej Akademii Umiejętności w Katowicach.

Współpraca: Stowarzyszenie Naukowców Polaków Litwy

Rada Programowa konferencji: prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś, prof. zw. dr hab. Jerzy Wyrozumski, prof. zw. dr hab. Tadeusz Bujnicki, prof. zw. dr hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, prof. zw. dr hab. Alicja Ratuszna, prof. zw. dr hab. Marek Zrałek, dr hab. Anna Szawerna-Dyrzka prof. US, dr hab. Zygmunt Woźniczka

Konferencji „Między Śląskiem a Wileńszczyzną” patronuje miesięcznik „Śląsk”.



Miejska Galeria Sztuki, fragment ekspozycji obrazów Zdzisława Beksińskiego

Podróż Beksińskiego z Paryża do Częstochowy

ELŻBIETA PISARCZYK

Nie prezentowane dotąd w Polsce 30 obrazów i 30 rysunków niemal z całego dorobku twórczego Zdzisława Beksińskiego, złożyły się na otwartą 25 maja br. w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie wystawę „Beksiński. Drugie Muzeum”. Rangi uroczystości dodała obecność takich gości jak prezydent miasta Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk czy marszandzi kolekcji Anna i Piotr Dmochowski.

– Żadna z tych prac nie była pokazywana w Polsce – mówił podczas wernisażu Piotr Dmochowski. Wystawialiśmy je jedynie w paryskiej galerii. Wisiały też u nas w mieszkaniu, w którym mamy 20 prac Beksińskiego. Zdecydowaliśmy, że trzeba je

wreszcie pokazać szerszej publiczności. Część obrazów oprawiona jest w ramy zaproponowane przez mnie, a pozostałe są w drewnianych listwach. To oryginalne ramy, w które oprawił je jeszcze sam Beksiński. To taki historyczny smaczek – dodał

Dmochowski. – Prace pochodzą z różnych okresów twórczości artysty, począwszy od rysunków z lat 50. i 60. i obrazów z lat 70., po obrazy, które zakupiliśmy tuż przed jego śmiercią. Z kolei o zbiorach częstochowskiej galerii opowiadała jej dyrektor Anna Pa-

leczek-Szumlas: – Historia posiadania przez Miejską Galerię Sztuki w Częstochowie dzieł i zbiorów obrazów, rysunków i fotografii Zbigniewa Beksińskiego – uznanego i wybitnego artysty Polaka, sięga ponad dziesięć lat. W lutym tego roku zorganizowaliśmy wystawę dzieł, będących własnością Anny i Piotra Dmochowskich, a zatytułowaną pt. „Decenium”, która była podsumowaniem pobytu tej części kolekcji w Częstochowie. Do dyspozycji mieliśmy 250 dzieł, które prezentowaliśmy w sposób stały i ruchomy. Ruchomy – ponieważ fotografie i rysunki wypożyczane były innym, polskim instytucjom kultury. 30 marca 2016 r. decyzją właścicieli kolekcja została protokolarnie przekazana do Nowohuckiego Centrum Kultury w Krakowie, gdzie w październiku br. odbędzie się jej uroczyste otwarcie.

Trzy domy: Sanok, Nowa Huta, Częstochowa

Staraniem dyrektora galerii Anny Paleczek-Szumlas kolekcja Beksińskiego ma swoją kontynuację w Częstochowie. W kwietniu zawitała, przywieziona z Paryża, nowa kolekcja dzieł tego wybitnego artysty, na którą składa się 60 dzieł (30 obrazów i 30 rysunków). Jest to unikatowa część zbiorów państwa Dmochowskich, wcześniej nie wystawiana w Polsce, a częstochowskiej galerii została udostępniona nieodpłatnie. Dodatkowo eksponowane są prace dwóch innych artystów: Henricot’a i Russev’a, które doskonale pasują do mrocznego klimatu dzieł Beksińskiego. Kolekcja ma charakter unikatowy – nie tylko ze względu na wartość, ale także dlatego, że w takiej odsłonie nigdzie jeszcze nie były prezentowane – zauważyła Anna Paleczek-Szumlas. Tylko Muzeum Historyczne w Sanoku, rodzinnym mieście Beksińskiego, które posiada prawa autorskie artysty i wspomniane Nowohuckie Centrum Kultury w Krakowie, które przejęło naszą dotychczasową kolekcję, posiada większe od naszych zbiory Beksińskiego. Razem tworzymy trzy instytucje kultury w Polsce tak szeroko promujące talent i twórczość tego wybitnego artysty.

Wyjątkowej wartości wystawa dzieł Zdzisława Beksińskiego w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki, która jest częścią stałej ekspozycji, stała się wielkim wydarzeniem artystycznym w Polsce. W ciągu 10 lat Beksiński wrósł w pejzaż kulturalny Częstochowy. Aby obejrzeć obrazy artysty przyjeżdżają goście z całej Polski, Europy a nawet Japonii.

– Zrobiłam wszystko, aby Beksiński i Miejska Galeria Sztuki stanowili ni-

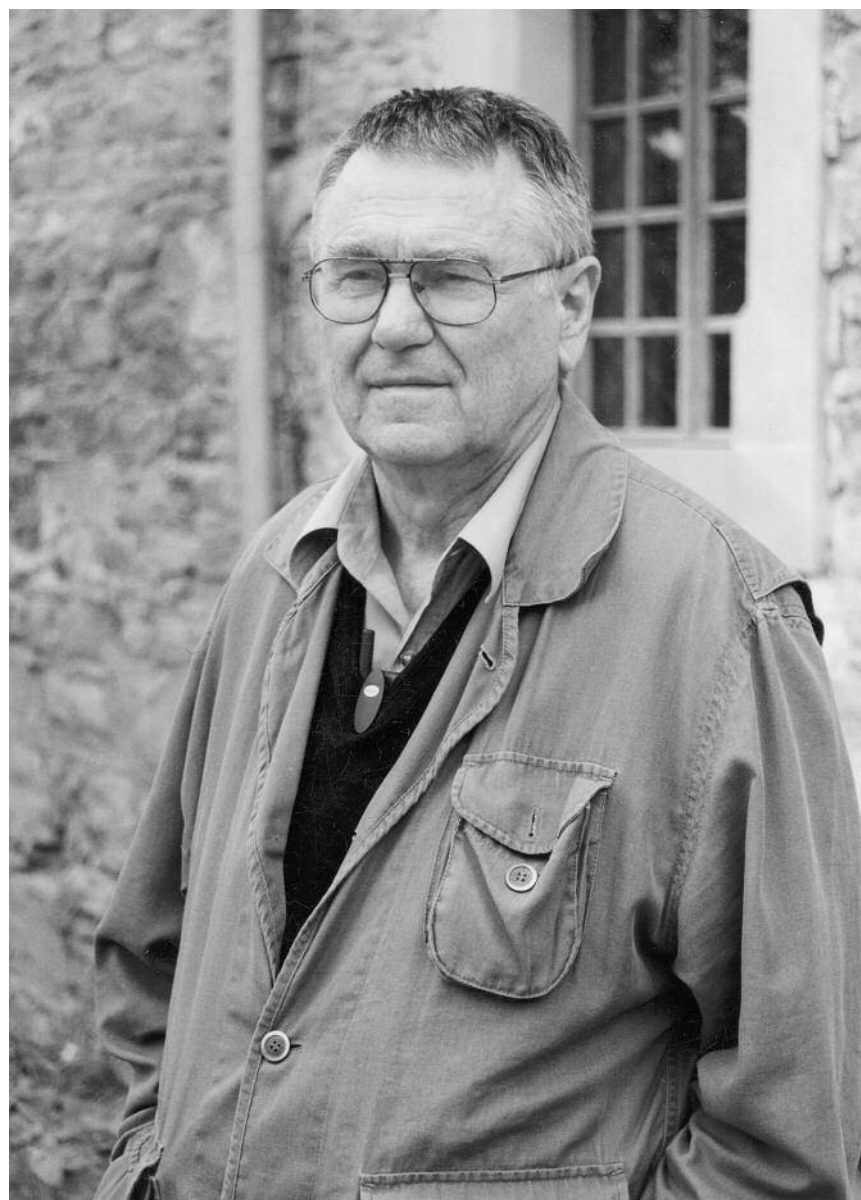
rozłączną całość, by Częstochowa kojarzyła się w świadomości poszukujących doznań artystycznych odbiorców, z kolejnym, poza Sanokiem i Krakowem, jego domem. Chyba mi się to udało. Zapraszam wszystkich do odwiedzenia wystawy w nowych, wyremontowanych wnętrzach galerii – zachęcała Anna Paleczek-Szumlas.

W awangardzie – miłość i krytyka

Zdzisław Beksiński urodził się w 1929 r. w Sanoku. Jako młody artysta zajmował się fotografią, wygrywając szereg konkursów międzynarodowych. Dziś Beksiński jest rzadziej kojarzony z czarno-białymi zdjęciami, ale to właśnie od nich zaczął swoją karierę. Jego fotografie przedstawiały ludzkie postacie, często w niecodziennych pozach – skulone, jakby załkane modelki były owinięte sznurka-

mi, ich ciała były zdeformowane lub tak skadrowane, że było widać tylko ich fragmenty. Pierwszym poważnym sukcesem wystawienniczym była dla Beksińskiego wystawa ponad trzydziestu obrazów o tematyce fantastycznej, zorganizowana w 1964 r. w Warszawie, przez krytyka Janusza Boguckiego. Awangardowa krytyka odwróciła się wówczas od Beksińskiego, uważając go za renegata, ale publiczność dobrze przyjęła wystawę. Sprzedał na niej wszystkie wystawione obrazy. Po wielu staraniach i perturbacjach, w 1977 r. przeprowadził się wraz z rodziną do Warszawy, ciesząc się coraz większym uznaniem publiczności i spotykając się z coraz bardziej zaciętą krytyką dawnych sprzymierzeńców.

W latach 80. Beksiński zaprzyjaźnił się z miłośnikiem swojej sztuki i kolekcjonerem, adwokatem i profesorem uniwersytetu, zamieszkałym w Paryżu – Piotrem Dmochowskim. Od tam-



Zdzisław Beksiński

tej pory, czyli od 1983 r., aż po dzień dzisiejszy, Dmochowski zajmuje się promocją sztuki Beksińskiego na świecie. W tym celu wydał dwa monograficzne albumy prac artysty, doprowadził do powstania filmu pt. „W hołdzie Beksińskiemu”, który był prezentowany na Festiwalu Filmowym w Cannes w 1986 r. Napisał również książkę pod tytułem „Zmagania o Beksińskiego”, w której opowiada o próbach spopularyzowania sztuki Beksińskiego we Francji.

Piotr Dmochowski wraz z żoną Anną stworzył dużą kolekcję prac Beksińskiego, którą prezentował podczas wystaw we Francji, Belgii i Niemczech. W latach 1989 – 1996 istniała w Paryżu autorska galeria Beksińskiego o nazwie „Galerie Dmochowski – Musée galerie de Bekinski”. Poza Francją, na początku lat 90., istniała w Osace, w Japonii, stała wystawa dzieł artysty w prywatnym muzeum sztuki europejskich krajów wschodnich. Muzeum zakończyło swoją działalność, ale w Japonii nadal znajduje się około 70 obrazów Beksińskiego. W 2015 r., w uznaniu wieloletniej, dobrej współpracy z Miejską Galerią Sztuki w Częstochowie państwo Dmochowscy otrzymali z rąk prezydenta miasta Krzysztofa Matyjaszczyka medal Merentibus za zasługi w dziedzinie sztuki.

W swej twórczości z lat 90. Beksiński coraz bardziej oddalał się od fantastyki, tajemniczych treści, pełnej grozy atmosfery, którymi były przepelnione jego obrazy z okresu „fantastycznego”, który sam artysta określał mianem „barokowy”. Coraz więcej czasu poświęcał pracy nad formą, uważając, że pozostając nadal wierny figuracji, powinien powrócić do sposobu malowania z czasu swej wczesnej młodości, kiedy jedynym celem do osiągnięcia było poprawne, harmonijne,

w określonym porządku zamalowanie pewnej, wyznaczonej ramami płaszczyzny. Ten okres swojej twórczości Beksiński nazywał „gotyckim”. Po 2000 r., nie zaprzestając jednocześnie malować i rysować, zaczął Beksiński tworzyć swoje digitalowe kompozycje, a także przy pomocy fotokopiarki.

W gotyckich nastrojach

– **Beksińskiego można kochać lub nie, ale po obejrzeniu tej kolekcji widz z pewnością wyjdzie zamyślony i wyciszony, bo dzięki szczególnemu doborowi prac poznajemy autora tych dzieł z innej strony.** Dowiadujemy się, że jego obrazy w swej zagadkowości i mroczności, mają w sobie mnóstwo optymizmu – komentowała wystawę dyrektor galerii Anna Paleczek-Szumlas. – Beksińskiego charakteryzowała mroczność w postrzeganiu świata, taki rodzaj melancholii, smutku, który porusza do głębi. Stąd te zniekształcone postaci, twarze bez oczu czy ust, mury i drogi donikąd. Nie są to jednak obrazy przerażające, ani napawające widza strachem, ale zachęcające do zadumy, do wnikięcia do zakamarków swojej podświadomości. Innym charakterystycznym znakiem twórczości artysty jest fakt, że dzieła Beksińskiego nie mają tytułów, ale znakowane są symbolami. Jednak najgłębszy sens jego prac stanowią klimat i nastrój. Próby doszukania się w nich jakiegoś obiektywnego znaczenia są błędne. Beksiński tworzył swoje dzieła dla odbiorcy, którego najważniejsze jest subiektywne wrażenie. Klimat prawie wszystkich dzieł artysty jest niezwykle ponury i smutny. Uwidacznia się w wielu elementach, które składają się na pewną całość. Znamienny jest fakt, że nastrój grozy

i rozpacz nie oznacza żadnej katastrofy, dotyczącej całą ludzkość, którą ogranicza do jednej lub kilku postaci, występujących na danym obrazie. Nie są to jedyne motywy dzieł Beksińskiego, który często tworzył wizje ukazujące m. in. dziwne budynki, puste przestrzenie, a nawet nieokreślone przedmioty naprowadzające na różne konotacje. Bez względu na to, jaki obiekt znajduje się na obrazie, zawsze trwa on w jakimś nieokreślonym stanie osobistego dramatu. Czyżby artysta przeczuwał zbliżające się mroczne wydarzenia?

Zamieszkać ze śmiercią

Beksiński w 1977 r. razem z rodziną przeprowadził się do Warszawy. Zamieszkał w apartamencie przy ulicy Sonaty na Służewcu. Wraz z małżeństwem zamieszkała matka artysty – Stanisława oraz matka Zofii – Stanisława Stankiewicz. Syn Tomasz zamieszkał samodzielnie w mieszkaniu położonym nieopodal. Obie matki, ze względu na swój wiek, wymagały opieki. Wkrótce zmarły. Niedługo potem żona Beksińskiego ciężko zachorowała i w maju 1998 r. również zmarła. Rok później ich syn, Tomasz, popełnił samobójstwo. Beksiński został sam. Nie wiedział, że i jego samego czeka mroczny koniec. Na kilka dni przed swymi 76. urodzinami, w nocy z 21 na 22 lutego 2005 r. został zamordowany w swoim mieszkaniu. Mordercą okazał się Robert K., pracujący dla artysty. Motywy morderstwa miało być to, że Beksiński odmówił udzielenia pożyczki sprawcy. Zabójca zadał ofierze siedemnaście pchnięć nożem. Pogrzeb Zdzisława Beksińskiego odbył się 8 marca 2005 r. na Cmentarzu Centralnym w Sanoku. Rodzina Beksińskich: Zdzisław, jego żona Zofia, dziadkowie Władysław i Helena, rodzice Stanisław i Stanisława oraz syn Tomasz jest pochowana w grobowcu rodzinnym, zaprojektowanym przez Władysława Beksińskiego. Dzień pogrzebu artysty był w Sanoku oficjalnym dniem żałoby.

Testament

W 2001 r. cały swój dorobek artystyczny Beksiński zapisał w testamencie Muzeum Historycznemu w Sanoku, któremu już za życia przekazał około 300 obrazów. Po śmierci artysty Muzeum otrzymało około 20 jego ostatnich obrazów, prawie 1000 zdjęć i grafik, a także cały majątek – mieszkania, lokaty bankowe i sprzęt komputerowy. Zbiory muzeum powiększyły się również o zapi-



sy multimedialne, listy i filmy dokumentujące życie rodzinne twórcy. Muzeum posiada obecnie największą kolekcję dzieł artysty, obejmującą kilka tysięcy obrazów, reliefów, rzeźb, rysunków, grafik i fotografii.

Placówka systematycznie gromadziła środki finansowe na budowę osobnego skrzydła w sanockim Zamku Królewskim, w którym utworzona miała zostać autorska galeria Beksińskiego. Prace ruszyły wiosną 2010 r., a ukończone zostały jesienią 2011 r. Otwarcie galerii miało miejsce 18 maja 2012 r. Pomieszczenia ekspozycyjne znajdują się w południowo-wschodnim skrzydle Zamku i zajmują kilka kondygnacji. Poza częścią wystawową, atrakcją dla zwiedzających jest precyzyjnie zrekonstruowana pracownia Beksińskiego, pierwotnie znajdująca się w jego warszawskim mieszkaniu przy ul. Sonaty. Koszt powstania Galerii wyniósł 4,5 miliona zł. – Zbiory Muzeum Historycznego w Sanoku prezentowane są w renesansowym zamku, pięknie położonym na wyniosłej skarpie, u stóp której wije się rzeka San. Zbiory dzieł Zdzisława Beksińskiego, obok sztuki cerkiewnej z okresu XII-XIX w. oraz arcydzieł malarstwa ikonowego z XV i XVI w. należą do najcenniejszych – mówił w Częstochowie Wiesław Banach, dyrektor sanockiego muzeum.

* * *

W 2005 r. Zdzisław Beksiński został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla kultury, za osią-



Wernisaż wystawy dzieł Zdzisława Beksińskiego w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie: kolekcjoner Piotr Dmochowski, dyrektor Anna Paleczek-Szumlas i prezydenta Miasta Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk

gnięcia w twórczości artystycznej”. Artyście dedykowane jest także rondo w rodzinnym Sanoku, a w miejscu nieistniejącego już domu Beksińskich został ustanowiony Zieleniec Beksińskiego. Z dawnych zabudowań majątku Beksińskich pozostała w tym miejscu tylko studnia. 11 listopada 2005 r. staraniem Okręgu Bieszczadzkiego Ligi Ochrony Przyrody zasadzono tam dęb kolumnowy upamiętniający artystę. Inskrypcja na tabliczce brzmi: „W hołdzie wielkiemu sanoczaninowi Zdzisławowi Beksińskiemu. Zarząd Okręgu Bieszczadzkiego LOP. Sanok 11 listopa-

da 2005”. To tylko niektóre miejsca upamiętniające wybitnego artystę.

W październiku 2010 r. w holu głównym gmachu Parlamentu Europejskiego w Brukseli, za sprawą europoła Tomasza Poręby (PiS) zaprezentowano wystawę pod nazwą „Zdzisław Beksiński – mroki podświadomości”, na którą złożyło się 21 dzieł prac artysty. ■

Redakcja dziękuje Muzeum w Częstochowie i Muzeum w Sanoku za udostępnienie zdjęć.





„Niedotowane”, Teatr Mariana Bednarka. Na zdjęciu: Joanna Szarblewska i Wojciech Chowaniec.

O 18. Festiwalu Sztuki Teatralnej w Rybniku

I. Przed festiwalem. ORKA – PROGRAM

Idę orać, wsadzać aktorów jak kartofle w dzień piątkowego pola, sobotniego i niedzielonego, w ziemię festiwalu, żeby zapłodnili sobą tę ziemię duchową, bardzo kulejącą, zrytą wewnątrz przez wymęczonych górników i inne stworzenia, nie mające może nic z duchem wspólnego, kto wie? W nocy te aktory będą dokazywać, jak zawsze, po swojemu, więc nie będę tego co poza programem festiwalu, tego tupania rozwijał tu, wsadzał w te moje pole kultury, zwłaszcza te opróżnione kufle i butelki. I to często beze mnie, bo innymi ścieżkami muszę chadzać i często pić sam ze sobą, choć w grupie bardziej smakuje, to oczywiste, jak nie regulowany wyrąb lasu.

To tylko robocze pisanie, tworzenie programu festiwalu teatralnego, ale czuję się jak rolnik albo ogrodnik. Wszystko się ucielesni w maju, według mojej wizji będą się przelewały w so-

bie radość i rozpacz, smutek i żal, groteska i powaga. Sarkazmy i gorycz dzisiejszej epoki wypchają każdą szczeelinę widowni i sceny jak pająki i kurz. Będą to kurz i pająki alternatywy, z którą się jakoś zbratałem. Można to rozwinąć aż do nowej idei, by uformować współczesną awangardę? Ironią będziemy wszyscy oddychać, metaforą, niedomówieniem oczywiście najczęściej. Najlepsze jednak będzie milczenie. Milczenie zawsze było najlepsze? Kiedy wie swoje. Dziesiątki masek zaleją budynek festiwalu. Będą wszędzie, nawet nad talerzem zupy będą się pochylać z głodu. Zjeść chleb w masce, to jakaś perwersja, animozja, a na pewno Strach. Moja maska, jak zwykle, będzie mi cholernie doskwierać, bo zjeść krupnik w masce to męka, ścieka to po tej tekturze, że ciężko oblażyć. A nawet gdybym sam ją ściągnął, to mi ją jakiś teatralny typ z powrotem nałoży, po prostu wciśnie mi ją na głowę i będę tak zwanym dyrektorem artystycznym, albo co najmniej workiem do bicia. Wołalbym być innym workiem, tutaj wy-

obraźnia aż rwie się do tańca działania, do boju, ale nie wiem czy pełnym workiem chciałbym być, takim gotowym, zawiązanym u góry ślicznym sznurkiem. I każdy po cichu będzie tęsknił do swej pełnej lodówki Europy, czyli żeby się nazreć i nic nie robić. Są może jednak wyjątki. Tak bardzo bym tego chciał. Bo inaczej zaleje nas drugi potop. Tam, skąd nadciąga największy strach, z Zachodu, tam naściągali niewolników do pracy. A niewolnicy zbuntowali się i chcą być teraz panami. Cały świat boi się teraz tych niewolników, którzy chcą być panami świata. I tu kończy się teatr. Ale ja orzę dalej, jak zwykle, jak gdyby nigdy nic, jak zwykły rolnik, żeby był chleb teatralny, duchowy, czy jak go tam nazwać? Może chleb wspólnotowy?

Mój wkopany w ziemię duchową kartofel festiwalu, może podleczy komuś zdrowie duszy. A ten poprosi o jeszcze, bo kolejki u Najwyższego Lekarza coraz dłuższe.

KRZYSZTOF SIELICKI

II. PO FESTIWALU. ODNALEŹ SIĘ W JAKIMŚ PORZĄDKU

Po każdym festiwalu zostaje kilka obrazów. Jedne pamięta się dłużej, inne krócej. Można oczywiście próbować tworzyć jakieś całościowe szkice tego czy innego festiwalu – ale: dość dawno porzuciłem pisanie recenzji, często też nie tak istotna jak artystyczna wartość spektakli (czymże ją mierzyć? teatr dla absolwentów licznych teatrologii to jednak społecznie liche rozwiązanie...) bywa nieoczekiwana „konfiguracja ludzka” uczestników spotkania, rozmowy, czyjaś opinia, gwałtowny sprzeciw, albo medytacyjny spokój kogoś innego. Życie jest ważniejsze niż teatr – dobrze, że znowu przypomina się słowa Konstantego Puzyny.

Po 18. Festiwalu pozostało takich kilka zdecydowanie określonych wrażeń. Najbardziej zagadkowo objawił się spektakl Teatru Krzyk z Maszewa „To Face”. Raczej niejasno brzmi ich autokomentarz z programu festiwalowego, ale droga, jaką przeszła grupa kierowana przez Marka Kościółka jest zastanawiająca – od plakatowej wyrazistości (mocnej i pięknej w kilku spektaklach sprzed lat) do stawiania zagadek. Kim jestem naprawdę? Krzyk to już nie jest tylko krzyk przeciw bydlackim normom reglamentującym wolność życia, to krzyk – *Bożesz ty moj – jak mówią Rosjanie* – filozofa. Nad grą pary bohaterów szukających tożsamości unosi się Gombrowicz, Greenaway i cała chmura podobnych im twórców. Nie da się opowiedzieć tego spektaklu, a jednak każdy widz może zbudować swoją ścieżkę rozumienia niejasnej akcji. Świetna dyscyplina aktorska – czyli jeszcze jeden dowód, że przez technikę dochodzi się do metafizyki.

Wiele lat temu Teatr Realistyczny pokazywał spektakl Roberta Paluchowskiego „Tożsamość”, gdzie także było rozważane pytanie – kim jestem w kraju, jaki wtedy był – na progu tzw. transformacji, w totalnym bałaganie i zabieganiu. Dzisiaj – już bez tego artysty – Iwona Konecka z koleżankami i kolegą (jednym?) stawia podobne pytania. W „Atrapie i utopii” pokazuje jak rozumie dzisiejszą narastającą entropię cywilizacji coraz bardziej zorganizowanej, ahumanistycznej, stehnicyzowanej, obcej dla siebie samej. Czy jedynym wyjściem jest rozlanie benzyny i anarchia? Nowe wcielenie Teatru Realistycznego dalej pozostaje wierne przekonaniu, że tylko taki teatr ma wartość, „który jest życiem płacony” (ech, znowu ten Puzyra). I działa na marginesie powszechnie przyjętych rytuałów, układów...

Wojtko Kowalskiego widziałem już w różnych wcieleniach. Najczęściej komediowych lub komediowopodobnych. Tym razem jego monodram według prozy Janusza Rudnickiego opowiada o bólu poszukiwania swojego miejsca. Czyli w jakimś sensie opowiada także o tożsamości. Polak – Niemiec, Polakoniemiec, Niemcopolak – kim jest bohater usiłujący jakoś przytrzymać się życia, poszukujący dla siebie jakiegoś punktu odniesienia? No oczywiście jest Polska, sprawa Polski, nie – na konferencji w Jalcie mówiono: „kwestia Polski”. Chwilami te rozważania brzmią jak wyjęte z prozy Dygata, chwilami jak teksty wściekłych raperów z ponurych blokowisk naszej ojczyzny. No i obraz naprawdę wstrząsający: Polska w końcu opuszcza Polskę. To będę pamiętać „No i jak tiepier nam żyć”?

Było jeszcze kilka spektakli może nie tak wyrazistych „ideowo” ale równie gorących w przesłaniach. Może do nich jeszcze wrócę. Jednak nie porównywalny z innymi festiwalami offu jest mocny w Rybniku ton surrealistu i groteski, głównie za sprawą teatralnych działań Mariana Bednarka. „Niedotowane” to także w gruncie rzeczy opowieść o próbie odnalezienia się w jakimś porządku. Para artystów chce za wszelką cenę zaistnieć, ale nie rozumie, że dyrektor/świat ich nie potrzebuje, bo on jest szczęśliwie dotowany, a oni nawet nie przeczuwają, jakiej wiedzy, jakich umiejętności potrzeba, by znaleźć się w ciepłym kręgu dotowanych ludzi. Nie przychodzi im też do głowy, że można w ogóle nie wchodzić w ten krąg. Tyle słów na dzisiejszy wieczór.

MARIAN LECH BEDNAREK
Dyrektor festiwalu
Rybnik, 9 kwietnia 2016



„To Face”, Teatr Krzyk. Na zdjęciu Lena Witkowska i Mateusz Zadala.



„3 x tak, Rudnicki” w wykonaniu Wojtko Kowalskiego.



„Atrapa i utopia”, Fundacja Teatr Realistyczny. Na zdjęciu Iwona Konecka.



Otwarcie wystawy: przemawia Elżbieta Wrotnowska-Gmyz z Narodowego Centrum Kultury; obok pomysłodawca wystawy Andrzej Pągowski, Magdalena Świerzy (żona) i Jacek Świerzy (syn)

Szkicownik osobisty Waldemara Świerzego

Po ubiegłorocznej monumentalnej prezentacji na Zamku Królewskim w Warszawie, nowego, kompletnego pocztu 49 władców Polski, namalowanego przez zmarłego 27 listopada 2013 roku prof. Waldemara Świerzego, w dniu 8 czerwca 2016 r. miało miejsce kolejne związane z nim ważne wydarzenie artystyczne. Tym razem w Galerii Kordegarda na Krakowskim Przedmieściu otwar-

to wystawę prezentującą jego *Szkicownik osobisty*.

Okazało się bowiem po śmierci artysty, że w jego pracowni, w pozostawionych kartonach i różnych szufladach, znaleziono wiele rysunków – szkiców, które poprzedzały powstanie, do dziś rozpoznawalnych w świecie plakatów. Tych roboczych szkiców, najczęściej z przyrębkami do dzieł uzyskujących

w efekcie jego ostateczną akceptację, Waldemar Świerzy nikomu nie pokazywał, uznając je za rodzaj swoich prywatnych malarskich notatek.

Ale odkryte przez Magdalenę Świerzy szkice i rysunki przejrzał jego były student i przyjaciel Andrzej Pągowski, który dokonał ich wyboru i po uzupełnieniu rozmowami z żoną i przyjaciółmi artysty: Januszem Gajosem, Wojciechem Fangorem (zmarłym w październiku 2015 roku), Moniką Małkowską, Niną Rozwadowską oraz Piotrem Dąbrowskim, największym kolekcjonerem jego plakatów, postanowił je wydać w zaprojektowanym przez siebie pięknym albumie pt. *Szkicownik osobisty Waldemara Świerzego*, którego wydawcą zostało w 2015 roku Narodowe Centrum Kultury.

Andrzej Pągowski jest też pomysłodawcą i projektantem wystawy pt. *Waldemar Świerzy szkicownik osobisty*, której wernisaż w Galerii Kordegarda zgromadził elitę stołecznego świata artystycznego. Na wystawie zostały zaprezentowane oryginalne plakaty Waldemara Świerzego i po raz pierwszy publicznie, poprzedzające ich powstanie, szkice ukazujące tok rozumowania artysty i jego warsztat, w poszukiwaniu ostatecznego kształtu swych dzieł. Ponadto na odrębnych planszach umieszczono cytaty z wypowiedziami o Waldemarze Świerzym jego przyjaciół, a także można zobaczyć film o artyście.

Jednym słowem, w stolicy pamięta się o profesorze Waldemarze Świerzym, jednym z najwybitniejszych twórców plakatów na świecie, który przywędrował w 1952 roku do Warszawy „za chlebem”, z dyplomem nr 1 ukończenia Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w rodzinnych Katowicach.

JAN COFAŁKA



Kontakty Wilhelma Szewczyka z Knurowem

Jestem wieloletnim czytelnikiem „Śląska”. W numerze majowym przeczytałam ciekawe artykuły ukazujące dorobek Wilhelma Szewczyka. Trzykrotnie spotkałam się z pisarzem; najpierw jako uczennica Liceum Ogólnokształcącego w Knurowie, a później – nauczycielka historii w tymże li-

ceum. Przesłałam kilka zapamiętanych informacji, z prośbą o ich zamieszczenie. Będą one dla mnie i dla żyjących jeszcze osób w Knurowie, wspomnieniem tych jakże urokliwych rozmów. Przesłałam także kserokopie wpisów autorskich Wilhelma Szewczyka w „Pomstańczym apelu” i w pamiętniku.

8 czerwca przypadała 25. rocznica śmierci Wilhelma Szewczyka. Warto przywołać kilka faktów wiążących pisarza z Knurowem. Debiutował będąc uczniem czwartej klasy Państwowego Gimnazjum w Rybniku, wiersz pt. „Młodzież Śląska” opublikowany został na łamach młodzieżowego czasopi-

sma, które ukazywało się w Knurowie. Warto przywołać ów wiersz.

Kochaj śląską ziemię

*Kochaj młodzieży tę śląską ziemię
Bo wszystka jesteś Słazanów plemię.
Ta ziemia piękna, strojna, bogata,
To przecież twoja najmilsza chata.
Węgla i rudy Śląsk w bród posiada.
Codzienną pracą ziemi wykrada.
I sławnych mężów Ona też miała.
Karola Miarkę, Lompę wydała,
Ona Ojczyźnie zawsze służyła
Razem z Nią Niemców precz wypędziła.
Za to ją kochaj śląska Młodzieży
Dziś przygarnięta w łono Macierzy.*

Wiersz ten ukazał się w numerze 3 z 1 grudnia 1931 roku!

Po wyzwoleniu Wilhelm Szewczyk był redaktorem naczelnym tygodnika „Odra”, czasopisma „Przemiany” a od roku 1962 dwutygodnika „Poglądy”.

Jak wspominał podczas spotkania autorskiego w styczniu 1989 roku – właśnie w Knurowie, był tu po raz pierwszy jako kilkunastoletni chłopiec. Przyjechał razem z kolegami rowerem, żeby nałapać raków (... a było ich dużo w pobliskim potoku, tylko trzeba było wiedzieć w jakich zakolach mają swoje siedliska...)

Kolejnym przykładem związków W. Szewczyka z Knurowem było ukazanie się na wiosnę 1970 roku opracowania monograficznego zatytułowanego „Knurów – moje miasto”. Wtedy to na łamach ówczesnego dziennika „Trybuna Robotnicza” napisał:

„Knurów – moje miasto” jest czymś w rodzaju almanachu regionalnego, którego uwaga skupia się na jednym mieście. Prócz prac czysto impresyjnych, będących między innymi plonem konkursu >Moje miasto<, znajdują się tutaj sprawozdania statystyczne i opisowe, potwierdzające dynamiczny rozwój miasta, będącego w okresie międzywojennym przygraniczną osadą górniczą. Ów charakter przygraniczny, atmosferę koniecznej walki o niezmiennie polskie oblicze osady, dokumentuje w sposób wstrząsający lista kilkudziesięciu mieszkańców Knuruwa, którzy w czasie okupacji oddali życie za Polskę. Rzadko które miasto śląskie tej wielkości, co Knurów lat 1939–1945 posiadało tak obfity, tak tragiczny rejestr ofiar. Są wśród nich zaś ludzie, którzy w najtrudniejszych latach wiele zrobili dla życia społecznego i narodowego Knuruwa. Niżej podpisany czytając tę listę, co chwila musiał przynikać oczy, by wywoływać z pamięci spotkania z tym, lub tamtym nieżyjącym już, zabitym przez okupanta a przecież tak pełnym wigoru i dynamizmu społecznego. Niżej podpisany wielu z nich znał, stąd ze

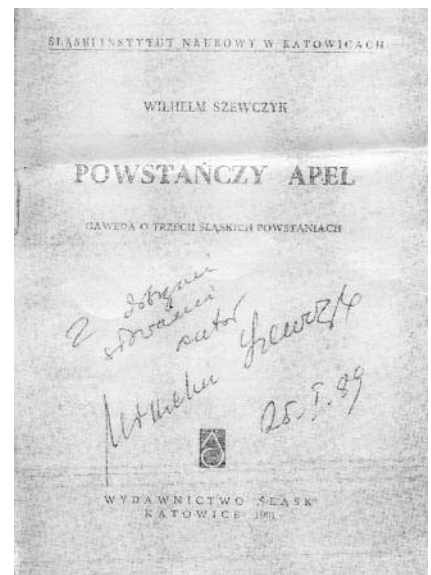
szczególnym wzruszeniem odczytywać musiał wspomnianą listę.

Pełna informacja prasowa WISZA (Wilhelma Szewczyka) zatytułowana była: *Serdecznie o pewnej publikacji.*

A oto kolejny przykład związków i łączności W. Szewczyka z Knurowem. W 1974 roku nakładem Wydawnictw Ministerstwa Obrony Narodowej ukazała się powieść Szewczyka „Gadzi raj”. Jak sam autor wyznał, akcja powieści toczy się w osadzie górniczej (znany mu – Knurów, uwaga MG), w piątym roku trwania II wojny światowej. Bohaterami powieści są w większości górnicy pracujący w kopalni Prussische Bergwerk und Hutten Aktiengesellschaft Zweigniederlassung Steinkohlenbergwerk Caroline Oberschlesien (Pruskie Towarzystwo Akcyjne Kopalni i Hut Filia Kopalni Węgla Caroline Górny Śląsk). Mieszkańcy tej osady górniczej zaangażowali się w styczniu 1945 roku w ratowanie zdrowia i życia pracujących tam jeńców (tak było właśnie w przypadku Knuruwa). Czytając „Gadzi raj”, utożsamiamy się z jego bohaterami.

Jeszcze bardziej w przedwojennych realiach historycznych pogranicza polsko-niemieckiego, w rejonie Knuruwa, Krywałdu (dziś dzielnica Knuruwa), Czuchowa (gdzie się urodził Wilhelm Szewczyk) oraz Kuźni Nieborowskiej, Nieborowic w latach 1922–1939 jest osadzona powieść „Kleszcze” (wydanie trzecie, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1967). Autor umieścił akcję w strefie nadgranicznej, w lesie szczygłowym, w pobliżu krywałdzkiej fabryki prochu („Lignoza” Spółka Akcyjna w Krywałdzie), bezpośrednio przed wybuchem II wojny światowej. To właśnie byli powstańcy śląscy zrzeszeni w Związku Powstańców Śląskich w Czuchowie, Krywałdzie, Knurowie bronili w sierpniowe noce 1939 roku pogranicza polskiego przed dywersantami spod znaku Freikorps Ebbinghaus. W krywałdzkim budynku „Kasyna” trwała ożywiona dyskusja przez cały sierpień 1939 roku na temat: czy Niemcy zaatakują Polskę, czy – nie?

Ostatni raz Wilhelm Szewczyk odwiedził Knurów 28 stycznia 1989 roku na zaproszenie Urzędu Miasta Knurów i Towarzystwa Miłośników Knuruwa. Tematem spotkania był: „Nasz Śląsk i co z tego wynika”. Wcześniej tego samego dnia w Klubie Hutnik knurowskiego „Koksoremu” zorganizowane zostało spotkanie autorskie z uczniami Liceum Ogólnokształcącego w Knurowie. Wtedy to w jednym z egzemplarzy „Gadziego raju” twórca napisał: „Czytelnikom Biblioteki Liceum Ogólnokształcącego z serdecznymi słowami autor Wilhelm Szewczyk”.



W 1961 roku Wydawnictwo „Śląsk” wydało „Powstańczy apel. Gawęda o trzech śląskich powstaniach”. Tam autor dokonał wpisu:

To samo wydawnictwo w 1971 roku wydało książkę „W pięćdziesiąt rocznicę powstań śląskich i plebiscytu”. W tym opracowaniu zamieszczona została analiza W. Szewczyka „Literatura piękna a powstania śląskie”.

Podczas wspomnianego styczniowego spotkania autorskiego okazało się, że W. Szewczyk był bardzo dowcipny i towarzyski. Należał do tych osób, które potrafiły zajmująco opowiadać. Zapamiętałam, że kiedy była taka potrzeba, z łatwością przechodził na gwara i przystosowywał się do środowiska, w którym aktualnie przebywał.

Na koniec jeszcze jeden wpis W. Szewczyka, tym razem do pamiętnika (z datą 28 stycznia 1989 roku).

*Dobre storro ze rozegretyną
gudkoczeniem, ego, co w
nim jest i mądre i kłose*
Wilhelm Szewczyk
28.1.1989

Takiego Wilhelma Szewczyka zapamiętaliśmy – my knurowianie. On z pewnością pamiętał nas przez 58 lat! (czyli od opublikowania wiersza „Kochaj śląską ziemię” na łamach knurowskiego pisemka „Młodzież Śląska”, wydawanego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego do ostatniego spotkania autorskiego w styczniu 1989 roku). Uleciała z dymkiem cygara tamta „epoka”.

MARIA GRZELEWSKA
Knurów

Człowiek neoliberalny?

TEATR

Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie przygotował *Kredyt* Jordiego Galcerána w tłumaczeniu Rubi Birden w kooperacji z Teatrem im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Reżyser Maciej Kowalewski, były dyrektor Teatru na Woli, a także autor *Miss HIV* czy *Ballady na Zakaczwawiu*, do spektaklu zaprosił dwóch aktorów – Piotra Machalicę (bankowiec) oraz Piotra Borowskiego (Adam Walczak). Dramatopisarz klasyfikowany jako autor korporacyjny ma na swoim koncie komedie obyczajowe. Tym razem trudno rozstrzygnąć przynależność gatunkową, choć sztuka zawiera elementy komediowe, a nawet farsowe. Brakuje tylko szczęśliwego zakończenia. Czy aby na pewno? Może jest nim ukaranie złego bohatera, czyli przedstawiciela finansowego systemu. Natomiast klient, z którym sympatyzujemy albo któremu nawet współczujemy, zdaje się być nieco bardziej wygrany. Ważne jest może to, z kogo się śmiejemy...

Utwór jest niezwykle aktualny. Akcja rozgrywa się w Spółdzielni Usług Skarbowych i wszyscy kredytobiorcy oraz klienci instytucji pożyczkowych mogą rozpoznać strategie i mechanizmy obowiązujące w realu. Śmieszcy regulamin kredytu o objętości ryzy papieru, choć potem pojawia się refleksja, że ta komediowa hiperbola wcale nie jest taka wielka. Świat przedstawiony koncentruje się na dwóch elementach – pieniądzu i seksie, nawet jeśli łóżko nie pojawi się na scenie. Cenione są kreatywność i innowacyjność; ostatecznie nagrodzone zostaną przeciwieństwa zachowania niekonwencjonalne.

Sztuka zasadza się na dość blahym fundamencie – oto zdeterminowany i dociśnięty do ściany kredytobiorca po kolejnej nieudanej wizycie w banku i bezskutecznych próbach wyżebrania albo zdobycia siłą 12 tys. złotych (co zdaje się dość skromną sumą), grozi bankierowi, że uwidzie mu żonę. Ma podobno dar oczarowywania kobiet. Młody mężczyzna jest na tyle przekonujący, że bankowiec daje się wciągnąć w tę opowieść, tym bardziej że zgadza się ona z historią brata, którego właśnie zdradziła żona, a po opuszczeniu domu zamieszkał on w wynajętym mieszkaniu na Białoleczę.

Przedstawienie rozpoczyna się jak walka bokserska, a gale boksu są hitem nie tylko naszego miasta. I taka scena znajduje uzasadnienie – bankowiec jest przecież mistrzem młodzików (chyba z 1975 roku), a walkę o kredyt można opisać tak właśnie metaforą, co skłania do zastanowienia nad znaczeniem tego sportowego widowiska we współczesności. Dwaj bohaterowie uosabiają inne siły – system bankowy (pewnie w dodatku z obcym ka-

pitałem) oraz naiwne marzenia albo chęć oszustwa – być może *Adam Walczak* bez należytego zabezpieczenia chce wyłudzić pieniądze. To agon, konfrontacja ich umiejętności oraz siły charakteru. W punkcie wyjścia to niemal walka Dawida (klient) z Goliatem (bankowiec), a kontrast pogłębia jeszcze komediowy i sceniczny sposób kreowania postaci: młody, przystojny (może rzeczywiście trochę podobny do Omara Sharifa), szczupły, ruchliwy, pomysłowy, ale jakby pozostający trochę poza systemem oraz dyrektor spółdzielni finansowej wpisany w trwałą strukturę, z dobrą pensją, siedzący w wygodnym fotelu, który broni swojej pozycji, ale w jakimś sensie również interesów instytucji. Każdy rozumie, że jego lekko-myślność może skutkować nie tylko niezadowolaniem przełożonych, ale także zagrożeniem globalnej płynności finansowej (?). Rozumie, ale nie współczuje, ponieważ to nie jest bohater tragiczny. Pozornie nie nadaje się również na komediową ofiarę. On po prostu chce odpowiedzialnie wykonywać swoją pracę. I tylko tyle. Nie interesuje go nic więcej. A jego jedyłą wadą jest zbyt duża pewność siebie i wiara w logikę wydarzeń. On nawet potrafi zaakceptować fakt, że żona musi się wyszumieć, a jego opowieść była kroplą, która przelała czarę goryczy wzbierającą przez wiele lat małżeństwa.

Dwie postacie pokazane w sztuce różni także stosunek do ludzi. Bankowiec nie wierzy nikomu, boi się oszustwa, jest zbyt pewny siebie, zostanie więc ukarany w dość absurdalny sposób – pewny wierności swej żony opowiada jej zdarzenie dnia, z czego ona usłyszy jedynie, że mąż pożałował 12 tysięcy, by ją chronić przed młodym mężczyzną, i w ten sposób wystawił na pokuszenie (?). A gdy jeszcze przez pomyłkę powie do niej „Beatko”, sprawa jest przesądzona. *Adam Walczak* jest trochę naiwny, powołuje się na hasła reklamowe i głoszone przez instytucje slogany, a przy tym jest tak bardzo zdeterminowany, że aż bezczelny. Jak się okaże, nie przekroczy jednak granicy przyzwoitości.

W pojedynku jeden na jeden zwycięża klient. Ostatecznie otrzymuje 40 tysięcy kredytu, a poza tym znajduje współlokatora, pokonanego dyrektora, któremu właśnie zawaliło się życie. W pojedynku: jednostka – świat współczesny, nie ma jednoznacznego wyniku, a sędziowskie wskazanie i tak budzi w nas jakiś niepokój. Czy rzeczywiście wszystko jest dozwolone? Czy sympatyczny klient nie jest wyrachowanym graczem? Po czyjej stronie stoi faktum? I dlaczego tak właśnie zostały rozpisane sympatie...

Na scenie widzimy typowe biuro spółdzielni finansowej. Jest dość kameralnie

i przytulnie – biurko, fotele, stolik z ulotkami i reklamówkami, okno zasłonięte żaluzją, więc może znajdować się w każdym miejscu kraju, a nawet Europy. Akcja rozgrywa się gdziekolwiek i kiedykolwiek. Tę przestrzeń uzupełniają jeszcze głosy – uwodzicielska sekretarka Beata, brat i zdenerwowana żona bankowca. Nie wszystkie kwestie tych osób są zrozumiałe, ale intonacja, tempo i głośność mówienia informują o ich nastroju oraz emocjach. To one informują, co dzieje się za ścianami biur, i przypominają, że pieniądze to nie wszystko, choć trudno bez nich żyć.

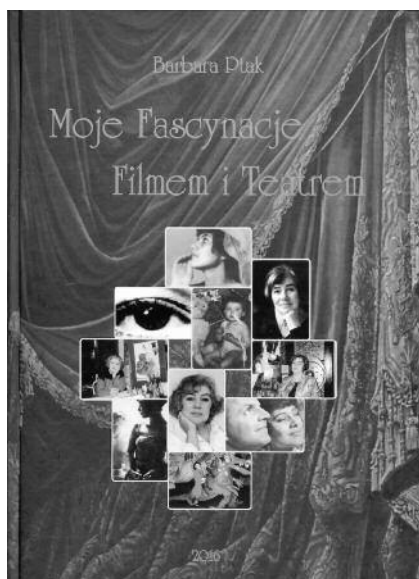
To, co najważniejsze odbywa się w czasie antraktu, potrzebnego również, by aktorzy mogli nieco odpocząć. Widz jest przekonany, że coś się wydarzyło, tzn. kredytobiorca zrealizował dość absurdalną pogrozkę i uwiódł żonę bankowca. To jedno z wielu niedomówień sztuki. Nie dowiemy się również, na co klient potrzebuje pieniędzy (bo to nieważne). Zmianę losu postaci podkreśla odmieniony kostium, także realizujący komediową zasadę naczyń połączonych – żeby komuś było lepiej, drugiemu musi być gorzej. Początkowo bankier ma na sobie dobrze skrojony garnitur, po przerwie – kosztującą flanelową. W innym kierunku następuje metamorfoza klienta. Po przerwie zmianie ulega również relacja między postaciami. Teraz to klient przejmuje kontrolę nad sytuacją i to on dyktuje warunki.

Ale *Adam Walczak* buntuje się także przeciwko systemowi neoliberalnemu, choć jest on może jedynie naszkicowany. Neoliberalizm, który nie okazał się niczym więcej jak wersją darwinowskiej walki o byt, wciąż odwołuje się do wartości wyższych – wolności, szczęścia, bezpieczeństwa, by za ich pomocą zwiększyć popyt na towary i usługi. Szczęście na kredyt czy obietnica wolności powielana w reklamach bankowych brzmią ironicznie, zwłaszcza gdy jednocześnie w realu toczy się proces sądowy przeciwko głównym organizatorom Amber Gold. A przecież to właśnie *Adam Walczak* okazuje się doskonałym reprezentantem neoliberalizmu. Zwycięża za pomocą kłamstwa albo, by użyć eufemizmu, blefu.

Ten spektakl z każdym kolejnym przedstawieniem może być tylko lepszy. Jego poziom zależy przecież od dyspozycji i zgrania dwóch aktorów (a umiejętności im przecież nie brakuje) oraz tempa gry. W Częstochowie wystawiono dramat na dużej scenie, wydaje się jednak, że w sali kameralnej zyska jeszcze na wartości.

JOANNA WAROŃSKA

Jordi Galcerán: *Kredyt*, przekład: Rubi Birden, reżyseria: Maciej Kowalewski, scenografia: Katarzyna Kiersznowska, muzyka: Bartosz Dziedzić, kostiumy: Pola Górnika, koprodukcja spektaklu: Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie i Teatr im. S. Jaracza, Olsztyn. Prapremiera polska: 30 IV 2016, Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie.



6 kilo piękna

Trzymam w dłoniach 6 kilogramów piękna. To wypieszczona edytorsko do granic możliwości książka Barbary Ptak „Moje fascynacje filmem i teatrem”. Dzięki perfekcyjnej pracy drukarzy, wspaniałym reprodukcjom i treści będącej odbiciem bogatego, pełnego sukcesów życia wybitnej artystki będzie niekwestionowaną ozdobą każdego księgozbioru.

Autorka, znana i ceniona niemal na całym świecie scenografka i kostiumolozka, zdradza nam tajemnice swojej pracy, podsumowuje przebogaty dorobek. Dzięki zamieszczonym w książce reprodukcjom dzieł, projektom kostiumów, foto-

som filmowym i teatralnym przypomina nam sobie nie tylko osiągnięcia artystki, ale i legendarne postaci filmu i teatru, niezapomniane dzieła wielkich twórców. Barbara Ptak ukazuje drogę od pomysłu do realizacji...

Przeglądając tę wielką księgę lubianych i wybitnych artystycznych dokonań nie sposób zapytać wprost: jak wyglądałyby najważniejsze filmy w dziejach polskiego kina bez wkładu pracy Barbary Ptak. Nie wyobrażam sobie filmu stulecia, czyli „Nocy i dni” Jerzego Antczaka i „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy bez kostiumów pani Barbary. Czymże byłyby kultowe dzieła Janusza Majewskiego „Królowa Bona” i „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny” bez genialnie zaprojektowanych przez Barbarę Ptak strojów. Wiele z nich to dzisiaj muzealne eksponaty.

Wielką miłością i szacunkiem darzy artystka historyczne kostiumy, projektowane zarówno dla kina jak i na scenę. Zanim znacznie konkretną pracę, studiuje epokę, poznaje miejsca, w których bohaterowie mogli przebywać, zna wszystkie muzealne wnętrza i... magazyny. Uważa, że zwłaszcza kino nie toleruje fałszu i nawet majtki pod historyczną suknią muszą odpowiadać ówczesnej modzie. Taka suknia zupełnie inaczej układa się na dzisiejszej bieliźnie.

Za kostiumy do „Faraona”, nominowanego do Oscara arcydzieła polskiego kina, Barbara Ptak zdobyła najwyższe uznanie światowej krytyki. – *W łódzkich zakładach bawełnianych, na specjalne zamówienie ekipy realizacyjnej „Faraona”, tkano biele białych tkanin, niemal przezroczystych, według wzorów „z epoki”, specjalnie przywiezionych aż z londyńskich muzeów. Posiadały one odpowiedni walor bieli, miękkość, lekkość, zdolność do drapowania tunik, spódniczek dla wojska i szat, noszonych przez cywili* – pisze Barbara Ptak. Prace przy tym filmie wspomina z wielką dozą humoru, szczególnie bawi opis apartamentu zaj-

mowanego wspólnie z wielką gwiazdą kina Krystyną Mikołajewską (*Sarą w „Faraonie”*), zdjęcia kręcono na pustyni w ówczesnym Związku Sowieckim. Ciekawych odsyłam do książki.

Wielki Andrzej Wajda wspomina: *Każdy kostium (mowa o „Ziemi obiecanej” – przyp. WK) przenikał charakter i ukazywał, jak ci ludzie żyją wymyślonym światem Łodzi, tworząc niepowtarzalną postać lodzermensch! Nadwyrazistość, przesada, brak jakiegokolwiek obawy, czy tak można? Barbaro przekroczyłaś swoimi kostiumami krąg dobrego stylu i wypuściłaś te oszalałe ptaki. (...) Jestem szczęśliwy, że oglądając projekty przed ich realizacją nie zdradziłem przed Tobą moich obaw. Nie zawiodłem się na rezultacie.*

Sponsorem tego edytorsko-artystycznego wydarzenia jest prawdziwy mecenas sztuki – Stanisław Więcek. Zareczam, że kto sięgnie po ten ciężki tom na zawsze pozostanie pod jego urokiem!

WITOLD KOCIŃSKI



„My Fair Lady”, Opera Nowa w Bydgoszczy, 2008



„Noce i dni”, reż. J. Antczak, 1975



„Faraon”, reż. J. Kawalerowicz, 1966

Nasz dobry znajomy, reżyser Piotr Szalsza, podrzucając mi kolejny plik wydarzeń ze swego bogatego muzycznego życia, prowokuje poniekąd do ogłoszenia najbliższego czasu „Rokiem Piotra w Anegdocie”. Dziś będzie prawie o jazzie.... nie o tym, który oglądałem w Telewizji „3 sat” słuchając koncertów Benny Goodmana, Niggel Kenedy, Joe Zawinula czy Lionela Hamptona, ale tych, które Piotr reżyserował jeszcze wcześniej w TVP.

Powiedziałem, że napiszę „o jazzie” ale może jednak sprostuję na „także o jazzie”.

Jako realizator telewizyjny – Piotr stykał się z wielu znakomitościami muzycznymi, Ci, co czytali wcześniejsze anegdoty, pamiętają kogóż to nie wymieniałem.

Niektórzy stykali się z Szalszą wielokrotnie, jak np. Liliana Urbańska i Krzysztof Sadowski, w jego programach jazzowych w latach siedemdziesiątych, ale także po rejestracji programu w prywatnym mieszkaniu na Zaspie w Gdańsku, co Piotr wspomina tak:

Sadowscy, zawsze elegancy, przybywając do nas, w prezencie wręczyli nam butelkę popularnego Jasia Wędrowniczka, czyli Johnny Walkera, co nas bardzo ucieszyło.

Alkohol wstawiłem do barku.

Niewielu w tamtych latach miało w swych barkach ten złocisty pachnący Szkocją płyn zwany Whisky, to też stał tam i czekał na szczególną okazję.

Taką datą miał być zbliżający się Dzień Urodzin jego małżonki Małgorzaty.

Wieczorem kiedy zjawili się goście podano szklaneczki z lodem i płynem, który gospodarz wyjął z barku czyli oczekującą na otwarcie butelkę Sadowskich.

Wznieśliśmy toast urodzinowy i wszyscy wypili po łyku. Na twarzach obecnych natychmiast pojawił się jakiś dziwny, irytujący grymas podobny do smętnego uśmiechu.

Na mojej twarzy zresztą też. To, co nałalem, to nie była whisky, tylko zimna herbatą!

Wstawcie się czytelnicy w taką sytuację, a łatwiej będzie Wam, zgadnąć co pomyślelibyście w takim momencie.... tak, tak, zdziwione miny ale i cieszę, śmiać się nie wypada, bo o co chodzi... a może to tylko głupi żart?

Głupim a raczej bezsensownym było także pytanie o to czy wszyscy też otrzymali zimną herbatę. Trzeba było znaleźć jakieś wytłumaczenie, nie mieszając do zdarzenia ofiarodawców. Pierwsze, co mu na myśl przyszło, to zakup napoju na bazarze od nieznanego sprzedawcy co jak widać a raczej czuć, że został oszukany...

Anegdoty

HENRYK BZDOK



Szczęściem nie była to jedyna butelka mocnego trunku jaką Piotr miał na ten wieczór, to też dalsza część wieczoru przebiegła przyjemnie, zgodnie z przyjętym rytuałem i tradycją..

A jednak sprawa nie dawała mu spokoju, wracała ciągle, choć więcej było w tym ciekawości niż woli dedukcyjnego dochodzenia do prawdy wzorem Sherlocka Holmesa.

Minął rok, kiedy w planach redakcyjnych telewizji pojawiło się znowu coś związanego z jazzem, a co dalej i Sadowscy przybyli znowu na Wybrzeże.

Po zarejestrowaniu koncertu, już na luzie, przy kawie Piotr wspominał delikatnie o zdarzeniu z butelką... na co Sadowscy „współ w zespół” krzyknęli równocześnie: Ty też?!?

Wyjaśnienie było banalnie proste – Sadowscy mieli w Warszawie pomoc domową.

Starsza pani... Prawdziwy skarb.... bardzo miła, niebywale pracowita.

Sprzątała mieszkanie dosłownie na okrągło.

Liliana i Krzysztof bardzo często wyjeżdżali na trasy koncertowe. Kiedy wracali, żeby zapakować rzeczy,

zastawali miłą służącą właśnie w trakcie generalnego sprzątnięcia mieszkania, prania, wieszania firan.

W mieszkaniu trudno było właściwie coś znaleźć. A jak dokładnie sprzątała sympatyczna Pani, przekonali się oboje po powrocie z któregoś tam kolejnego wyjazdu.

Starszej osoby już po prostu nie było. Nie było też wielu, wielu rzeczy, w tym cennych instrumentów muzycznych.

Co ciekawe – barek pozostał nie naruszony a wszystkie butelki były na miejscu.

Już wkrótce okazało się jednak, że w większość z nich, zamiast alkoholem, wypełniona była wodą, lub herbatą. Jak stwierdziła milicja, pracownica pomoc domowa, przy pomocy strzykawki „wyssała” prawdziwy alkohol.

Należy w tym miejscu dodać, że także inni przyjaciele Sadowskich dostali wcześniej butelkowe prezenty.

Nasza butelka stała przez jakiś czas na regale, jako suvenir. Co zrobili z tymi wszystkimi butelkami Sadowscy? Tego nie wiem...

Peryferie muzyki nowej

W obszarze peryferii muzyki ulokowano program ostatniego w tym sezonie koncertu Orkiestry Muzyki Nowej, który odbył się 29 maja z udziałem wrocławskiej grupy Phonos ek Mechanes (Cezary Duchnowski, Paweł Hendrich, Sławomir Kupczak). W tytule koncertu za słowem „peryferie” umieszczono znak zapytania, i słusznie, bo program obejmował utwory nawiązujące stylistycznie do klasyki awangardy (aleatoryzmu, sonoryzmu, muzyki improwizowanej, wyzyskującej elementu jazzu i muzyki popularnej oraz multimedialnej). Rzeczywistą nowością (mierzoną wszakże w skali całego stulecia) było użycie komputera jako medium przetwarzającego dźwięki tradycyjnych instrumentów.

W pierwszej części koncertu zaprezentowano kilka utworów pokazywanych już na „Warszawskiej Jesieni”. Były to: Dobromiły Jaskot *Hum...*, Pawła Hendricha *Cyclostratus* i Andrzeja Kwiecińskiego *14'48'''* (3). Ciekawostką było wykorzystanie przez autorów „beatboxerów”, czyli muzyków wirtuozowsko naśladowujących głosem różne dźwięki, w tym brzmienie instrumentów muzycznych. Jako beatboxerzy wystąpili mistrzowie owej techniki Patryk „Tik Tak” Matela i Jakub „Zgas” Zmijewski.

Drugą część wieczoru wypełniły zbiorowe kompozycje grupy Phonos ek Mechanes – *Computerstück 2, Pianolenie i Z chmur i skał*. Utwory te, oparte w znacznej mierze na wolnej improwizacji, okazały się atrakcyjne do słuchania dzięki mistrzowskiemu wykonaniu pod batutą Szymona Bywalca, który wyznaczył muzykom granice wolności, dążąc do uzyskania dynamicznego, ale i logicznego przebiegu muzyki. Drugi ze wzmiankowanych utworów wzbogacił udział pary tancerzy wykonujących tzw. dubstep dance – Łukasza Rozmysłowskiego i Norberta Rośka.

Jubileusz Jana Krenza

Legendarny polski dyrygent i kompozytor Jan Krenz obchodzi w tym roku 90. urodziny. NOSPR uczcił je niedzielnym porankiem (12 czerwca). Na początku wysłuchaliśmy opracowania pierwszej z fug wchodzących w skład *Kunst der Fuge* Bacha. Dokonał go Krenz w stylu obowiązującym w I połowie XX wieku – z dbałością o wierność w stosunku do materii oryginału, ale i zgodności z wymaganiami współczesnego ucha – stąd dodatek głosu kontrabasowego dla uwydatnienia pełni harmonii i nadanie całości bardziej

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

emocjonalnego charakteru poprzez wprowadzenie niuansów dynamicznych i agogicznych. Z prac instrumentalnych Krenza zaprezentowano także wybór walców Brahmsa z op. 39. Tym razem transkrypcja stała bliżej wyrazowości oryginału, ukazując jego rysy staroświeckie, zgodne z duchem salonowej kultury mieszczańskiej. Z utworów oryginalnych Jana Krenza usłyszeliśmy popularne *Concertino na fortepian i orkiestrę* z 1952 roku – zgrabny okaz neoklasycyzmu inspirowanego twórczością Prokofiewa. Cieszył się on wielkim uznaniem wśród polskich kompozytorów, którzy debiutowali w latach 30. zeszłego stulecia. Ślady wpływu jego koncepcji odnowienia tradycji orkiestrowej muzyki XVIII wieku odnajdziemy także w twórczości Witolda Lutosławskiego, Stefana Kisielewskiego, Romana Maciejewskiego, czy też Kazimierza Sikorskiego, który był pedagogiem Krenza w zakresie kompozycji. Poranek zakończyło znakomite wykonanie *Bohlera* Ravela – utworu, którym Jan Krenz często dyryguje i który należy do jego ulubionych. Orkiestra NOSPR, grająca pod batutą obecnego dyrygenta-asystenta zespołu Alexandra Humala, włożyła w tę interpretację mnóstwo fantazji – nieśmiertelne *Bohlero* rozwijało się bardzo powoli i tajemniczo, by zajaśnieć pełnią blasku w błyskotliwym finale. Był to zarazem popis możliwości wirtuozowskich poszczególnych grup instrumentalnych.

Czarodziejski flet w pigułce

Jeden z ostatnich w tym sezonie koncertów Instytucji „Silesia” (Sala Koncertowa Akademii Muzycznej, 19 czerwca) wypełniła prezentacja kluczowych fragmentów opery Mozarta *Czarodziejski flet*. Jak zwykle, prezentację poszczególnych numerów so-

lowych i zespołowych uzupełniło opowiadanie akcji (w tej roli sprawna i sugestywna Grażyna Brewińska), a muzycy włączyli w swoje kreacje elementy gry aktorskiej, tak że można się było poczuć jak w prawdziwej operze. Królem wieczoru był Paweł Konik – wykonawca roli *Papagena*. Od pierwszego pojawienia się artysty na estradzie czuć było w nim bywalca operowej sceny, kogoś kto lubi przegłądać się w oczach publiczności i czerpać radość z jej entuzjazmu. Powiewając z odrobiną kokieterii wspaniałym różowym boa z piór, z naturalną lekkością podawał Mozartowskie frazy głosem giętkim, podatnym na niuanse dynamiczne, wyrównanym we wszystkich rejestrach. Pozostałych wykonawców można podzielić na dwie grupy: doświadczonych i początkujących. Jak w życiu, tak w operze wygrywają ci pierwsi. Marta Brzezińska, kreująca partię *Paminy*, ujęła publiczność ekspresyjnym odczytaniem przypisanego jej śpiewu pełnego lirycznych uniesień; szczególnie zachwycała subtelnym wykończeniem fraz w górnym rejestrze. Także trzy Damy: Ewa Tracz, Anna Borucka i Katarzyna Ćwiek wykorzystywały swoje pojawienia się na estradzie, by robić duże wrażenie na publiczności. Kamila Nowak (*Papagena*) miała do zaśpiewania tylko jeden duet, w którym w pełni dotrzymała kroku Pawłowi Konikowi. Co do Patrycji Stańczyk – brawurowe arie *Królowej Nocy* są na razie poza zasięgiem jej możliwości technicznych. Słychać było, że śpiewaczka włożyła w swoją kreację wiele serca, jednak w drugiej arii *Der hölle Rache* zamiast koloratur usłyszeliśmy jedynie serię nieprzyjemnych pisków. Nie zachwycił mnie również Adam Janik w roli *Sarastry* – wykonanie stało na poziomie szkolnym, zabrakło płynnej frazy i chociażby odrobiny ekspresji. W roli *Tamina* wystąpił młodziutki tenor z Ukrainy Pawło Vantshura, zastępując niedysponowanego Oskara Jasińskiego. Ma on jeszcze nie do końca ukształtowany i wyrównany głos, z czego chyba zdaje sobie sprawę, przyjmując na scenie postawę nieco wycofaną. Dzielnie jednak pokonał nieśmiałość i chociaż cały czas pozostawał w cieniu Pawła Konika, zasłużył na pochwałę za odwagę oraz kulturę śpiewu. W strefę cienia z własnej woli wycofał się Grzegorz Biegas, kierownik muzyczny przedsięwzięcia, akompaniujący śpiewakom na fortepianie. Orkiestrowe partie operowe grane na fortepianie pozostają bowiem zawsze jedynie akompaniamentem i tylko fachowe ucho potrafi docenić to, że pianista nie tylko „dogania” solistów, ale ma też coś własnego do powiedzenia.

W starodrukach często można także znaleźć **frontyspis** – znajdujący się przed kartą tytułową, zawierający portret autora, a także **finalik** – rodzaj winyety na końcu książki.

Introligatorstwo – sztuka oprawiania

Książki zabytkowe charakteryzują się nie tylko dekoracjami wewnętrznymi – równie bogato zdobiono oprawy. Zwykle oprawa księgi wykonana była z deski oprawnej w skórę (stąd pochodzi powiedzenie „czytać od deski do deski”), często do oprawiania wykorzystywano także zniszczone karty z innych kodeksów. Dzięki temu z opraw wielu ksiąg można odczytać fragmenty dzieł, które nie przetrwały do współczesności. Często występującą formą zdobienia opraw były **tłoczenia** w postaci ornamentów, tytułów książek, a także dat.

Zdobienia poza funkcją estetyczną posiadały także właściwości użytkowe – miały zabezpieczać księgi przed zniszczeniem. Charakterystyczne dla opraw starodruków są niewątpliwie **guzy** – metalowe wypustki, znajdujące się na rogach okładek, a często także w części centralnej. Miały za zadanie chronić okładziny. Podobną funkcję pełniły także **okucia** (czasem połączone z guzami) – osłaniające brzoży książki. Z kolei **klamry** i **zapinki** okalające blok książki, zapobiegały jej przypadkowemu otwarciu. Dbano także o grzbiety ksiąg, wykonując **garbiki** lub **kapitałki** – poprzeczne wybrzuszenia, spełniające początkowo funkcję ochronną, później już tylko dekoracyjną.

W książkach zabytkowych – oczywiście poza treścią, która stanowi serce księgi – ogromną rolę odgrywają walory fizyczne. Tekst ten jest zestawieniem najogólniejszych pojęć, przydatnych podczas prowadzenia zajęć poświęconych książce zabytkowej. Warto organizować tego typu spotkania, bo – jak pokazuje praktyka – zagadnienia związane z dawnymi zbiorami są bardzo interesujące dla grup odwiedzających bibliotekę.

MARCIN TWARDZIK

Planując tematy lekcji bibliotecznych dla dzieci i młodzieży, warto przynajmniej jedno spotkanie poświęcić zagadnieniom dotyczącym książek zabytkowych. Nie każda placówka czy filia posiada w swoich zbiorach starodruki, ale można oprzeć się na reprintach, pokazie slajdów lub zwrócić się o pomoc do odpowiedniego działu własnej biblioteki. Takie zajęcia cieszą się zazwyczaj sporym zainteresowaniem, zwłaszcza nauczycieli polonistów i historyków, którzy traktują wizytę w bibliotece jako uzupełnienie własnych lekcji przedmiotowych. Jak mówić o zbiorach zabytkowych?

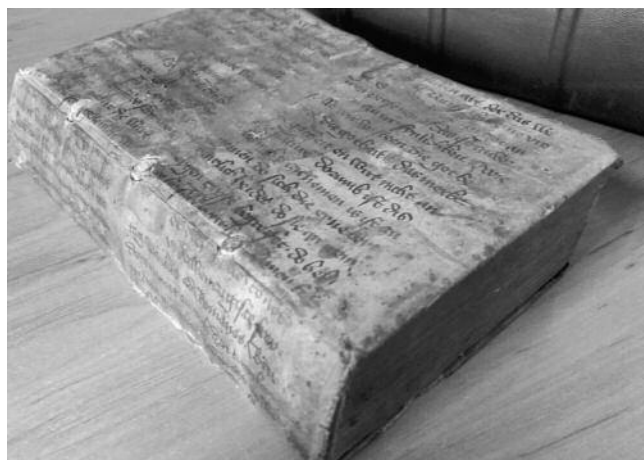
Zabytkowe książki można podzielić na różne kategorie w zależności od przyjętego kryterium. Na potrzeby zajęć z młodymi czytelnikami najbardziej przystępną wydaje się kryterium daty wydania.

Starodruki to książki powstałe od czasu wynalezienia druku (przyjmowanego, mimo kontrowersji, na XV wiek) do 1800 roku. Kolejną grupę stanowią druki określane mianem „zabytków młodszych” (albo „książki dawnej”), wydawane od początku XIX wieku do końca I połowy XX wieku (w bibliotekach za końcową datę graniczną przyjmuje się 1939, 1945 lub 1950 rok). Warto pamiętać również o istnieniu starszych form książki, takich jak: kodeksy rękopiśmienne czy – jeszcze dawniejsze – zwoje oraz gliniane i woskowe tabliczki.

Poza wieloma zagadnieniami – konserwacja, odpowiednie przechowywanie, archiwizacja czy digitalizacja – z całą pewnością należy zwrócić uwagę na walory fizyczne książek zabytkowych.

Illuminacja – średniowieczna sztuka zdobnicza

Illuminacja dotyczy raczej rękopisów, ale elementy tej sztuki można odnaleźć w starodrukach, a także we współczesnych wydawnictwach bibliofilskich. Każdą formę zdobnictwa można dzielić na wiele typów i kategorii, jednak na potrzeby tekstu



Dzieło Davida Chytraeusa „Regulae vitae” (Wittenberga 1586), oprawne w pergaminową kartę z rękopisu.

Książnica Beskidzka w Bielsku-Białej

Jak mówić o książkach zabytkowych?

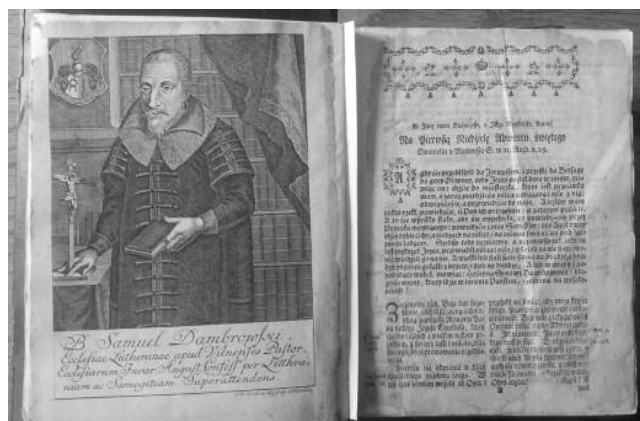
ograniczyć się do wymienienia kilku najczęściej spotykanych elementów.

Jedną z prostszych form zdobienia jest **iniciał** (figuralny, ornamentowy, malarski itp.), czyli większa od pozostałych pierwsza litera, wyodrębniona graficznie, zwykle rozpoczynająca akapit. **Rubryki** z kolei to części tekstu wyróżnione czerwoną farbą (czarne fragmenty nazywane są nigrykami).

Ogromne pole do popisu iluminatorów oferowały na kartach miejsca puste, stąd też rozwinęły się różne formy dekoracji marginalnej. **Floratury** – ornamenty roślinne, pokrywające jeden lub kilka marginesów na stronie, przeszły z czasem w **bordiury**, wypełniające szczerlnie margines pasy lub obramowania z wewnętrznymi zdobieniami roślinnymi czy geometrycznymi. **Drolerie** – podobne do floratur, zawierały sceny figuralne, nieraz groteskowe, odzwierciedlające fantazje autora.



Zapinki chroniły księgi przed przypadkowym otwarciem



Frontyspis edycji „Kazań albo Wykładów” Samuela Dambrowskiego (Brzeg 1772)

Zajęcia: z arch. Książnicy Beskidzkiej

„Osiemdziesiątka” Erwina Sówki

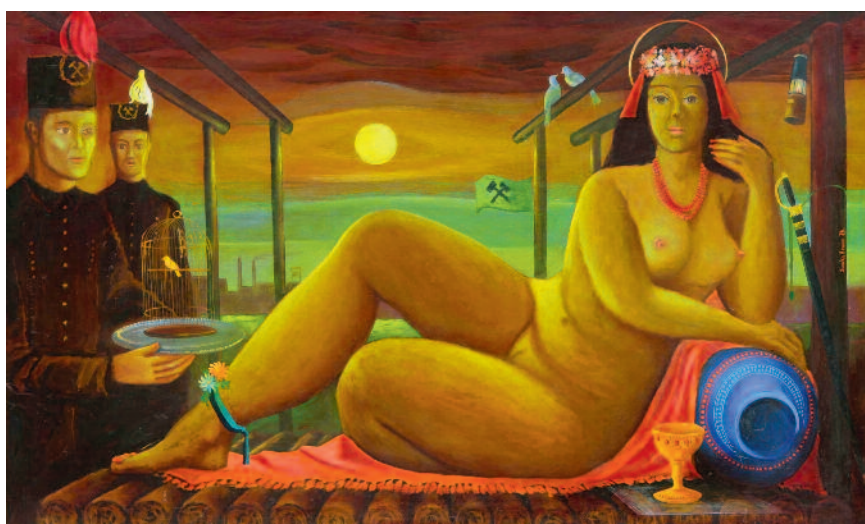


Jest ostatnim z grona legendarnych już dziś malarzy związanych z Grupą Janowską. Był w gronie jej założycieli. Na jego 80. urodziny do nikiszowieckiego Działu Etnologii – Oddziału Muzeum Historii Katowic przybył tłum gości. Miejsce zostało wybrane przypadkowo, bowiem właśnie tu, w sercu urokliwego Nikiszowca, znajduje się największa kolekcja dzieł tego wyjątkowego artysty.

Erwin Sówka jest ciągle artystą niezwykle aktywnym. Maluje właściwie przez całe życie. Z zawodu był górnikiem – wiele lat przepracował w kopalni „Wieczorek”.

W Nikiszowcu spędził dzieciństwo, młodość, tu założył rodzinę. Każdą wolną chwilę poświęcał malowaniu swoich słynnych Barbórek, wielkich bab, ukochanego Nikiszowca, kopalni – nie tylko tej związanej z tradycją ale idącym z postępem, mechanizacją, zamienianiem człowieka w swego rodzaju maszynę do produkcji węgla. Jego wyobraźnia nie ma sobie równych. Po prostu obrazy Erwina Sówki rozpoznaje się od razu – charakterystyczne kobiece postaci, umieszczane w sercu mitycznej dzielnicy, przesiąknięte tajemnicą a zarazem stojące na straży etosu pracy, rodziny są nieodłącznym elementem jego dzieł. Kobiety – baby, jak je z miłością nazywa Erwin Sówka są uosobieniem siły, matkują wszystkim, strzegą domostwa, są podporą swoich mężów – górników, są w wyobraźni Erwina Sówki najcenniejszym zjawiskiem. Zawsze pełnym erotyzmu uosobieniem płodności, często w jakimś kosmogenicznym związku z Wszechświatem. Dlatego są najważniejsze w jego obrazach. Święta Barbara jest tylko jedną z nich – a wyróżniają ją wyłącznie przynależne jej atrybuty.

Świat Erwina Sówki jest niezwykle barwny, przesiąknięty niebywałą wyobraźnią artysty. Sówka, chociaż jego plastyczne wykształcenie ograniczało się wyłącznie do szybkiego kursu w miejscowym Domu Kultury, a potem do dysput z Malarzami Grupy Janowskiej, pozostaje po dziś dzień artystą osobnym, trudno o nim powiedzieć – artystą amatorem czy artystą niedzielnym. Erwin Sówka to po prostu wielki, zapatrzonej w swój indywidualny, wewnętrzny świat, artysta. (wk)



Zdjęcia: Arkadiusz Cola



Zdjęcie zbiorowe uczestników uroczystego posiedzenia Senatu Uniwersytetu Opolskiego – 23 czerwca br., na tle „Niciejówki” w Pępicach k. Brzegu, woj. opolskie.



Rektor UO S. Nicieja wita gości uroczystego posiedzenia Senatu UO przed „Niciejówką” w Pępicach. Od lewej siedzą: profesorowie prorektorzy, Wiesława Piątkowska-Stepaniak, Janusz Słodczyk oraz rektor elekt prof. Marek Masnyk.



Od lewej: rektor UO Stanisław S. Nicieja przyjmuje gratulacje i podziękowania od przedstawicieli samorządu województwa opolskiego – marszałka woj. opolskiego Andrzeja Buły, członka ZWO Szymona Oglazy i wicemarszałka Stanisława Rakoczego (z listem gratulacyjnym).



Do „Niciejówki” przybyło wielu znakomitych gości, od lewej: Marek Tukiendorf – rektor Politechniki Opolskiej, prof. Dorota Simonides – doktor h.c. UO, długoletnia senator Śląska Opolskiego, za nimi – Andrzej i Anetta Sałaccy z Ludowego Klubu Jeździeckiego „Lewada”, znani na arenie ogólnopolskiej pasjonaci sportów hippicznych.



FINIS CORONAT OPUS – REKTOR UO STANISŁAW S. NICIEJA

Senat Uniwersytetu Opolskiego spotkał się na uroczystym posiedzeniu w ogrodzie dworku państwa Niciejów w Pępicach, wieńcząc cztery kadencje piastowania funkcji rektora UO przez prof. Stanisława Sławomira Nicieję. Do zabytkowej „Niciejówki” przybyli reprezentanci najważniejszych środowisk instytucjonalnych i społecznych województwa opolskiego: środowisk naukowych, twórczych, kresowych, medycznych, biznesowych, instytucji kultury, mass mediów, administracji samorządowej i rządowej. Rektor Stanisław S. Nicieja inaugurując posiedzenie długo dziękował gronu współpracowników i przyjaciół, z którymi budował znaczącą pozycję Alma Mater Opoliensis (kilkadziesiąt nowych obiektów m.in. Collegia – Maius, Minus, Civitas, Pedagogicum, Wzgórze Uniwersyteckie, nowe akademiki, grono znakomitych postaci o renomie międzynarodowej i światowej wśród doktorów h.c. UO). Wielu znakomitych gości dziękowało również Rektorowi za jego dokonania na rzecz uczelni i regionu. W podziękowaniu otrzymali nowy VIII tom „Kresowej Atlantydy”, który S. Nicieja poświęcił Wołyniowi. Najbliższe lata swojej pracy Profesor zamierza poświęcić działalności pisarskiej i naukowej. (jiw)



W saloniku „Niciejówki” prof. Łucja Bagińska i prof. Marian Molenda z Instytutu Sztuki UO przekazują Halinie Niciejowej (stoi w środku) pamiątkowy wizerunek rektora UO podczas wykładu inauguracyjnego rok akademicki w Auli Leopoldinum Uniwersytetu Wrocławskiego. Na ścianie portret Haliny i Stanisława Niciejów autorstwa Edwarda Szczapowa.

Mianownik zamiast wołacza, wołacz zamiast mianownika

Wielokrotnie już pytano w naszej Poradni Językowej o poprawność form mianownika używanych w kontekstach, w których powinien wystąpić wołacz, takich jak: *Ania, podaj mi to! Marek, chodź do domu!*

Wołacz imion rzeczywiście bywa ostatnio rzadziej używany. Jak zauważają badacze języka i jego historii, od kilkudziesięciu już lat nasila się tendencja do zastępowania form wołaczowych formami mianownikowymi, co jest być może zapowiedzią przyszłych zmian normy językowej. Irena Bajerowa w *Zarysie historii języka polskiego 1939–2000* wskazywała, że o prawdziwości tego zjawiska świadczy już najstarsza utrwalona polska pieśń religijna: *Bogurodzica, dziewica, Bogiem sławiona Maryja! / Twego syna, Gospodzina, matko zwolena Maryja...*, w której formy *Bogurodzica, dziewica, Maryja* są mianownikami, a powinny wystąpić w wołaczu jak widoczne w tymże tekście *matko*.

W codziennych kontaktach językowych, w mowie potocznej coraz częściej słychać formy: *Chodź tu, Ania! Ewa, przynieś talerz! Słuchaj, Andrzej..., Paweł, zadzwoń do mnie*, choć w starannej polszczyźnie nadal obowiązują tradycyjne formy: *Aniu, Ewo, Andrzeju, Pawle*. Danuta Buttler, Halina Kurkowska i Halina Satkiewicz, autorki *Kultury języka polskiego*, zauważają, że zamiana ta rzadziej dotyczy imion zdrobniałych miękotematowych, takich jak *Jaś, Grześ, Zosia, Hania* – tu powszechne są formy: *Chodź tu, Jasiu (Grzesiu, Zosiu, Haniu)*. Ale już wśród imion zdrobniałych tworzonych za pomocą przyrostków *-ek, -ik, -ka* w języku potocznym coraz częściej górę bierze mianownik, np. *Pomóż mi, Hanka. Słyszysz, Janek? Mówię ci, Kazik*.

Istnieje również zjawisko odwrotne – mianownik polskich męskich imion zdrobniałych bywa zastępowany wołaczem. Zamiast: *To jest Stasio (Stiaś), Kazio, Rysio (Ryś), Czesio, Edzio, Jasio*

(*Jaś*), *Krzysio (Krzys)*, *Miecio, Józio* niektórzy mówią: *To jest Stasiu, Kaziu, Rysiu, Czesiu, Edziu, Jasiu, Krzysiu, Mieciu, Józiu*. Formy analogiczne pojawiają się także wtedy, gdy mamy do czynienia z rzeczownikami pospolicymi, np. *mi-siu płacze, gościu przyszedł, to był mistrzu* itp.

Nowy słownik poprawnej polszczyzny PWN pod red. Andrzeja Markowskiego podaje przykład *Józiu jest chory* jako formę charakterystyczną dla polszczyzny regionalnej: południowej i zachodniej, lecz innowacja ta nie zawsze ma podłoże regionalne. Jan Miodek w wielu swoich publikacjach (jak np. *Odpowiednie dać rzeczy słowo* czy *Słowo jest w człowieku*) dowodzi, że na szerzenie się form z końcówką *-u* wpływ mają czynniki fonetyczne. Jeśli temat tego typu wyrazów kończy się na spółgłoski miękkie, środkowojęzykowe (*ś, ź, ć, dź*), wygodniej jest po nich wymawiać taką samogłoskę, która artykułowana jest również z maksymalnym uniesieniem języka ku podniebieniu, czyli właśnie wysokie *u*, nie zaś średnie *o*.

Podkreślić należy na koniec, że fakt zastępowania wołacza przez mianownik jest jak na razie dopuszczalny tylko w potocznej odmianie polszczyzny, a wołacz używany w funkcji mianownika jest dopuszczalny jedynie w języku nieoficjalnym, w odmianach regionalnych.

KATARZYNA WYRWAS

m:k

W muzeach
nie wszystkie eksponaty
można zawsze oglądać.
Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych łamach.
Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.



Ta pocztówka z 1924 roku reklamowała znany hotel „Deutsches Haus”, znajdujący się na rogu ulic Wojewódzkiej i Plebiscytowej. Ja natomiast chcę zwrócić uwagę na walcowatą konstrukcję za kinem „Rialto”. Tam znajdował się olbrzymi zbiornik gazu. W samym centrum miasta. Istniał – jeśli dobrze pamiętam – jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku.



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Z **ANDRZEJEM PILOTEM**, prezesem zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach rozmawia **GRAŻYNA KUROWSKA**



Konferencja dotyczącej niskiej emisji na Śląsku. Na zdjęciu marszałek woj. śląskiego Wojciech Saluga (z lewej) i prezes WFOŚiGW w Katowicach Andrzej Pilot.

Najważniejsza – niska emisja

– Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) przedstawiła pomiary jakości powietrza z ponad 3 tys. miast w 103 krajach. Przy przygotowaniu zestawienia brano pod uwagę tzw. pył zawieszony PM_{2,5} – są to cząstki o średnicy 2,5 mikrometra. Zdaniem WHO jest on najbardziej szkodliwym spośród zanieczyszczeń powietrza. W naszym kraju najwyższe stężenia występują w Małopolsce i na Śląsku.

– Corocznie w województwie śląskim dokonywana jest ocena jakości powietrza pod kątem jego zanieczyszczenia 12 substancjami: dwutlenkiem siarki, dwutlenkiem azotu, tlenkiem węgla, benzenem i ozonem, pyłem zawieszonym PM₁₀ i PM_{2,5} oraz zanieczyszczeniami oznaczanymi w pyłe PM₁₀: ołowiem, ar-

senem, kadmem, niklem i benzo (a) pirenem. Pomimo stałej poprawy jakości powietrza w Polsce nadal dużym problemem pozostają ponadnormatywne stężenia pyłu zawieszzonego PM₁₀ i PM_{2,5} oraz benzo (a) pirenu. Wyniki oceny jakości powietrza, przeprowadzone przez Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Katowicach, wskazują, że obecnie na stan jakości powietrza wpływa w pierwszej kolejności zjawisko tzw. niskiej emisji pochodzącej z tzw. sektora bytowo-komunalnego oraz transportu. W paleniskach domowych stosowane są często paliwa złej jakości oraz spalane odpady w nieprzystosowanych do tego celu instalacjach grzewczych. Marszałek województwa śląskiego Wojciech Saluga wręczył nam nominacje do zespołu ro-

boczego ds. ograniczania niskiej emisji. W jego skład wchodzi 35 osób – przedstawiciele samorządów, instytutów naukowych, uczelni wyższych oraz administracji rządowej. W pracach zespołu będą uczestniczyć także parlamentarzyści, przedstawiciele stowarzyszeń oraz fundacji związanych z ochroną środowiska. Swoją wkład w przyszły program antysmogowy wniesie także Kościół katolicki oraz ewangelicki. Zadaniem zespołu będzie przygotowanie założeń do uchwały antysmogowej Sejmiku, która ma objąć całe województwo. Tylko działając wspólnie i kompleksowo możemy być skuteczni w ograniczaniu niskiej emisji. To długi marsz, działanie które musi potrwać wiele lat, by osiągnąć sukces. Bardzo ważne jest znaczenie edukacji społecznej, aby zwiększyć odpowiedzialność mieszkańców za ograniczenie szkodliwej emisji z palenisk domowych. Pierwszym etapem prac przy przygotowaniu programu ograniczenia niskiej emisji było przesłanie do 167 gmin z regionu ankiety, której celem było określenie świadomości na ten temat i zapytanie władz gmin czy dysponują one planami, programami walki z niską emisją. Jak dotąd informację zwrotną w tej sprawie odesłało 87 proc. z nich i zdecydowana większość deklaruje wsparcie w walce z tym problemem. W trakcie debaty poruszono tematy dotyczące m.in. skutków zanieczyszczenia powietrza wpływających na zdrowie i życie ludzi, technik efektywnego i nieuciążliwego dla środowiska palenia węglem w domowych kotłach i programów wsparcia walki z niską emisją. Zdaniem ekspertów rozwiązaniem nie jest zakaz opalania węglem, ale przestrzeganie norm jakości węgla i standardów emisyjnych kotłów.

– **WFOŚiGW w Katowicach ogłosił pilotażowy program – Dofinansowanie zadań realizowanych przez mieszkańców województwa śląskiego na rzecz ograniczenia niskiej emisji. Na czym będzie on polegał?**

– Od wielu lat dostrzegamy problem niskiej emisji. Staramy się z tym negatywnym zjawiskiem walczyć. Pilotażowy Program, który skierowany jest do osób fizycznych, uzupełni dotychczasową ofertę Funduszu. Od 2002 roku nasz Fundusz jako pierwszy w kraju finansuje wdrożenie obszarowych programów ograniczenia niskiej emisji. Środki przekazywane są, za pośrednictwem jednostek samorządu terytorialnego, na modernizację systemów grzewczych lub termomodernizację indywidualnych budynków mieszkalnych. Dofinansowanie z Funduszu w formie pożyczki stanowi ok. 50-70% kosztów kwalifikowanych inwestycji. W latach 2002-2015 Fundusz dofinansował programy realizowane w 79 gminach województwa śląskiego. Zmodernizowano ponad 17 tysięcy kotłowni oraz zabudowano ponad 5,3 tysiąca instalacji solarnych. Łączy koszt tych inwestycji to około 350 mln zł, a udzielone dofinansowanie wyniosło prawie 192 mln zł.

Działania te będziemy kontynuować. W uruchamianym pilotażowym Programie Funduszu o udzielenie dofinansowania w formie dotacji będą mogły się ubiegać osoby fizyczne będące właścicielami lub współwłaścicielami jednorodzinne go budynku mieszkalnego.

Wnioski o dofinansowanie przyjmowane będą od 11 do 22 lipca 2016 roku. Można je będzie składać w siedzibie WFOŚiGW w Katowicach przy ul. Plebiscytowej 19 w godzinach od 7:30 do 15:30 lub przesałać pocztą.

Dodatkowo 27 czerwca uruchomiony został Punkt Konsultacyjny w siedzibie Funduszu w Katowicach, który będzie czynny od poniedziałku do piątku w godzinach od 9:00 do 14:00. Pracownicy WFOŚiGW udzielać będą szczegółowych informacji na temat Programu oraz służyć pomocą przy wypełnianiu wniosków.

– Drugi najważniejszy temat to ekosystem w woj. śląskich. Chodzi przede wszystkim o to jak się ustosunkować do różnorodności biologicznej, zwłaszcza lasów.

– Przebudowa drzewostanów świerkowych w lasach Beskidu Śląskiego i Żywieckiego poświęcona była sesja terenowa z udziałem dziennikarzy. Spotkanie zostało zorganizowane w maju tego roku przez katowicką dyrekcję Lasów Państwowych (LP) oraz nasz Fundusz. Dyrektor RDLP w Katowicach – Kazimierz Szabla, wyjaśnił zebrany przyczyny rozpadu monokultur świerkowych oraz zaprezentował etapy, metody oraz możliwości jakimi dysponują leśnicy w tej trwającej już ponad dekadę niełatwej walce o górskie lasy. O sporze w sprawie Puszczy Białowieskiej dyskutował z dziennikarzami prof. dr hab. Jerzy Starzyk, członek Rady Naukowej Leśnictwa (organu doradczego Prezesa Rady Ministrów), od lat wspierający beskidzkich leśników w ich zmaganiach z kornikiem.

Część terenową rozpoczęła wizyta w Nadleśnictwie Ustron, (kompleks leśny Mała Czantoria, Leśnictwo Leśnica). Nadleśniczy Leon Mijał pokazał dziennikarzom bezpośrednio przyczynę zamierania beskidzkich świerczyn – kornika drukarza. Przedstawiłem obszary oraz możliwości dofinansowania działań jednostek LP ze środków katowickiego Funduszu. Przenaczyliśmy na to w różnych dziedzinach – ochrona zagrożonych gatunków roślinnych i zwierzęcych, edukacja ekologiczna – ok. 910 tysięcy złotych. W drugim dniu, Hubert Kobarski – nadleśniczy Nadleśnictwa Bielsko i Jurand Irlík – zastępca dyrektora ds. gospodarki leśnej w RDLP w Katowicach, zabrali dziennikarzy na wycieczkę na szczyt Skrzycznego, gdzie przebudowa drzewostanów jest znacznie trudniejsza ze względu na warunki atmosferyczne i krótki okres wegetacyjny. Na terenie Nadleśnictwa Bielsko przedstawiciele śląskich mediów odwiedzili nowoczesną przechowalnię nasion oraz szkółkę drzew leśnych. Wy-

daje się więc, że nasze wspólne działania przynoszą pozytywne efekty a sytuacja w naszym województwie się poprawia.

– Trzeci temat to odpady stałe. Segregacja – czy zdała egzamin? Moja teza jest taka, że nie potrafimy i nie chcemy segregować odpadów.

– Statystyki poprawiają się w dużej mierze dzięki działaniom podejmowanym przez lokalnych liderów – tj. przedsiębiorstwa komunalne, które zbierają i sortują odpady w swoich regionach, wprowadzając przy tym nowe technologie i realizując długofalowe programy edukacyjne, w których i my bierzemy udział. Statystyczny mieszkaniec naszego kraju produkuje rocznie około 332 kilogramów odpadów komunalnych, podczas gdy średnia unijna wynosi 524 kg. Poziom odzyskiwania surowców w procesie recyklingu pokazuje jednak, że Polska nie jest zieloną wyspą na mapie Europy. Tylko ok. 20 proc. uzyskanych odpadów komunalnych trafia u nas do ponownego przetworzenia, podczas gdy w Belgii poziom ich odzyskiwania oscyluje w granicach 58 proc., a w Niemczech – aż 62 proc.

Nawyki Polaków zmieniają się jednak na lepsze. W ciągu ostatnich kilkunastu lat to właśnie w Polsce (oraz w Irlandii i Norwegii) w największym stopniu zmniejszył się odsetek odpadów komunalnych składowanych na masowych wysypiskach. Choć daleko nam do unijnej średniej, zaczynamy sortować odpady chętniej i częściej. Bardzo dużo w tej kwestii mają do powiedzenia uczniowie – wspierani przez nas w ramach ekologicznych konkursów i dofinansowania organizacji ekologicznych, którzy edukują rodziców i zwracają uwagę na ten niezwykle ważny problem.

– Czwarty, temat to kwestia odpadów przemysłowych w woj. śląskim. Co w tej kwestii postanowiono.

– Identyfikacja i inwentaryzacja terenów poprzemysłowych i zdegradowanych a atrakcyjność inwestycyjna gmin – to temat konferencji, która odbyła się w Głównym Instytucie Górnictwa w Katowicach. Organizatorami spotkania były: Śląski Urząd Marszałkowski, my oraz GIG. Podczas konferencji przedstawione zostały m.in. informacje na temat możliwości finansowania rewitalizacji terenów poprzemysłowych i zdegradowanych przez nas oraz w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014-2020.

Uczestnicy spotkania omówili także projekt Ogólnodostępnej Platformy Informacji – Tereny Poprzemysłowe i Zdegradowane (OPI-TPP). Od 2009 roku jego liderem jest Główny Instytut Górnictwa, a partnerem – Województwo Śląskie ja-

ko operator systemu, przy wsparciu Śląskiego Centrum Społeczności Informatycznej. Ta regionalna baza danych zawiera kompleksowe informacje o terenach poprzemysłowych oraz prowadzonej na nich działalności. System jest zintegrowanym narzędziem pozyskiwania, przetwarzania i publikowania danych o tych terenach. Dane z systemu OPI-TPP dają kompleksową informację do wykorzystania przy procesie podejmowania decyzji i działań.

– Na koniec co pan uważa za swoje sukcesy pierwszego półrocza 2016 roku?

– I edycję konkursu „Zielona pracownia” skierowanego do organów prowadzących placówki oświatowe z terenu województwa śląskiego. Przedmiotem konkursu było utworzenie ekopracowni na potrzeby nauk przyrodniczych, biologicznych, ekologicznych, geograficznych, chemiczno-fizycznych czy geologicznych. Z 53 złożonych wniosków dofinansowanie uzyskały 24 w kwiecie 780 tysięcy zł.

Dofinansowanie do zimowych wyjazdów dzieci i młodzieży. Do 2015 roku na wsparcie finansowe mogli liczyć tylko organizatorzy wyjazdów trwających co najmniej 14 dni. Skróciliśmy ten okres o połowę, teraz dofinansowywane są wyjazdy, które nie mogą trwać krócej niż 7 dni.

Podpisanie porozumienia o współpracy z Izłą Rzemieślniczą Małej i Średniej Przedsiębiorczości w Katowicach. Przedsiębiorcy są bardzo liczną grupą beneficjentów WFOŚiGW w Katowicach. W ostatnich latach około 1/3 wypłaconych środków Funduszu to dofinansowanie zadań proekologicznych realizowanych przez przedsiębiorców, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Bardzo ważne jest aby z informacją o ofercie WFOŚiGW w Katowicach dotrzeć także do członków Izby Rzemieślniczej.

Podpisanie porozumienia z Głównym Instytutem Górnictwa w Katowicach. Wartość wsparcia udzielonego ze środków WFOŚiGW w województwie śląskim przekroczyła 6 mld zł. Jestem przekonany, że wspólne wykorzystanie możliwości i doświadczeń Głównego Instytutu Górnictwa oraz Funduszu pomoże w realizacji wielu działań, których celem będzie m.in. przeciwdziałanie niskiej emisji czy rewitalizacja terenów poprzemysłowych.

Współpracę z Metropolią Katowickim abp. Wiktoorem Skworcem przy upowszechnianiu wiedzy o ochronie powietrza na Śląsku. Efektem był m.in. wspólny list biskupów z województwa śląskiego w sprawie troski o jakość powietrza. ■



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

XIV Port(ret) Poetycki

JACEK DUDEK

„Jak wam się udaje przy takiej wielkiej imprezie poetyckiej utrzymać domowy klimat?”

Szymon Babuchowski

Wyjątkowo, bo już w maju, a dokładnie 28 maja, odbyła się w chorzowskiej „Sztęgarcie” XIV edycja Portu Poetyckiego. Zeszłoroczna, z przyczyn niezależnych od organizatorów, została przeniesiona do Chorzowskiego Centrum Kultury. ChCK, jak zawsze przy tego rodzaju imprezach kulturalnych, technicznie w pełni stanęła na wysokości zadania, lecz takie miej-

ki”. Założenia i cel takiego wydarzenia bezsprzecznie musi się wiązać ze stworzeniem swobodnej, poniekąd knajpianej atmosfery, co stanowi jedno z najważniejszych zadań Portu Poetyckiego. Kompleks Dobrego Smaku i Stowarzyszenie Kulturalne „Sztęgarka” nadaje się do jego realizacji jak żadne inne miejsce. Termin również okazał się dobrym wyborem. Poprzednie edycje odbywały się w ostatnich dniach czerwca, co kolidowało nieco ze związanymi z zakończeniem roku szkolnego i akademickiego obowiązkami nauczycieli i studentów biorących udział w imprezie. Ponadto w tym samym czasie miały miejsce liczne imprezy w ramach Dni Chorzowa, w które „Sztęgarka” również jest zaangażowana. Mamy zatem nadzieję, że majowy termin zostanie zaakceptowany na stałe.

Tegoroczny Port Poetycki zaczął się już w piątek 27 maja w chorzowskiej Miejskiej Galerii Sztuki MM, gdzie odbył się dialog poetycki gości XIV edycji – Małgorzaty Południak i Wojciecha Kassa. Zgromadzone w galerii obrazy autorstwa Dariusza Kalety stanowiły znakomite tło dla wierszy gości. Taką scenografię zawdzięczamy uprzejmości kierownika galerii, Aleksandry Rej, która zgodziła się udostępnić jej pomieszczenia mimo długiego weekendu. Podczas spotkania Małgorzata Południak promowała najnowszy tom wierszy pt. *Mullaghmore*, zaś Wojciech Kass prezentował wiersze z kilku tomów, m.in. *Wiry i sny*, *Ba!* czy *Przestwór. Godziny*.

W sobotę 28 maja, w uroczej salce pod nazwą „Dzwonnica” odbyły się warsztaty poetyckie z Wojciechem Kassem. Podzielił on czas warsztatów na dwie części. W pierwszej wygłosił prelekcję dotyczącą sztuki pisania poezji, którą uczestnicy imprezy nazwali niezwykle ciekawym kompendium wiedzy poetyckiej (Izabela Fietkiewicz-Paszek). Drugą część warsztatów Wojciech Kass poświęcił poszczególnym tekstom przybyłych autorów, rozmawiając z nimi i dzieląc się trafnymi uwagami. Zajęcia przyniosły pełną satysfakcję tak uczestnikom warsztatów, jak też prowadzącemu (wedle zapewnień Wojciecha Kassa).

Równolegle odbywały się warsztaty plastyczne. To nowa odsłona portowej korelacji poezji z szeroko rozumianą plastyką, której pomysłodawczynią i gospodynią została Barbara Trzybulska, właścicielka Rybnej Galerii. Podczas warsztatów zaproponowała wykonanie plastycznych kolaży na dowolny temat. Ilość i różnorodność prac przerosła oczekiwania organizatorów, którzy postanowili je wystawić

w portowej galerii. Prace zostały również uwiecznione na fotografiach Michała Dudka i Arkadiusza Łuszczczyka. Można je zobaczyć na stronie internetowej Portu: www.portpoetycki.pl.

Po imprezach towarzyszących nadszedł czas na inaugurację XIV edycji Portu Poetyckiego w Chorzowie. W tym roku w loży gości głównych zasiadli: Ewa Parma, Wojciech Kass i Marcin Orliński. Dwudziestominutowe występy trójki poetów spotkały się z bardzo różnymi reakcjami publiczności – od całkowitej ciszy i zadumy, aż po burzę oklasków. Ewa Parma zaprosiła słuchaczy na wspaniałą poetycką wycieczkę po Śląsku, zatrzymując się przy przydrożnej kapliczce, jak i pod murami nieczynnej hali likwidowanej huty. Marcin Orliński, który nie boi się dosłowności, swobodnie balansował słowem. Przez *okna*, *pulapki* i *kapsle*, z dużą dawką autoironii i dystansu dotarł do krytyków i chorzowskiej publiczności. Mocno wybrzmiały *zjawiska powtarzalne*. To odważna poezja ukazująca obraz współczesnej Polski momentami irracjonalnej i głuchej. Wojciech Kass, który nazywa się

MARCIN ORLIŃSKI, który nie boi się dosłowności, swobodnie balansował słowem.

bie poetą narracji, oczarował uczestników Portu sposobem i tempem czytania, tonacją głosu oraz interpretacją wierszy. Dojrzała poetyka w połączeniu z niemal aktorskim wykonaniem skutkowałą żywą reakcją publiczności. Wszystkie trzy prezentacje można obejrzeć na stronie internetowej Portu.

Przed i podczas trwania imprezy w portowej galerii miał miejsce jeszcze jeden wernisaż. Obrazy wystawiła Karolina Kulałowska zaproszona przez kurator *Sztalugami* Małgorzatę Południak. Rozmowa obu pań pozwoliła przybliżyć się do technik i inspiracji malarskich zaproszonej artystki.

Po krótkiej przerwie kolejną część Portu, *Magazyn Wierszy*, uświetniły prezentacje wierszy poetów, którzy w poprzed-

Fot. Arkadiusz Łuszczczyk



Ewa Parma

sce nie do końca nadaje się na – z założenia swobodne i towarzyskie – spotkanie ludzi pióra. Podczas Portu Poetyckiego ważne są przecież nie tylko oficjalne prezentacje wierszy, ale nade wszystko osobisty kontakt

EWA PARMA zaprosiła słuchaczy na wspaniałą poetycką wycieczkę po Śląsku, zatrzymując się przy przydrożnej kapliczce, jak i pod murami nieczynnej hali likwidowanej huty.

ich twórców, poznających się poza forami internetowymi, wymieniających poglądy i doświadczenia literackie czy wydawnicze. Po obserwacjach i rozmowach z uczestnikami imprezy wiedzieliśmy, że portowa poezja musi wrócić do chorzowskiej „Sztęgarc-



Marcin Orliński

Fot. Arkadiusz Łuszczczyk

nich edycjach zajmowali miejsca gości głównych. Nie sposób wszystkich wymienić, gdyż ich lista zrobiła się już dość pokaźna, a przypadkowe pominięcie chociaż jednego nazwiska okazałoby się grubym nietaktem. Pełna lista uczestników również znajduje się na stronie internetowej.

WOJCIECH KASS, który nazywa siebie poetą narracji, oczarował uczestników Portu sposobem i tempem czytania, tonacją głosu oraz interpretacją wierszy.

Po kolejnej przerwie odbył się koncert grupy „Dobre Ludzie” w składzie: Szymon Babuchowski – śpiew, Patryk Filipowicz – gitara, Paweł Węgiel – gitara, Jacek Raciborski – gitara basowa, mandolina, Anna Leszczyńska-Rożek – skrzypce, kalimba, Paulina Kuzynin – instrumenty klawiszowe, chórki, Jakub Kuzynin – perkusja, instrumenty perkusyjne. Wspaniała muzyka do tekstów solisty zespołu, poety Szymona Babuchowskiego, zapewniła świet-

Fot. Arkadiusz Łuszczyk



Wojciech Kass

ną odskocznnię od sporej dawki słowa mówionego, jaką otrzymali uczestnicy Portu.

Po koncercie odbył się *Hyde Park*, czyli poezja wieczorową porą. To bardzo prężnie rozwijająca się część imprezy. Podczas niej prezentują się poeci, którzy przybyli tutaj po raz pierwszy i niebędący jeszcze do tej pory gośćmi głównymi. Kiedy organizatorzy zdecydowali o powstaniu *Hyde Parku*, mieli obawy dotyczące zainteresowania oraz poziomu poetyckiego takiej formy prezentacji. Jeden wiersz, jak wiadomo, nie odsłania możliwości autora. Obawy minęły, gdy do czytania tekstów zgłosili się naprawdę uznani twórcy, zwycięzcy prestiżowych konkursów poetyckich.

Tradycyjnie ostatnie wiersze tego wieczoru zaprezentowali organizatorzy imprezy: Barbara Janas-Dudek i Jacek Dudek. XIV edycja Portu Poetyckiego w chorzowskiej „Sztzygarce” dobiegła końca, ale towarzyskie spotkanie poetów trwało do późnych godzin nocnych. Do zobaczenia za rok! ■

Rysunki Wojciecha Grabowskiego w galerii „Na Żywo” Polskiego Radia Katowice



Foto. Ryszard Stotko

Red. Maciej Szczawiński i autor wystawy podczas wernisazu

Pisarze, pisarze

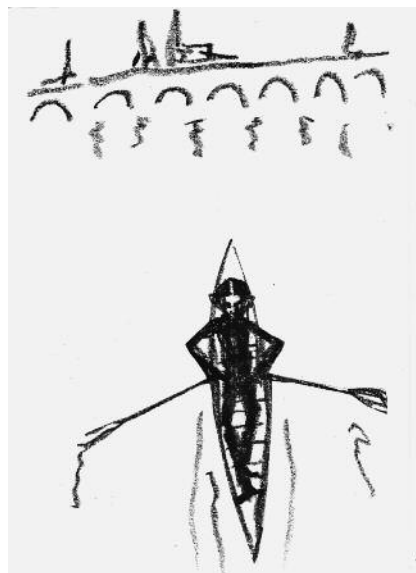
Wojtek Grabowski to człowiek wielu talentów. Ogląda świat po swojemu: poprzez literaturę – bezgranicznie zafascynowany twórczością Brunona Schulza, poprzez architekturę – poszukując niezwykłych klimatów zaklętych w bryłach, poprzez rysunek – ten służy artyście do obrazowania literatury i zwyczajnej ilustracji, a także poprzez film – mroczny zapis duchów przeszłości. A wszystko to przenicowane własną twórczością prozatorską, do której z pewnością należy zaliczyć liczne felietony. Jego niespokojna i niezwykle wrażliwa osobowość zdaje się być rozpięta pomiędzy dwoma magicznymi dla niego miejscami: Przemysłem i Będzinem. Pomiedzy drohobyską prozą Schulza a poezją żydowskiego, będzińskiego poety Stanisława Wygodzkiego. Pomiedzy widmami dzieciństwa a współczesnością.

Od jakiegoś czasu niezwykle zajmuje go akcja społeczna upowszechniająca czytelnictwo „Rusz książką”, którą zainicjował wspólnie z Pauliną Pikiewicz Trochę z własnej potrzeby, ale i na użytek tej akcji, stworzył wielkoformatowe rysunki – osobliwe portrety ukochanych przez siebie pisarzy, opatrzone odautorskimi komentarzami.

Na łamach „Śląska” Wojtek Grabowski publikował cykl felietonów pt. „Archi-traf” poświęconych architekturze Śląska i Zagłębia, a także opowiadanie „Będzin” ilustrowane autorskimi rysunkami.

„Pisarze, pisarze” – taki tytuł nosiła wystawa prezentowana w galerii „Na Żywo” Polskiego Radia Katowice. Wernisaz odbył się 14 czerwca, a spotkanie z autorem prowadził red. Maciej Szczawiński.

Wojciech Grabowski (rocznik 1969) jest absolwentem Instytutu Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie i Studium Scenariuszowego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej



Czy wiecie, że
Franz Kafka
lubił pływać łodzią po Wełtawie?

i Teatralnej w Łodzi. Jest reżyserem filmów o sztuce realizowanych w TVP (m.in. „Ekspresjonizm w Polsce”, „Artes – nadrealiści ze Lwowa”, „Podróż z Rafałem Malczewskim”, cykl „Bliskie obrazy”). W 2012 roku zadebiutował zbiorem opowiadań pt. „Człowiek-motocykl”.

Opublikował kolejno: „Archi-traf. Opowieści o architekturze Śląska i Zagłębia” (2015), „Miastowidz. Opowieści ze Śląskiej metropolii” (2016).

Zawodowo związany jest z Wyższą Szkołą Techniczną w Katowicach, w której jest wykładowcą mediów cyfrowych.



Niobe. Śląska krzywdą wykrzyczana

KSIĄŻKI

GRZEGORZ SZTOLER

Jak *Niobe...* – opowieść górnośląska śląskiego pisarza Alojzego Lyski z Bojszów stanowić powinna obowiązkową lekturę na lekcjach historii Górnego Śląska (o ile takich doczekamy), bo jest napisana przystępnie, a jednocześnie porywająco, sercem – i na dodatek w języku śląskim (gwarze). Lyskowa śląszczyzna je *rychtyk szumno*. On wprowadził ją na literackie salony. Pierwsza nagroda w V Ogólnopolskim Konkursie Dziennikarskim im. Krystyny Bochenek, przyznana jednomyślnie i **wyjątkowo nie za tekst napisany w języku polskim, a regionalnym, śląskim**, potwierdza tylko wysoki kunszt pióra autora.

Książka *Jak Niobe...* jest kolejnym dowodem na to, że pogardzaną niegdyś śląszczyzną można przekazać nie tylko prawdy proste – by nie

rzec przyziemne, ale i te bardziej złożone – życiowe. Język śląski już dawno dorósł do opowiadania dramatów, a nie tylko bieśiadnych wiców. *Jak Niobe...* to udowadnia. A teraz będzie mogła poruszać serca Czytelników, tak samo jak poruszyła jurorów konkursu. W kulturach mówi się nawet o wystawieniu tej Alojzowej opowieści na scenie. Przy miarki trwają...

Niewątpliwym walorem tej publikacji jest język – barwny, soczysty i swojski, którym opowiada się losy Hanka spod Pszczyny, młodej dziewczyny, która trafia do bogatej ciotki w Katowicach „na służba przy hutach”. Wydaje się Hance, że *chycila Ponbóczka za nogi*, bo niczego jej nie brakuje, a miejskie życie ma swe uroki. Nie będzie jednak tak zawsze. Wszak Niobe jest synonimem matki rozpaczającej po stracie ukochanych dzieci. Dodajmy – śląska Niobe – i już wiemy, jaki los czeka Hanke. Pierwsza wojna, świeżo poznany mąż, Michał, trafia na front i ginie. Hanka zostaje wdową z bajtlem, Wilusiem. Potem powstania, plebiscyt – Hanka stara się trzymać od wszystkiego z daleka, ale „na Śląsku polityka wchodzi nawet do łóżka”. Wyrzucają więc Hanke z familoka i z roboty, bo głosowała za Polską...

Hanka wydaje się za grubiorza Augusta, mieszko w Gieschenwaldzie w chałpcy z ogródkiem, mają kilku synków. Przedwojnie – „hurma ludzi z Polski zwaliło się na Śląsk. Gibko wyżali Niemców, nos tyż na bok, a sami pochyłali nojlepsze stołki i zaczęli się panoszyć. Straśnie nos bolało, jak zaczęli nami potraćć i pouczać, jak mamy godać, jak się oblykać, jak żyć” – skarży się nasza Ślązaczka. Ale to jedynie preludium do tego, co jeszcze ją czeka. Na co ją los szykuje – druga wojna, komunisci... Tej śląskiej krzywdy sporo się nazbierało i skupiło na Hance. Opowiada o niej, ale na spokojnie, z dystansem, bez zbudnej (kobiecej) egzaltacji. Wie, że musi sobie z tym wszystkim poradzić. Że musi przeżyć. I tu ujawnia się ten niezwykle śląski instynkt przetrwania, dzięki któremu jeszcze jesteśmy na tej ziemi, mimo tylu wojen, kataklizmów, władz, które nas niszczyły i nie szanowały. I dalej poniewierają...

Lysko jest śląskim trubadurem, głosem sponiewieranych. Jego... *opowieść górnośląska* mówi o śląskiej krzywdzie. Została ona wykrzyczana, wyrażona, wyartykułowana literacko i artystycznie (m. in. dzięki znakomitym ilustracjom Romana Nygi z Bierunia, które dopełniają tragizm życiowych losów Hanka). Nie bez powodu Autor pragnął, by nowe Muzeum Śląskie zorganizowało wystawę poświęconą dziejom Górnego Śląska właśnie z perspektywy Śląskiej Matki (*Mater Dolorosa Silesiensis*), sponiewieranej, ale trwającej na swojej ziemi. Przy swoich i dla swoich. Bo jak mówi Hanka: „To nity jest przeklynto zymia – to jest zymia śwynto!”.

Alojzy Lysko: *Jak Niobe... – opowieść górnośląska*. II. Roman Nyga. Katowice 2016, ss. 60.



Nie dla każdego

KSIĄŻKI

BOGDAN WIDERA

Omawiając poprzedni tomik Ewy Olejarz, który ukazał się w prestiżowej serii „Toposu”, odwołałem się do *Wilka stepowego* Hermanna Hesse, konkretnie do słów: „Teatr magiczny. Wstęp nie dla każdego”. Wiersze tam zamieszczone wręcz prowokacyjnie były nie dla szerszej publiczności, to było coś dla kręgu „wtajemniczonych”. Mógłbym tę opinię z powodzeniem powtórzyć, wołę jednak spróbować znaleźć „metodę w tym szaleństwie”. Buddyjscy mistrzowie ucząc medytacji radzą studiującym, aby „wyszli ze swojej głowy” i – jakby z góry – przyglądali się swoim płynącym myślom. Chodzi o ich stopniowe wygaszanie, ale też uzmysłowienie sobie, jak bardzo są chaotyczne i niezborne. Współcześni neuropsychologowie też na to

wpadli. Zauważyli, że umysł nie działa racjonalnie, ciągle się rozprasa, a nasze wybory i decyzje dyktuje nie „zdrowy rozum”, ale emocje (emocjonalna inteligencja – cokolwiek to znaczy). I wydaje mi się, że Ewa Olejarz potrafi z tych myśli nieuporządkowanych, przechodzących nie wiadomo skąd, skrawków zdań właściwie, układać poezję. Fragment wiersza *twórcy filozofii krytyczno-transcendentalnej, zakładającej, że podmiot jest warunkiem poznawczym przedmiotu*:

„ja pierdołę! dobra, kant, /pomogę ci spotkać się z koniem/ w obie strony./ nie jestem twoją pokojówką./ wzrok masz nie/ ten, ale to nie ja, że w sensie nie-pokojowa./ teraz tak! dobrze, dobrze, uff! jest i świeca? nie/bo myślałam, że nic już nie mamy do jedzenia!”

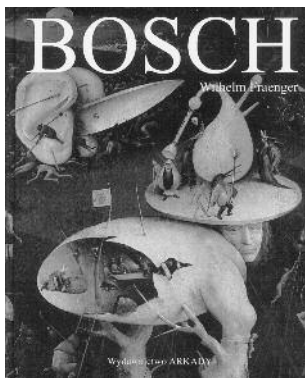
Łącznikiem pomiędzy pierwszym a drugim zbiorkiem jest osoba synka. Autorka-mama odnotowuje jego nieoczekiwane odkrywanie świata, dziecięcy, może naiwny sposób dochodzenia do zrozumienia czegoś o tym, co się nagle pojawiło w kręgu jego zainteresowań. W tomiku sopoćkim mały przegląda prasę, w której wojny, kryzysy, konflikty. Jeśli tak jest, chce się dowiedzieć od mamy, dlaczego ludzie nie dają rządzić światem dalajlamie. W nowej książeczce chłopak ma inny problem. Fragment wiersza *nie*:

„puka mnie zatem/ syn w plecy./ a robi to zawsze tak samo, wskazującym./że mam ochotę zabić (...)/ Henryk II został delfinem?/ prycha, jebie i najwyraźniej nic nie rozumie./bo go delfin bawi-bawi./ tak. to tytuł następcy tronu, który przysługiwał najstarszemu./ – aha! czyli mnie.”

Wiersze (po jednym) o dziecku pojawiają się w obu tomikach. Zarazem wyraźnie pokazują różnicę między nimi. W drugim synek „jebie”, w drugim wulgaryzmów jest znacznie więcej. Przy tym one (przynajmniej mnie) nie razią. W myślach człowiek nieraz ich używa, bo to taka „droga na skróty”, kiedy reaguje się na jakąś sytuację albo diagnozuje się coś lub kogoś. Autocenzura sprawia, że pomijamy pewne sformułowania w mowie. To, że poeta zapisuje je dosadnie w swoich tekstach, wydaje się potwierdzać tezę, iż próbuje skomponować wiersze z nieuporządkowanego strumienia myśli. Niby proste. Każdy może w ten sposób „tworzyć”. Niestety nie. Poezje Ewy Olejarz kojarzą mi się z muzyką, właściwie z muzycznością. Układają się w przemyślane kompozycje, w których nie ma miejsca na fałsz. Nie wszyscy muszą taką muzykę lubić, ale ona jest. Mnie ciekawi i do mnie przemawia.

KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



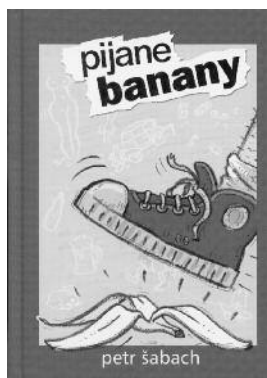
**Wilhelm Fraenger:
Hieronym Bosch.**
[Przeł. Barbara Ostrowska]
Wyd. Arkady, Warszawa,
wyd. IV dodruk, s. 490.

Hieronim Bosch, Hieronymus van Aken, jest jednym z najbardziej intrygujących i zagadkowych malarzy niderlandzkich. Żył i tworzył w Hertogenboschu, miejscowości prowincjonalnej, tam też zmarł w roku 1516, o czym wiemy z dokumentów Bractwa Najświętszej Marii Panny, którego był członkiem. Jednocześnie uważany jest za heretyka związanego z sektą adamitów powiązanej z żydowskimi i gnostycyckimi poglądami. Mimo to podziwiany i wspierany był przez „najbardziej chrześcijańskiego z królów” Filipa II. Dochodzimy w tym momencie do kwestii zleceniodawców malarza, którego dzieła są malarstwem ołtarzowym w wielu kościołach, inne zaś stanowią jawną satyrę antyklerykalną. Są też obrazy „seksiarskie” – to znaczy pełne symboli gnostycyckich, nawet okultystycznych, w każdym razie ezoterycznych, dziś praktycznie nawet dla historyków nieczytelnych. Trudno się temu dziwić, skoro sensu *Ogródu rozkoszy ziemskich*, nazwanego przez Fraengera *Tysiącletnim królestwem* nie odczytał nawet Breugel, żyjący nie tak wiele później od Boscha. W miarę upływu lat – na co zwraca uwagę autor tego monumentalnego studium – z interpretacją malarstwa niderlandzkiego mistrza było coraz gorzej a kompletnym nonsensem stało się doszukiwanie się w tej twórczości psychoanalizy. Fraenger przedstawia czytelnikowi własną wykładnię na temat dzieła artysty z Hertogenboschu. W posłowie Patrik Reutersward zwraca uwagę na fakt, że autor studium nie dysponuje (brak źródeł) dowodami na prawdziwość własnych interpretacji, przyznaje jednak, że przedstawione „poszlaki” są liczne i mocne. Przeczytałem tę książkę (jako miłośnik malarstwa Boscha) z ogromnym zainteresowaniem, myślę też, że trochę zagadek mi się wyjaśniło. Tom jest bogato ilustrowany (nie mogło być inaczej) a autorem tych wspaniałych fotografii jest Lutz Braun. Polecam.



Milan Kundera: Śmieszne miłości.
[Przeł. Emilia Witwicka]
Wyd. W.A.B. Warszawa
(brak daty edycji), wyd. V, s. 292.

Staroć sprzed mniej więcej pół wieku, ale prawdziwa perełka literacka. Opowiadania zawarte w tej książce nie są – wbrew tytułowi – śmieszne, więcej – przebija z nich smutek, sprawiają, że mimo zabawnych momentów czytelnik współczuje bohaterom, zwykłym ludziom egzystującym w szarej rzeczywistości „kraju demokracji ludowej”. Oni sami pakują się w kłopoty (jak wykładowca, który nie chciał napisać rekomendacji dla historyka sztuki, amatora bez talentu, czy dziewczyna odgrywająca przed swoim chłopakiem autostopowiczkę). Takie historie rzadko kiedy się dobrze kończą. Ten tom opowiadań jest tylko jedną z książek Kundery, których wznowienia przygotowuje wydawnictwo W.A.B. Sporo ich już można znaleźć w księgarniach, w tym „kultową” powieść *Zart*. Polecam młodym czytającym.



Petr Šabach: Pijane banany.
[Przeł. Julia Różewicz]
Wyd. „Afera”, Wrocław 2015, s. 226.

Praga, lata osiemdziesiąte, czas dojrzewania trójki kolegów, którzy mają po 16 lat. W epilogu autor podkreśla autobiograficzny charakter swojej powieści (inna sprawa, czy można mu wierzyć). W każdym razie informuje, że „przywłaszczył” sobie historyjki swoich przyjaciół (za ich zgodą), trochę je podkoloryzował, zredagował do celów literackich i ułożył w całość. Jak zatem wyglądała młodość w tamtej Pradze? No cóż, bohaterowie nie byli grzesznymi chłopcami. Chodzili na wagary, pili piwo podawane nieletnim niezgodnie z prawem, wyczyniali rozmaite brewerie na pograniczu chuligaństwa. Ten „sposób na życie” miał im pomóc w wyrwaniu się z siermiężnej codzienności, na którą składało się „socialistyczne wychowanie”, ekonomiczne nonsensy, propaganda (żaden z bohaterów nie wierzy już w „ustrój sprawiedliwości społecznej” ani w przekaz oficjalnych mediów), drażni też ich soc-pop, takie narzędzie powszechnego odmóżdżenia. Ci młodzi ludzie żyją w otoczeniu dorosłych, postrzeganych przez nich jako postacie komiczne i groteskowe. Realny socjalizm zabawny bynajmniej nie był, ale opowieść o tamtym czasie Šabacha sprawia, że czytelnik, zwłaszcza ten, który zna ten okres z autopsji, musi się czasem zaśmiać. Lubię jeździć do Czech, znam tamtejszą literaturę, film, zwiedziłem sporo zabytków i muzeów, jednak dopiero z tej powieści dowiedziałem się o ceczkach – istnym szaleństwie, które przez jakiś czas ogarnęło mała Polaków.



**Ota Pavel: Śmierć pięknych saren.
Jak spotkałem się z rybami.**
[Przeł. Andrzej Czycibor-Piotrowski,
Józef Waczków]
Wyd. „Czuły barbarzyńca”,
Warszawa 2015, s. 218.

Dwa zbiory opowiadań o charakterze autobiograficznym. Zaczynają się sielankowo, od sentymentalnej podróży w krainę dzieciństwa, szczęśliwego, pełnego nowych doświadczeń, poznawania świata, zwłaszcza zaś dziwów natury. Dziecięcy narrator opisuje rodzinę i to, co go otacza. Tatuś jest postacią nietuzinkową, ale w tej wizji najmłodszego syna trochę śmieszna. Żyd Leon Popper, czyli ojciec „opowiadacza”, jest mistrzem świata w sprzedaży lodówek i odkurzaczy marki „Elektroluks”. Mama marzy o wakacjach we Włoszech, ale zawsze kończy się to wyjazdem nad rzekę, bo rzekomo nie ma pieniędzy. Prawda jest inna. Poza talentem komiwożera tata ma pasję – wędkarstwo. Synowie mu oczywiście w tych wyprawach nad wodę towarzyszą. Sielanka kończy się w czasach okupacji. Żyd z rodziną chce przetrwać, musi z narażeniem życia zdobywać jedzenie. Ocałują. Nie wszyscy. Trzeba teraz radzić sobie w ustroju socjalistycznym. Więc jakoś tata radzą. Nie jestem wędkarzem, ryby jadam tylko od czasu do czasu, ale opowieści Pavla sprawiają, że człowiek podziwia urodę mieszkańców rzek wtedy jeszcze czystych i pasjonuje się „pojedynkami” łowiącego np. ze szczupakiem. Nie wiem, czy to wojenne doświadczenia doprowadziły autora do choroby psychicznej, w każdym razie ten miłośnik przyrody ostatnie lata życia spędził w „domu wariatów”. Zmarł na serce, choć w latach siedemdziesiątych czytałem, że popełnił samobójstwo.

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Szuka

Jacek Sikora



Nominowane książki prezentowali: dr hab. prof. UŚ Zbigniew Kadłubek oraz prof. Anna Kaluża

Statuetka im. Bł. ks. Józefa Czempieła dla abpa seniora Damiana Zimonia

CHORZÓW. 11 czerwca w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Chorzowie po raz pierwszy wręczona została, ustanowiona przez Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół Bł. ks. Józefa Czempieła, statuetka chorzowskiego męczennika. Będzie dorocznie przyznawana osobom, które realizują ideały hajduckiego proboszcza – dobroczynność, walkę z ubóstwem i społecznym wykluczeniem, a także przyczyniają się do promocji kultu bł. Józefa. Pierwszym laureatem wyróżnienia został arcybiskup senior archidiecezji katowickiej Damian Zimoń, *spiritus movens* procesu beatyfikacyjnego dwóch pierwszych kapłanów katowickiego Kościoła: Emila Szramka i Józefa Czempieła. Od samego początku Jego Ekscelencja nie tylko czuwał nad przebiegiem procesu, ale także dokładał wszelkich starań, by rozwijać kult obu męczenników. Przypomnijmy, że w roku 1988, podczas 228. konferencji Episkopatu Polski, uchwalono, że proces kanonizacyjny biskupa Michała Kozala odbędzie się w formie „cum sociis” – z towarzyszami, męczennikami II wojny światowej. Postępowanie beatyfikacyjne otwarto w 1992 roku, a dyskusję teologiczną zakończono w listopadzie 1998 roku. Postulatorem na poziomie diecezji był ks. Jerzy Myszor. 13 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II podczas pielgrzymki do Polski ogłosił w Warszawie błogosławionymi 108 męczenników II wojny światowej. Statuetka trafiła w ręce Księdza Arcybiskupa jako wyraz wdzięczności za świadectwo wiary, wieloletnią posługę katowickiemu Kościołowi i dbałość o ideały, którym wierny był do ostatnich chwil życia hajducki proboszcz.

Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół bł. ks. Józefa Czempieła wraz z parafią pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny podziękowało także w ten sposób Księdzu Arcybiskupowi za wkład w rozpozszechnianie kultu błogosławionego.

Jacek Kurek

Pod patronatem „Śląska”

„Fide et Amore” po raz dziesiąty

ZORY. Koncertem „Sacer nidus” (św. Wojciech, Bolesław I Chrobry i cesarz Otton III w muzyce średniowiecza) pod dyrekcją Agnieszki Buzdziejkiej-Bennett w kościele pw. św. Brata Alberta w Żorach rozpocznie się 5 sierpnia X Jubileuszowy Festiwal Twórczości Religijnej „Fide et Amore”. Tegoroczna edycja została przygotowana z myślą o 1050 rocznicy chrztu Polski. Dyrektorem artystycznym tego wielkiego muzycznego przedsięwzięcia jest ks. Wiesław Hudek. Festiwal będzie trwał do 21 października. Podczas kolejnych sierpniowych koncertów będzie można usłyszeć „Pieśni nabożne” Franciszka Karpińskiego (1741–1825) i „Gregoriańskie officium o Matce Bożej”. We wrześniu Rorantysi Królewscy zaprezentują koncert „W blasku Katedry Królewskiej na Wawelu” z utworami m.in. Mikołaja z Radomia, Grzegorza G. Gorczyckiego i B. Pękla. Z kolei Flores Rosarium wykonają koncert „Z muzycznego skarbcza klasztoru w Staniątkach 1216–2016,

a Kameralny Chór Katedry w Padeborn i Cracow Singer wykonają kompozycje sakralne na chór *a capella* Krzysztofa Pendereckiego. Wrzesniowy program zamknie „Vespere Dominicales” z utworami m.in. M. Zieleńskiego, M. Mielczewskiego i G.G. Gorczyckiego. Październik przyniesie równie imponujący program. 14 października zaprezentowane będzie prawykonanie utworów nagrodzonych w II Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim ogłoszonym dla uczczenia 1050 rocznicy chrztu Polski – jego wykonawcami będą uczniowie i pedagodzy PSM II ST. w Rybniku i Katowicach. Festiwal zakończy „Kantata ad Fontes” – prawykonanie dzieła słowackiego kompozytora Luboša Bernatha do tekstu ks. Wiesława Hudka, a wykonawcami będą soliści: Anna Noworzyn (sopran), Maciej Bartczak (baryton), Jerzy Głubin (recytacja) oraz chór Rezonans con tutti pod dyrekcją Waldemara Gałązki i Orkiestra Muzyki Nowej pod dyrekcją Szymona Bywalca. Festiwal nie ogranicza się wyłącznie do koncertów. Towarzyszyć mu będą – prócz konkursu kompozytorskiego – wystawa malarstwa Jana Kantego Pawluśkiewicza „Sensy/Byty/Mary”, warsztaty choralne, koncert Niemieckiej Federacji Pueri Cantores a także spektakl muzyczny z okazji 60-lecia Miejskiego Ośrodka Kultury w Żorach, spotkania literackie i konferencja naukowa „Uniwersalizm chrześcijańskiej Europy – wokół teologii u św. Hildegardy z Bingen”, wieczór z poezją i muzyką polską. Szczegółowe informacje na stronie internetowej Organizatora festiwalu – Miejskiego Ośrodka Kultury w Żorach: www.mok.zory.pl

Pod patronatem „Śląska”

Sierpień talentów

KATOWICE. Tegoroczna, już dwunasta edycja Ogólnopolskiego Festiwalu Promocyjnego „Sierpień talentów” odbywać się będzie od 21 do 31 sierpnia. Podczas szeregu koncertów przygotowywanych przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” – organizatora festiwalu – zaprezentowane zostanie szerokie grono utalentowanych, młodych artystów, którzy w zdecydowanej większości mają przed sobą konkursowe zmagania podczas różnych konkursów krajowych i zagranicznych. Do Katowic zaproszeni zostali uczestnicy najważniejszych polskich konkursów muzycznych.

Inauguracja festiwalu odbędzie się w odrestaurowanej auli im. Bolesława Szabelskiego w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego. W ramach festiwalu wystąpią uczestnicy XV Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, a w koncercie finałowym – również w Akademii Muzycznej w Katowicach wystąpi Polska Orkiestra Młodzieżowa – Lutowski Youth Orchestra pod batutą Adriana Raveli wraz z wybitnym solistą wiolonczelistą Bartoszem Koziakiem.

Koniec „Bu-Gadek”

KATOWICE. 11 maja w księgarni *Zła Buka* przy Rondzie w Katowicach odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „Bu-Gadki”, którego po-



Spotkanie z cyklu „Bu-Gadki”, na zdjęciu Ewa Olejarz, Jan Baron oraz Sabina Waszut

mysłodawczyniami oraz prowadzącymi były Ewa Olejarz oraz Sabina Waszut. Piszemy były, bo autorki cyklu postanowiły go w czerwcu br. zakończyć. „Bu-Gadki” odbywały się pod patronatem „Śląska” jako jedno z wielu „dzieci” Portu Poetyckiego w Chorzowie. W spotkaniu 11 maja uczestniczył poeta Jan Baron, mieszkający w Chorzowie. Autor promował swój najnowszy tomik *Układ scalony* (2015), który recenzowaliśmy na łamach „Śląska” (3/2016).

Nad książką Augusta Scholtisa

KATOWICE. Kolejne spotkanie z cyklu „Sztuka Czytania” w Muzeum Śląskim poświęcone było refleksji nad książką Augusta Scholtisa „Wiatr od wschodu. Śląska opowieść sowizdrzalska”. Wydana po raz pierwszy w Polsce publikacja przypomina sylwetkę niemieckiego pisarza urodzonego w 1901 roku w śląsko-morawskich Bolaticach. Twórca, dziś już niemal zupełnie zapomniany, pozostaje jednym z najoryginalniejszych pisarzy niemieckojęzycznych. Postać tę przybliżył Alois Smolorz, który podjął się żmudnego procesu translatorskiego, by oddać oryginalną technikę kompozycji. O książce i jej autorze dyskutowali: prof. dr hab. Grażyna Barbara Szewczyk, dr hab. prof. UŚ Zbigniew Kadłubek, prof. dr hab. Marian Kisiel i Alois Smolorz – tłumacz.

Nominacje do Nagrody Juliusza

RYBNIK. „Kobro. Skok w przestrzeń” Małgorzaty Czyńskiej, „Historia kina polskiego” Dariusza Foksa i „O pochodzeniu łajdaków” Tomasza Wiśniewskiego – to książki nominowane do, ustanowionej przez prezydenta Rybnika, Górnos Śląskiej Nagrody Literackiej Juliusz. Juliusz to pierwsza nagroda literacka na Górnym Śląsku. Nagroda przyznawana będzie corocznie za najlepszą książkę napisaną i wydaną po polsku w roku poprzednim. Nominacje do pierwszej edycji nagrody wskazane zostały przez kapitułę konkursu, którą tworzą przedstawiciele ośrodków literackich i uniwersyteckich z różnych stron kraju. Kapituła po raz pierwszy obradowała między 8 a 10 kwietnia w Rybniku, wybierając wstępnie spośród ponad stu zgłoszonych książek – 24, które poddane zostały dalszej ocenie. Spośród nich na następnym spotkaniu, zorganizowanym w dniach 3–5 czerwca, wybrano trzy nominacje do nagrody. Spośród nich wyłoniona zostanie najlepsza książka 2015 roku. To właśnie jej autor podczas październikowych Rybnickich Dni Literatury odbierze statuetkę Górnos Śląskiej Nagrody Literackiej Juliusz oraz nagrodę pieniężną w wysokości 40 000 zł.

Śląskie okno na Szwecję

KATOWICE. 6 czerwca, w dniu Święta Narodowego Szwecji, ambasador Szwecji Inga Eriksson Fogh otworzyła w Katowicach Konsulat Honorowy. Konsulem Honorowym został Arkadiusz Hołda.

Siedziba Konsulatu Honorowego znajduje się w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach, której założycielem i kanclerzem jest Arkadiusz Hołda. Konsul honorowy jest także m.in. pomysłodawcą i wła-



F. Lehar „Kraina-uśmiechu” – pierwsze przedstawienie Państwowej Operetki w Gliwicach przy Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu, 1952

ścicielem stacji telewizyjnej TV Silesia, innowacyjnym przedsiębiorcą zaangażowanym w zagadnienia związane ze zrównoważonym rozwojem, od lat zafascynowanym Szwecją – o czym mówiła ambasador, prezentując sylwetkę nowego dyplomaty. Polska i Szwecja są dla siebie jedenastym partnerem pod względem wielkości wymiany handlowej – w ciągu minionych dziesięciu lat Szwecja podwoiła wymianę handlową z Polską. W Polsce działa ok. 300 przedsiębiorstw ze szwedzkim kapitałem, które zatrudniają ok. 70 tys. osób. Otwarty w Katowicach konsulat jest czwartą tego typu placówką w Polsce.

Świat Paula Rothera

BYTOM. Czarno-białe fotografie Paula Rothera prezentowane na wystawie w Muzeum Górnos Śląskim przenoszą odbiorców w zacisze rodzinnego domu, na Śląsk lat 20. i 30., ukazując codzienną pracę i chwile odpoczynku – wycieczki, a z nimi architekturę, krajobrazy, postaci. 24 lipca o tym niby prostym, bo najbliższym, acz urzekającym świecie zarejestrowanym przez fotografa amatora opowiadał kurator ekspozycji *Z aparatem w rękę. Śląsk oczyma Paula Rothera* – Maciej Droń. Spotkanie było okazją do swoistej podróży przez Górny i Dolny Śląsk – od Orzegowa przez Szombierki, Bobrek i Bytom po Toszek, Żerniki, Pokój czy Górę św. Anny, a także do przyjrzenia się, jak wówczas wyglądało życie – praca, obowiązki, zwyczaje, czas wolny.

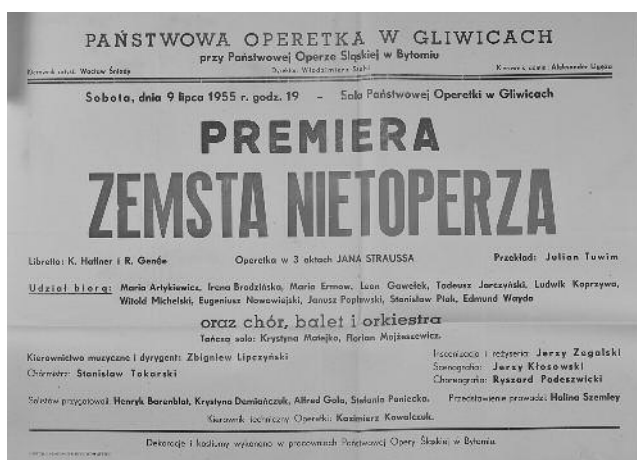
Konkurs na najlepszą pracę doktorską

KATOWICE. Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego ogłasza konkurs na najlepszą pracę doktorską z dziedziny nauk o kulturze i historii sztuki. Nagrodzony autor otrzyma 3000 zł brutto, a jego praca zostanie wydana nakładem Muzeum Śląskiego. Tematyka nadsyłanych prac powinna skupiać się wokół zagadnień i problemów strony wizualnej przedstawienia, filmu czy filmu animowanego. Konkurs obejmuje następujące prace doktorskie: dotyczące problematyki scenografii i przestrzeni teatralnej, podejmujące zagadnienia scenografii filmowej oraz filmu animowanego, monografie scenografów, a także prace o historii oraz współczesności teatru i filmu polskiego, akcentujące wpływ scenografii na kształt szerszego zjawiska historyczno-kulturowego. Nagrodzona w I edycji konkursu praca dr Jadwigi Rożek-Sieraczyńskiej „Krystyna Zachwatowicz – scenografie teatralne” ukaże się w tym roku.

Prace konkursowe należy nadsyłać do 15.11.2016 roku. Szczegóły na www.muzeumslaskie.pl

Film o fotografiach Jerzego Lewczyńskiego

GLIWICE. 2 lipca w Muzeum w Gliwicach odbył się pokaz filmu „Świat z widzenia – o fotografiach Jerzego Lewczyńskiego” Piotra Weycherta. To pierwszy dokument poświęcony nestorowi fotografii współczesnej. Film prezentuje te kanoniczne i te mniej znane prace artysty, a on sam pełni w nim funkcję narratora. „Świat z widzenia – o fotografiach



Plakat ze zbiorów Gliwickiego Teatru Muzycznego

Jerzego Lewczyńskiego” – to w pełni samodzielna produkcja zrealizowana przez Muzeum w 2012 roku. Prapremiera pełnometrażowego dokumentu „Świat w widzeniu – o fotografiach Jerzego Lewczyńskiego” odbyła się podczas festiwalu Miesiąc Fotografii w Krakowie, który poświęcony był klasykom fotografii światowej. Projekcja filmu stanowiła dopełnienie prezentowanej w ramach festiwalu w Muzeum Narodowym wystawy „Jerzy Lewczyński. Pamięć obrazu”. Projekcję filmu przygotowano w drugą rocznicę śmierci fotografa.

Bo to jest operetka...

GLIWICE. Wystawa „Bo to jest operetka... Historia teatrów muzycznych w Gliwicach” autorstwa dr. Jacka Mikołajczyka i Joanny Puchalik prezentowana jest w Willi Caro w Gliwicach. Pokazuje ona historię Operetki Śląskiej oraz teatrów muzycznych w Gliwicach.

– *Pomysł zorganizowania wystawy poświęconej dziejom sceny muzycznej w Gliwicach pojawił się dwa lata temu, zaproponował go Grzegorz Krawczyk – dyrektor gliwickiego muzeum, który wcześniej zamówił u mnie książkę na temat historii Operetki Śląskiej i Gliwickiego Teatru Muzycznego. Wystawa nie ma charakteru statycznej ekspozycji, a raczej wędrowki po zakamarkach dziejów Operetki Śląskiej, tego, co ocalało z dawnych spektakli, wspomnień gwiazd, emocji. Zwiedzający mogą podpatrzeć przy pracy teatralnego scenografa, zajrzeć do garderoby śpiewaków, przenieść się na chwilę do krain, w których najczęściej rozgrywały się fabuły gliwickich operetek i musicali – powiedział kurator wystawy dr Jacek Mikołajczyk, w latach 2002–2014 kierownik literacki Gliwickiego Teatru Muzycznego.* W ramach ekspozycji prezentowane są materiały pochodzące z bogatego archiwum GTM oraz zbiorów Muzeum w Gliwicach – afisze, programy teatralne, fotografie, projekty kostiumów, a także zachowane elementy autentycznych dekoracji spektakli Operetki Śląskiej. W trzech salach Willi Caro można oglądać zdjęcia z najważniejszych przedstawień, w tym te z pierwszej premiery – *Krainy uśmiechu* Franza Lehara, urywki z operetek i musicali. Wystawa przybliży historię Operetki Śląskiej – od roku 1952, kiedy powstała w Gliwicach jako filia Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu – aż do lat 90. Przypomniane zostały premiery, spektakle i wydarzenia związane ze sceną Operetki oraz postaci, najważniejsi twórcy – soliści, reżyserzy, dyrygenci czy dyrektorzy teatru, tacy jak: Maria Artykiewicz, Wanda Polańska, Hanna Rutkowska, Stanisław Ptak, Ryszard Wojtkowski, Zbigniew Kalemba, Stanisław Tokarski czy Danuta Baduszkowa.

Premiera płyty zespołu WIANO

TYCHY. 24 czerwca w Muzeum Miejskim w Tychach odbył się koncert promujący pierwszą płytę zespołu Wiano. Znajdujące się na płycie teksty, które zespół wykonał podczas koncertu, to autorskie aranżacje utworów ze zbioru Adolfa Dygacza (etnologa, muzykologa i folklorysty, znawcy kultury górnośląskiej i zagłębiowskiej), skupione wokół tematyki zamążpójścia, ale też rozterek, smutków, nieszczęśliwej miłości. Nazwa zespołu nawiązuje do zapomnianej już tradycji ludowej – *wiano* stanowiło niegdyś zabez-



Plakat wystawy londyńskiej autorstwa Lucyny Wylon

pieczenie posagu przez męża i odwzajemnienie za niego. Celem wiana było majątkowe zabezpieczenie żony – szlachcianki na wypadek śmierci męża. Zespół występuje od 2015 roku. Jego założycielem jest Grzegorz Krzysztofik. Zespół tworzą: Agnieszka Mucha (wokalec), Arkadiusz Piel (gitara), Przemek Rosak (bas), Grzegorz Krzysztofik (perkusja & instrumenty perkusyjne), Jakub Kabus (lira & chórki), Michał Lipiński (instrumenty klawiszowe). Współwydawcą płyty było Muzeum Miejskie w Tychach.

Zbigniew Libera w Muzeum Śląskim

KATOWICE. Muzeum Śląskie zaprasza na spotkanie ze znanym i cenionym twórcą sztuki wideo – Zbigniewem Liberą, którego prace znajdują się m.in. w Jewish Museum w Nowym Jorku, Haus der Geschichte w Bonn oraz CSW Zamek Ujazdowski. Spotkanie z artystą przybliżyło specyfikę tej dziedziny sztuki, powszechnie już dzisiaj znanej, jednakże często trudnej w odbiorze, kontrowersyjnej w treści i formie. Zbigniew Libera jest jednym z najwybitniejszych polskich przedstawicieli nurtu sztuki krytycznej. W swoich działaniach koncentruje się na relacji jednostki z otoczeniem w kontekście ideologicznych i społecznych uwarunkowań, opartych na manipulacji dążącej do wytworzenia pewnych schematów myślenia i działania. W latach osiemdziesiątych XX wieku współpracował z „Solidarnością”, drukując i kolportując antyreżimowe druki. Aresztowany przez Służbę Bezpieczeństwa i skazany za swoje polityczne zaangażowanie, przesiedział w więzieniach półtora roku, co miało istotny wpływ na kształtowanie się jego twórczej postawy. Sztuka wideo, mająca swoje początki w latach 60. XX wieku, w Polsce zaczęła się rozwijać w latach 70. XX wieku dzięki artystom łódzkim, zafascynowanym filmem i eksperymentami z nowymi mediami. Swoje osiągnięcia zaprezentowali po raz pierwszy w formie instalacji w 1973 roku w Muzeum Sztuki w Łodzi. Od lat 80. wideo-art rozwija się dynamicznie, tworząc samodzielną dziedzinę twórczości, równorzędną z tradycyjnymi technikami wizualnymi.

Obrazy naszego tysiąclecia

BIELSKO-BIAŁA. „Emanacje” to tytuł czerwcowej wystawy najnowszych obrazów Artura Trojanowskiego, w których odchodzi od tradycyjnych form przedstawiania otoczenia i proponuje osobiste obcowanie z formą obrazu. – Zastosowana technika, przypominająca grafikę komputerową z jej „rozpikselowaniem” daje efekt rozwarstwienia, wychodzenia poza ramy obrazu nieustającej – tytułowej emanacji – twierdzi dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz. W czerwcu w tejże galerii prezentował prace także Ryszard Grzyb. Ekspozycja nosiła tytuł „Malarstwo jest ogrodem świata” i obejmowała obrazy z lat dwutysięcznych.

Kolekcja własna

BIELSKO-BIAŁA. „Pokaz 4.” to ekspozycja, którą otwarto 23 czerwca w Galerii Bielskiej BWA. Prezentuje nabytki placówki z ostat-



Karolina Tyrna, *Familia Brassicaceae (lac. rodzina kapustowate)*, 2003/04 – 2013, techn. wł.: fotografia barwiona sepią, papier barytowy, 34 x 23



Natalia LL (Natalia Lach-Lachowicz), *Egzystencje I*, 1962, fotografia czarno-biała, papier bromowy, 43 x 40

nich lat: malarstwo, rzeźbę, grafikę, fotografię i wideo. Ekspozowane są dzieła ważnych artystów polskich, jak Urszula Broll, Jan Dobkowski, Koji Kamoji, duety Kijewski/Kocur i Kowalski/Janiak, Zofia Kulik, Kamil Kuskowski, Natalia LL, Andrzej Lachowicz, Zbigniew Libera, Jarosław Modzelewski, Zbigniew Rogalski, Andrzej Szewczyk, Leon Tarasewicz, Jerzy Wroński oraz czeskich: Eduard Ovčáček, Jindřich Štreit i Jiří Surůvka. Są obrazy laureatów Bielskiej Jesieni: Beaty Ewy Białeckiej, Jakuba Ciężkiego, Dawida Czyzca, Ewy Juszkiewicz, Karoliny Komorowskiej, Artura Przebindowskiego, Malwiny Rzoncy, Małgorzaty Szymankiewicz, Andrzeja Wasilewskiego oraz prace przedstawicieli bielskiego środowiska plastycznego, np. Bronisława Krzysztofa, Leszka Oprządka, Krystyny Pasterczyk i Joanny Żochowskiej, Jagody Adamus, Kariny Czernek, Barbary Gawędy-Badery, Dariusza Gierdala, Ewy Fodczuk i Janiny Wiciejewskiej-Pochopień. Wystawa potrwa do 28 sierpnia.

Dziesiątka na Londyn

BIELSKO-BIAŁA/LONDYN. Dziesięcioro artystów środowiska bielskiego w lipcu i sierpniu wystawić będzie w Londynie. Ekspozycja pt. „The Ten of Arts” potrwa od 2 do 17 lipca (w Galerii Montage) oraz od 23 lipca do 5 sierpnia w Galerii Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Kuratorki Grażyna Cybulska i Lucyna Wylon wybrały prace Tamary Berdowskiej, Rafała Bojdyśa, Moniki Dąbrowskiej-Picewicz, Dariusza Fodczuka, Janusza Karbowniczka, Elżbiety Kuraj, Barbary Nachajskiej-Brożek, Leszka Oprządka, Waldemara Rudyka i Pawła Warchoła. Zdaniem kuratorek – tytułowa „dziesiątka” reprezentuje nie tylko swój region, ale współczesną sztukę polską w całej jej różnorodności i bogactwie. – Utalentowanych, pracowitych, często utytułowanych artystów łączy duch nieustrudzonych eksploratorów, którzy dążą do odkrycia idealnego połączenia między formą, materią dzieła a ideą. Wybierając różne ścieżki, różne narzędzia i środki ekspresji, równie uważnie badają otaczającą rzeczywistość jak i własne emocje – twierdzą kuratorki.

Prapremiera Potrzebego

CIESZYN. Od 7 do 10 lipca w Cieszynie trwał XI Festiwal Wakacyjne Kadry w Kręgach Sztuki. Inauguracyjny koncert dał w Teatrze im. A. Mickiewicza zespół Free Cooperation. Odbyły się także pokazy artystyczne, spektakle, inne koncerty i seanse filmowe w kinie „Piast” oraz w Domu Narodowym. Jednym z najważniejszych wydarzeń imprezy była (9 lipca) światowa prapremiera sztuki Juliana Potrzebego „Egzaminy”, której bohaterem jest Krzysztof Kiesłowski. Autor jest scenarzystą i reżyserem, absolwentem Wydziału Reżyserii Łódzkiej Szkoły Filmowej, laureatem stypendiów scenariuszowych PISF i wieloletnim współpracownikiem Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy. W dojrzałego Kiesłowskiego wciela się Jakub Lasota, a w młodego twórcę „Dekalogu” Filip Gurlacz. Z Cieszyna sztuka pojedzie m.in. do Iranu, Indonezji i Nigerii...

Obrazy jak żywe

ISTEBNA. Animatorzy kultury ze Stowarzyszenia im. Artysty Jana Wałacha w Istebnej zorganizowali od 4 do 9 lipca przy muzeum akcję dla dzieci i młodzieży pn. „Żywe obrazy”. W ten sposób chcieli przyciągnąć młodych ludzi do tego niezwykle miejsca i zainteresować ich sztuką istebniańskiego mistrza. Do rekonstrukcji scen z obrazów i drzeworytów Wałacha służyły te same lub podobne sprzęty. Jak twierdzi Barbara Juroszek ze stowarzyszenia, w pracowni mistrza można było podziwiać prace młodych artystów oraz zdjęcia Szymona Pytla. Rozstrzygnięto także dwa konkursy „Gdybym się narodził przed 130 laty” i „Zaprojektuj ogród sztuki Jana Wałacha”. – Śmiało można powiedzieć, że ożywiłymi nie tylko obrazy, lecz przede wszystkim Muzeum Malarstwa Jana Wałacha na Andziolówce, które znów zapachniało terpentyną i olejnymi farbami – powiada Barbara Juroszek.

Nigdy z córką!

BIELSKO-BIAŁA. Ostatnią w tym sezonie premierę oglądaliśmy 25 czerwca na dużej scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Adaptacja sztuki pt. „Z twoją córką? Nigdy” Antonina Prochazki – znanego w Czechach jako Plzeňský Molière – to dzieło Sceny Inicjatyw Aktorskich wyreżyserowane przez zespół pod opieką Witolda Mazurkiewicza. Scenografię zaprojektowała Alicja Wątor. Występują: Anita Jańcia, Grzegorz Sikora, Zofia Schwinke, Tomasz Lorek, Maria Suprun, Adam Myrczek i Mateusz Wojtasiński.

Beksiński nowa odsłona

CZĘSTOCHOWA. 25 maja w MGS otwarto nową wystawę prac Zdzisława Beksińskiego, do tej pory niepokazywanych w Polsce, więc było to prawdziwe wydarzenie polskiego życia artystycznego. W muzeum można oglądać 28 obrazów artysty, jego rysunki a także prace Svetlana Ruseva oraz Michela Henricota, pochodzące z kolekcji Anny i Piotra Dmochowskich. Malarze towarzyszący Beksińskiemu nie są wprawdzie jego uczniami, ale ich prace utrzymane są w podobnej stylistyce. Nowa ekspozycja zastąpiła zbiór, który w marcu br. został przewieziony do Nowohuckiego Centrum Kultury w Krakowie, po 10 latach obecności w naszym mieście. Umowę podpisano na trzy lata z możliwością przedłużenia. Wystawa pokazuje rozwój talentu Beksińskiego, a obrazy mają także wymiar bardzo osobisty, np. portret żony Zofii. Część prac wystawiono w srebrnych ramach, sprowadzanych z Włoch, inne w ramach drewnianych, które osobiście przygotowywał artysta. Na wernisazu oprócz licznie zgromadzonych miłośników sztuki byli obecni także Anna i Piotr Dmochowscy, którzy chętnie opowiadali o swoich kontaktach ze Zdzisławem Beksińskim. Z jego twórczością zetknęli się na wystawie w Łodzi, gdzie spędzali wakacje w 1975 lub 1976. Wtedy właśnie narodził się pomysł stworzenia paryskiej galerii jego prac.



Prace Zdzisława Beksińskiego w MGS w Częstochowie

Częstochowa jazzem stoi

CZĘSTOCHOWA. Za nami XII Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego Hot Jazz Spring (3–5 czerwca). I choć program powieliał schemat wypracowany w poprzednich latach, wrażeń nie brakowało. Głównym miejscem koncertów była Filharmonia Częstochowska oraz klub Five O'Clock. W plenerze wystąpił Leliwa Jazz Band z Tarnowa. Rozpoczęło się paradą orleańską z placu Biegańskiego pod pomnik Louisa Armstronga. Potem w czasie koncertu *Blues symfonicznie* Marzena Ugorna śpiewała utwory z repertuaru Tadeusza Nalepy, Jamesa Browna, Janis Joplin oraz Martynty Jakubowicz. Kobiety rządziły również w sobotę. Podczas *Ladies Day* wystąpił kwartet saksofonarium z Krakowa, Lisa Wahlandt Trio, Alice in Dixieland. Był to również dzień przesłuchań w konkursie Swingującego Kruka. W OPK *Gaude Mater* komisja w składzie: Wojciech Kamiński, Jakub Sołtyś, Paweł Tartanus, Jakub Moron oraz Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski (przewodniczący), wysłuchała 6 muzyków oraz 9 wokalistek. Pierwszą nagrodę przyznano Tymonowi Trąbczyńskiemu z Warszawy, drugą – Adriannie Rychwalskiej, trzecią – Natalii Kordiak (też nagroda publiczności), a wyróżnienie – Sylwii Majce. Koncert finałowy odbył się w niedzielę. Prezydent Miasta Częstochowy wręczył nagrody oraz statuetkę Honorowego Swingującego Kruka. W tym roku otrzymał ją Hans Carling, trębacz i kompozytor. Laureata może być posłuchać wraz z The Carling Family w brawurowym koncercie. Dziesięciu multiinstrumentalistów grało, śpiewało, tańczyło, a także zonglowało, stepowało i wykonywało akrobatyczne ewolucje. Festiwalowi towarzyszyła wystawa fotografii *Polski jazz*.

Znów o Kalinie

CZĘSTOCHOWA. Z okazji Dni Samorządu Terytorialnego 28 maja przygotowano koncert *Kalinowe niebo*, w którym piosenki Kaliny Jędrusik zaśpiewali znani artyści. Była to kolejna impreza przygotowana z okazji podwójnego jubileuszu – 85 rocznicy urodzin i 25 rocznicy śmierci artystki. W koncercie wzięli udział – Katarzyna Figura, która w 2013 roku grała Jędrusik w spektaklu Małgorzaty Głuchowskiej w Teatrze Polonia, Renata Przemyk, Katarzyna Pakosińska, Elżbieta Romanowska, Paulina Przybysz, Natalia Sikora, Jan Młynarski, Natalia Ochmańska, Sambor Dudziński. Towarzyszył im zespół w składzie: Wojciech Fedkowicz, Jacek Fedkowicz, Michał Jurkiewicz, Leszek Szczerba, Krzysztof Niedźwiecki. Na scenie na placu Biegańskiego wyświetlano też filmy, m.in. *Lekarstwo na miłość* oraz wypowiedzi różnych osób o Kalinie. Koncert poprzedził występ Katarzyny Mirowska & Jam Band z repertuarem z lat 60. i 70. Dni Samorządu Terytorialnego zorganizowano już po raz 26. W niedzielę odbył się także Festiwal Nauki Politechniki Częstochowskiej oraz piknik podmiotów ekonomii społecznej (ma promenadzie Czesława Niemena).

Krzemiński i dokument

CZĘSTOCHOWA. 4–5 czerwca odbywał się w Częstochowie III Festiwal Filmów Dokumentalnych im. Braci Krzemińskich *Moja mała Ojczyzna*. W tym roku oprócz pokazów filmowych ważnym wydarzeniem było odsłonięcie tablicy na budynku, gdzie mieściło się

pierwsze stałe kino Krzemińskich w naszym mieście, Rojal Palace przy al. NMP 43. Prezentacje filmów dokumentalnych na temat Częstochowy oraz jej mieszkańców odbywały się oczywiście w OKF „Iluzja”. W tym roku było o sporcie – *70 lat AZS w Częstochowie, 15 lat kariery Sebastiana Ulamka*, o Kalinie Jędrusik *Nie odchodź... 12 wspomnień o Kalinie Jędrusik*, wspomnienie o częstochowskich Żydach – *Drzewo mojego życia* Hanny Batisty, a także opowieść Ewy Curie o sławnej matce (film z 1943 roku!). Prezentacjom towarzyszyły rozmowy z zaproszonymi gośćmi, m.in. z krytykiem filmowym Stanisławem Janickim, Danielem Olbrychskim czy Henrykiem Talarem. Niedziela była także dniem zabaw dla dzieci, a dokładnie wprowadzenia ich w trudną sztukę filmową i telewizyjną – można było spróbować swoich sił na planie i w studio. Imprezą towarzyszącą była giełda filmowo-fotograficzna.

Wszechświat w filharmonii

CZĘSTOCHOWA. Z okazji zakończenia sezonu artystycznego 17 czerwca Filharmonia Częstochowska przygotowała suitę *Planety* (1914–1916) Gustava Holsta. To było ogromne i piękne widowisko. Zgromadzeni mogli nie tylko podziwiać kunszt muzyków i kompozytora, ale również projekcje multimedialne, przygotowane w Planetarium w Instytucie Fizyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie pod kierunkiem dr. Bogdana Wszółka. Chór żeński zgodnie z wolą kompozytora został ukryty za muszlą koncertową. Utwór uwzględnił siedem planet, symbolizujących m.in. wojnę, pokój, radość... Co zrozumiale, kompozytor pominął Pluton (odkryty przecież dopiero w 1930 roku, a w 2006 wykreślony z listy planet). Wprawdzie w 2000 roku Colin Matthews uzupełnił suitę Holsta *Plutonem*, ale pomysł zaprezentowania w Częstochowie obu dzieł upadł, ponieważ polska prapremiera dzieła Matthews'a okazała się zbyt droga.

Jubileusz Zbigniewa Zielenki w MBP w Opolu

OPOLE. Z okazji 60-lecia pracy twórczej Zbigniew Zielenka – prozaik, eseista i historyk literatury, spotkał się z czytelnikami w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu. Autor przedstawił zebrany swoją najnowszą powieść *„I ona ma zielone oczy”*, ukazując dzieje Europy od połowy XI do połowy XII wieku – opowiadane przez anonimowego narratora. Autor powieści sięgając po autentycznych i fikcyjnych bohaterów, przypomina znane fakty ale również odsłania tajemnice historii, o której możemy powiedzieć cytując Norwida – *że przeszłość to dziś tylko cokolwiek dalej*. Zbigniew Zielenka przez dwie dekady pracował w Opolu jako nauczyciel szkół średnich, następnie od 1974 roku został pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku. Debiutował jako prozaik na łamach „Wici” (1954). Napisał wiele interesujących powieści i opracowań sięgających do dziejów Śląska m.in.: „W Jemielnicy sądny dzień”, „Orły na sarkofagu”, „Klucz ziemi”, „Ziemia wschodząca”, „Księga Henrykowska”, „Henryk Prawy”, „Śląsk – ogniwo tradycji. Rozważania o historii i kulturze”, a także „Papa Musioł: rzecz o Karolu Musiole i Opolu mieście”, „Geografia życia literackiego polskiego okręgu kulturowego na Śląsku”. Ta ostatnia pozycja, owoc benedyktyńskiej pracy pisarza i naukowca, stanowi znakomite źródło wiedzy o polskim dziedzictwie kulturowym na Śląsku, od średniowiecza do współczesności. Zbigniewa Zielenkę od wielu lat łączą serdeczne więzi przyjaźni i współpracy z przedstawicielami opolskich środowisk twórczych, naukowych oraz instytucji kultury. Za swoje dokonania pisarz został w latach ubiegłych uhonorowany nagrodami artystycznymi miesięczników „Odra” i „Opole” a także Nagrodą Wojewody Opolskiego oraz Nagrodą Prezydenta Miasta Opole. O twórczości i biografii Jubilata opowiadał zebrany prowadzący spotkanie Harry Duda a uroczystą oprawę zapewniła Elżbieta Kampa, dyrektor MBP w Opolu, która w ostatnich latach znakomicie promuje czytelnictwo i dokonania twórcze zarówno opolskich literatów jak i gości z kraju i zagranicy.

Znaczący dyplom Marii Ruszeckiej

WROCŁAW/OPOLE. Niezwykłym wydarzeniem cyklu koncertów dyplomowych studentów Akademii Muzycznej we Wrocławiu stał



Maria Ruszecka przy organach kościoła św. Wojciecha we Wrocławiu

się koncert organowy Marii Ruszeckiej w zabytkowym kościele św. Wojciecha na placu Dominikańskim we Wrocławiu, wieńczący studia Opolanki pochodzącej z Nysy na kierunku „muzyka kościelna i edukacja muzyczna”. Wśród publiczności obecni byli przedstawiciele władz Akademii Muzycznej we Wrocławiu na czele z prof. Krystianem Kielbem oraz opiekunem dyplomantki dr. Markiem Froncem. Z Opolszczyzny na koncert przybyło liczne grono profesorów opolskich uczelni i środowisk kultury na czele z rektorem Politechniki Opolskiej prof. Markiem Tukiendorfem. W programie koncertu Maria Ruszecka wykonała utwory Jana Sebastiana Bacha, Feliksa Mendelssohna-Bartholdy’ego, Karola Marii Widora i Ludwika Vierne’a, ujmując słuchaczy interpretacją tych dzieł, począwszy od monumentalnych form organowych, po subtelne fragmenty utworów francuskich kompozytorów. Szczególną aurę koncertu współtworzyła zabytkowa przestrzeń kościoła św. Wojciecha z barokową kaplicą św. Czesława Odrowąża, patrona Wrocławia, pochodzącego ze słynnego średniowiecznego rodu Odrowążów (św. Jacek, błogosławiona Bronisława) wywodzącego się z Kamienia Śląskiego (woj. opolskie, Gmina Gogolin). Maria Ruszecka wcześniej ukończyła studia na kierunku „jazz i muzyka rozrywkowa” w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Nysie. Swoje umiejętności w trakcie studiów na Akademii Muzycznej doskonaliła na licznych kursach muzycznych i warsztatach. Obecnie w kręgu jej zainteresowań znajduje się nie tylko muzyka klasyczna (muzyka kościelna) ale także muzyka jazzowa, chóralsztka i poezja śpiewana. Maria Ruszecka często koncertuje w kościołach ale również na spotkaniach literackich, artystycznych dostarczając publiczności wielu wrażeń duchowych i estetycznych. Młoda artystka z Nysy obdarzona jest pięknym głosem i osobowością o niezwyklej wrażliwości, dla której język muzyki jest podstawowym językiem komunikacji z otaczającym światem, którego bezpośrednio nie może ujrzeć. W najbliższych planach artystycznych przygotowuje m.in. recital poezji śpiewanej na listopadowy XXVII Najazd Poetów na Zamku Piastów Śląskich w Brzegu.

Cień – malarstwo Łukasza Huculaka

SOSNOWIEC. W Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki 26 czerwca zagościły prace Łukasza Huculaka, malarza, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Prowadzi on dyplomującą pracownię malarstwa i kieruje Międzywydziałowymi Studiami Doktoranckimi w tej uczelni. Jest stypendystą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP, Rządu Bawarii oraz organizacji pozarządowych. Łukasz Huculak jest laureatem Grand Prix na Festiwalu Malarstwa w Szczecinie, II nagrody w ogólnopolskim konkursie na najlepsze dyplomy ASP, wyróżnień Festiwalu Malarstwa Bielska Jesień i Biennale Małej Formy Malarskiej w Toruniu. Bywa kuratorem, publikuje teksty o sztuce (Format, Dwutygodnik, QuArt, Art&Business). Pod jego redakcją ukazało się kilka publikacji zbiorowych (katalogi wystaw i tom Nadmiar i Brak). Członek wrocławskiej Akademii Młodych Uczonych i Artystów. W jego praktyce malarskiej mocno wybrzmiewa fascynacja ułomnością i fragmentarycznością. Odwołując się do idei „obrazu dostępnego jednym spojrzeniem”, wykorzystuje estetykę form „niepełnowartościowych”: destruktu i non finito.

Wypokaliska z Sudanu

BĘDZIN. Od 7 lipca w Pałacu Mieroszewskich można oglądać wystawę „Wielkie królestwa chrześcijańskie w Nubii”. Ekspozycja pochodzi ze zbiorów Muzeum Archeologicznego w Poznaniu. Wystawa dokumentuje trwające ponad czterdzieści lat badania wykopaliskowe prowadzone przez polskich archeologów w Afryce, przybliży wiedzę o historii, religii i kulturze średniowiecznej tego kontynentu i wpływach nań Europy i Bizancjum. Dzięki wprowadzeniu nowych rozwiązań wystawienniczych i nowoczesnej aranżacji wnętrz można podziwiać zabytki z badań archeologicznych prowadzonych w Starej Dongoli, Banganarti i Faras reprezentujące Nobadię, Makurię i Alodię – Wielkie Królestwa Chrześcijańskie w Nubii. Wśród eksponatów znajdują się m. in. ozdoby, bogato ornamentowane wyroby ceramiczne, detale architektoniczne, malowidła ścienna, ryty naskalne i wiele innych. Wystawa będzie czynna do 28 sierpnia 2016 r.

Ciało w krainie snu

SOSNOWIEC. Teatr Zagłębia już po raz drugi pozyskał dofinansowanie na organizację „Lata w teatrze”, programu zainicjowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego realizowanego ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Warsztaty odbywały się od 27 czerwca do 10 lipca. W ciągu dwóch tygodni ich uczestnicy (podzieleni na trzy grupy: aktorsko-scenograficzną, aktorsko-dziennikarską oraz taneczno-multimedialną) mieli okazję poznania teatru od kulis i stworzenia własnego spektaklu pod opieką profesjonalistów. Przedstawienie pt. „Ciało w krainie snu” powstało pod opieką aktorską: Agnieszki Bałagi-Okońskiej i Michała Bałagi, nad układami tanecznymi czuwał Michał Woźnica, nadzór scenograficzny sprawowała Iga Słupska, opiekę multimedialną – Miłosz Gajewski a dziennikarską – Katarzyna Niedurny. 7 lipca na Placu 100. lecia w Sosnowcu odbyła się *Bitwa na poduszki*, akcja promująca spektakl, którego prezentacja odbyła się 9 i 10 lipca w Teatrze Zagłębia. Opowieść rozpoczyna się w momencie, kiedy młodzież szkolna wyrusza na wycieczkę, która staje się dla nich okazją do spotkania ze światem snów – często absurdalnym, przeplatany motywami powieści „Alicja w Krainie Czarów”, pełnym ukrytych lęków i marzeń.

Zagłębie z powietrza

SOSNOWIEC. Od 17 czerwca w Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki można oglądać niezwykle fotografie Michała Radki, który utrwalił nieznaną piękno Zagłębia. Autor zdjęć mieszka w Dąbrowie Górniczej i od ponad dwudziestu lat jest zapałym paralotniarzem, który ogląda nasz region w podniebnych przestworzach. W czasie lotów robi zdjęcia. Takie spojrzenie pozwala mu dostrzec wszystko to, co z perspektywy pieszego jest mało lub wcale niewidoczne. „Zagłębie z powietrza” to urzekające zdjęcia miast, osiedli, terenów przemysłowych i rekreacyjnych. W czasie oglądania tych fotografii odczuwamy niedowierzanie, że Zagłębie jest, aż tak piękne. 14 września o swoich podniebnych przygodach Michał Radka opowie podczas spotkania autorskiego. Wystawę można podziwiać do 18 września.

A to Czeladź właśnie!

CZELADŹ. Muzeum Saturn w Czeladzi po raz kolejny sprawiło swoim mieszkańcom ogromną niespodziankę. Najnowsza ekspozycja zabiera bowiem widzów w sentymentalną podróż przez charakterystyczne miejsca i wydarzenia związane z historią miasta. Złożyły się na nią głównie fotografie stanowiące punkt wyjścia do szukania odpowiedzi na fundamentalne pytania: *jaka jest Czeladź? Jacy my jesteśmy? Skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy?* Na wystawie odnaleźć można trzy sekwencje tematyczne. Pierwsza, poświęcona jest życiu codziennemu czeladzian, rodzinie i wychowaniu dzieci, środowisku zawodowemu oraz różnym formom spędzania wolnego czasu. Drugą dedykowano miastu – obrazuje oblicze starej Czeladzi zapisane na szklanych negatywach. Ostatnia część odwołuje się do znaczącego epizodu w dziejach grodu nad Brynicą – eksploatacji węgla kamiennego. Ekspozycja została przygotowana specjalnie w ramach Światowych Dni Młodzieży.

Roman Chruściel, z cyklu *Święci II*, 1965

Roman Chruściel w Pałacu Schöna

W tym roku mija 20. rocznica śmierci grafika Romana Chruściela (1935–1996). Artystę inspirował otaczający go świat industrialny i przyroda, uprawiał rysunek, grafikę artystyczną i użytkową. Zajmował się głównie linorytem. Od 14 lipca w Pałacu Schöna – Muzeum w Sosnowcu można oglądać znakomitą wystawę dzieł artysty. Jego twórczość charakteryzowała giętka, ruchliwa kreska, która niekiedy ustępowała miejsca czarno-białym płaszczyznom. Stworzył cykl pięknych pejzaży zagłębiowskich: *Moje miasto*, *Moja dzielnica*, *Stara huta* i *Królewska huta*. Obok pejzażu pasjonowały go motywy zaczerpnięte z ikon, mistrzowsko wykorzystane w prezentowanej na ekspozycji *Kompozycji hebrajskiej* i rycinie *Święci* oraz tematyka marynistyczna, także obecna na wystawie. Kompozycje *Osada rybacka*, *Stary port*, *Okręty* należą do najwybitniejszych. Jego przejmująca refleksja nad życiem i przemianami widoczna jest w cyklu *Epitafia*, który poświęcił zmarłym przyjaciółom i członkom rodziny. Wystawa potrwa do 21 sierpnia.

W SKRÓCIE...

■ Joanna Kściuczyk-Jędrusik była gościem specjalnym XXIV Spotkania „Przyjaciele Barbary i Stanisława”, zorganizowanego przez Muzeum Historii Katowic.

■ Na wernisaż prac Marka Przybyły – malarza z Sosnowca i Krzysztofa Szlapy – fotografa z Katowic zatytułowanych *ART-boreum czyli Klucz Drzew* zapraszał Instytut Mikołowski.

■ Szkice do opery W. A. Mozarta „Czarodziejski flet” z udziałem Patrycji Tańczyk w partii *Królowej Nocy*, Oskara Jasińskiego jako *Tamoni*, Marty Brzezińskiej – *Pamina*, Kamili Nowak – *Papageny*, Pawła Konika – *Papageno*, Adama Janika – *Sarazato* oraz Ewy Tracz, Anny Borucvkiej i Katarzyny Świek przedstawiła w sali koncertowej Akademii Muzycznej Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach.

■ Muzeum w Chorzowie zapraszało na wykład Józefa Dembinio-ka pt. „Pieniądz w monarchii Habsburgów w czasach Franciszka Józefa I (1848–1916)”.

■ Na Wieczór w Muzeum, w programie którego znalazł się wernisaż twórczości plastycznej Stanisława Barnasia, wykład prof. Zdzisława Janeczka, promocja 14. numeru *Siemianowickiego Rocznika Muzealnego* a także wystawa fotograficzna „Siemianowickie migawki” i koncert muzyki wokalne w wykonaniu zespołu *The Feel Harmonic Singers* zapraszało Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich.

■ Śląskie Centrum Wolności i Solidarności w związku z kolejną rocznicą częściowo demokratycznych wyborów w Polsce, wspólnie z Instytutem Pamięci Narodowej O/Katowice wydało publikację Bogusława Tracza „Zachodzące czerwone słońce. Wybory '89 w województwie katowickim”.

■ Policealna Szkoła Fotograficzna Fotoedukacja oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na otwarcie zbiorowej wystawy fotografii „Fotoedukacja Dyplomy 2016”.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rudzie Śląskiej-Wirku odbyła się promocja książki „Śląski strój ludowy z Rudy”, której autorami są Barbara i Adam Podgórcy.

■ Spotkanie z książką *Kolo miejsca* odbyło się w Czytelnicy Sztuki Muzeum w Gliwicach. Rozmowę z autorami Krzysztofem Siwczakiem i Michałem Łuczakiem poprowadził Grzegorz Krawczyk.

■ W Bibliotece Śląskiej odbyło się spotkanie autorskie z udziałem Krystiana Hadasza i Henryka Reja, które wieńczyło sezon 2015/2016 Kawiarenki Kulturalno-Literackiej.

■ Wykład z cyklu „Wokół Chorzowa”: *Artur Kleski i Wincenty Spaltenstein, czyli o karierze przybyszów w międzywojennej Królewskiej Hucie* wygłosił w Muzeum w Chorzowie dr hab. Lech Krzyżanowski (UŚ).

■ Ostatni koncert Zespołu „Extempore” w ramach artystycznej rezydencji w Muzeum Historii Katowic, będącej częścią programu „Artysta – rezydent” realizowanego i współfinansowanego przez Instytut Muzyki i Tańca w Warszawie, a zatytułowany *Sonati bolognese* odbył się 21 czerwca. Program koncertu poświęcony był muzyce z Półwyspu Apenińskiego. Obok sonat niekwestionowanych geniuszy, Viwaldiego czy Corellego, można było usłyszeć utwory Riccardo Rognoniego oraz Tomassa Giordaniego. Trio wystąpiło w składzie: Małgorzata Malke – skrzypce, Krzysztof Firlus – viola da gamba, Anna Firlus – klawesyn. Zespół „Extempore” zagrał bardzo wiele koncertów w kraju i zagranicą. Jest laureatem konkursu „Musica Antiqua Viva” w Żorach. W najbliższym czasie ansambl planuje wydać wraz z Zespołem Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” płytę ze współczesnym repertuarem przeznaczonym dla instrumentów historycznych.

■ Odtworzono skradzione napisy na pomniku Powstańców Śląskich w Katowicach. Prezentują one nazwy miejscowości powstańczych pól bitewnych, które – podobnie jak oryginalne sprzed lat – zostały umieszczone na bastionie pomnika. Wśród nazw na pomniku można od dziś znaleźć m.in.: „Siemianowice”, „Bogucice”, „Mysłowice”, „Halemba”, „Góra Św. Anny”, „Paproczany”. Projekt liter oraz określenie miejsc ich rozmieszczenia wykonali autorzy pomnika Powstańców Śląskich, rzeźbiarz prof. Gustaw Zemła i architekt prof. Wojciech Zabłocki.

■ W Muzeum Powstań Śląskich prezentowana jest wystawa rzeźb Leszka i Antoniego Korzekwów pt. „Modlitwa w drewnie”.

■ 11 czerwca w placówkach muzealnych – Starej Fabryce w Bielsku-Białej, Muzeum Ustrońskim, Muzeum Drukarstwa w Cieszynie i tamtejszym Browarze Zamkowym – odbyła się „Industriada 2016”. Między poszczególnymi placówkami muzealnymi można było przemieszczać się bezpłatnie autokarem.

■ 8 lipca podczas XVIII pikniku filmowego z AKF „Klaps” w Chybiu odbył się wernisaż Klary Puzoń pt. „Katoklary”. Autorka fotografowała Katowice, stąd tytuł ekspozycji, którą można zobaczyć w budynku AKF „Klaps”.

■ 26 czerwca w klubie Aquarium w Galerii Bielskiej BWA odbył się koncert reaktywowanego w ub. roku zespołu „Psio Crew”. Grupa stworzona przez Macieja „Kamera” Szymonowicza i Mateusza „Gorala” Górnego w 2004 r. gra muzykę etno, drum and bass, trip hop, hip-hop, raggamuffin, dub i beat box.

■ Znany pasjonat Jan Leszek Ryś wystawiał w czerwcu w Książnicy Beskidzkiej. Ekspozycja nosiła tytuł „Piórkiem, piórem, węglem. Przez 60 lat za płótem Fałata.”

■ 28 czerwca w Książnicy Beskidzkiej odbył się wieczór promocyjny tomu wierszy pt. „(Po) równania z wieloma niewiadomymi” Agnieszki Marek. Tomik wydał Wydział Kultury i Sztuki UM w Bielsku-Białej.

■ „Przez świat kolorów” to tytuł wystawy malarstwa Lecha Waclawa Ginko, która w lipcu była eksponowana w Ośrodku Promocji Gminy Węgierska Górka. Finisaż ekspozycji odbędzie się w niedzielę 24 lipca.

■ W Częstochowie zagraли: w klubie Rura – O.S.T.R.; w Filharmonii: Smolik oraz KevFox; Dawid Podsiadło w ramach *Red Bull Tour Bus*; w restauracji Klimaty – Kasa Chorych.

■ 14 czerwca w OPK *Gaude Mater* w Częstochowie w ramach cyklu *Wyborcza na żywo* odbyło się spotkanie z Wacławem Radziwinowiczem połączone z promocją książki *Crema dla la Kreml*.

■ 18 czerwca Garnizon Fortecy Częstochowskiej przygotował w parku jasnogórskim Piknik Historyczny, prezentujący życie w obozie wojskowym w XVIII wieku.

■ Częstochowski OKF zaprosił na *Wędrujące festiwale*, czyli przegląd filmów międzynarodowych festiwali.

■ Towarzystwo Muzyczne w Częstochowie świętowało 40-lecie.

UNIwersYTET Śląski w Katowicach 8 czerwca obchodził 48. urodziny. W opublikowanym przez Fundację Edukacyjną „Perspektywy” Rankingu Szkół Wyższych 2016, uplasował się na 13. pozycji w kraju, co jest najlepszym wynikiem w naszym regionie. Uczelnia wyróżniono specjalną nagrodą. Za szczególnie postępowo uhonorowano też Górnośląską Wyższą Szkołę Handlową im. Wojciecha Korfańskiego w Katowicach. Śląskie środowisko naukowe podkreśla, że niezwykle ważne jest zrozumienie rynku pracy, współpraca z biznesem i z innymi uczelniami. To jest gwarantem sukcesów.

DWUSTU nauczycieli nauczania wczesnoszkolnego (klasy od 1 do 3) od września poze-

gna się z pracą i zasilili szeregi bezrobotnych – tak wynika z wycieńczeń Okręgu Śląskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego. To efekt przywrócenia obowiązku szkolnego dla dzieci od 7. roku życia. Większość rodziców 6-latków wolała zostawić swoje pociechy w przedszkolach (ok. 80 proc. w kraju).

ROZKRĘCONA instalacja gazowa i próba samobójcza jednego z lokatorów były przyczyną tragedii, do której doszło w październiku 2014 roku w kamienicy przy ulicy Chopina w centrum Katowic. Przypomnijmy, że w wybuchu gazu zginęła wówczas trzyosobowa rodzina: dziennikarka Telewizji Katowice Brygida Frosztęga-Kmieciak, jej mąż, dziennikarz stacji TVN24, Dariusz Kmieciak oraz ich 2-letni synek Remik. Opinię biegłych z zakresu pożarnictwa otrzymała prokuratura. Nie oznacza to jednak, że sprawa została zakończona. Prokuratura Okręgowa w Katowicach wciąż prowadzi śledztwo, bo nie wszystko zostało jeszcze wyjaśnione.

WYSTAWĘ „Silesius” można było oglądać do 17 czerwca w Brukseli, w największej sali wystawowej gmachu Parlamentu. Powstała z miłości do Śląska. Jej inicjatorem był Marek Plura, europoseł i ambasador Śląska. Wystawa pokazuje historię Śląska przez pryzmat ludzi, którzy tu żyli i pracowali. Udowadnia, że wielokulturowość Śląska była jego bogactwem. We wrześniu „Silesius” ma trafić do Katowic.

SAMORZĄDY w Śląskiem są najbardziej opieszale przy wydawaniu decyzji w programie „Rodzina 500 Plus”. Tak wynika z wycieńczeń Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Do końca maja otrzymało je 57 proc. rodzin. To najmniej w kraju. Kiepsko jest też w woj. małopolskim (58 proc.) oraz mazowieckim i dolnośląskim (po 60 proc.). W związku z tym szefowa resortu rodziny Elżbieta Rafalska zaapelowała do gmin, by zaczęły działać zdecydowanie sprawniej. Zasugerowała również, że za ewentualne opóźnienia odpowiadają właśnie gminy, bo rząd wywiązał się ze swojej części zadania.

ZAPADŁ wreszcie wyrok w sprawie tragedii MTK przed Sądem Okręgowym w Katowicach po siedmioletnim procesie. Najwyższą karę, 10 lat pozbawienia wolności, otrzymał projektant stalowej konstrukcji, Jacek J., który – zdaniem sądu – powinien przewidzieć tę katastrofę. Rzeczoznawca budowlany Grzegorz S. został skazany na 5 lat, a powiatowy inspektor nadzoru budowlanego w Chorzowie, Maria K., na 4 lata. Sąd uznał odpowiedzialność kierownictwo spółki MTK za tragedię. Wyrok 3 lat więzienia dostali Bruce R. i Adam H., a 4 lat – Ryszard Z. Strony zapowiedziały apelację. Pod dachem hali Międzynarodowych Targów Katowickich 28 stycznia 2006 r. zginęło 65 uczestników międzynarodowej wystawy gołębi.

RADYKALNE obcięcie budżetu metropolii i finansowanie jej z budżetu centralnego tylko przez pięć lat – takich zmian w ustawie o związku metropolitalnym w województwie śląskim domaga się minister finansów. Zaniepokojeni tą propozycją prezydenci miast odpowiadają: jeśli resort przeforsuje swoje stanowisko, my rezygnujemy z metropolii. **TYPOWY** samobójca to mężczyzna między 44. a 64. rokiem życia. W tej grupie życie odbiera sobie 45 osób na 100 tys. mieszkańców. W Śląskiem w 2015 roku popełniło samobójstwo 687 osób, w tym 586 mężczyzn. Taki trend utrzymuje się od ok. 15 lat, co m. in. związane jest z przemianami ekonomicznymi i społecznymi oraz z degradacją pozycji mężczyzny w społeczeństwie. Rozmawiano o tym m.in. podczas trwającego w Katowicach 45. Zjazdu Psychiatrów Polskich. Specjalistów niepokoi wzrost samobójstw wśród osób do 24. roku życia. Zapelowano o uruchomienie Narodowego Programu Zapobiegania Samobójstwom.

CORAZ więcej górników deklaruje chęć odejścia z kopalń. Takich chętnych jest aż 6,6 tysiąca. W Polskiej Grupie Górnictwej w sumie 4,5 tys. osób chciałoby skorzystać z urlopów górniczych dla pracowników przeróbki mechanicznej lub jednorazowych odpraw. Tak wynika z ankiety, która została przeprowadzona wśród pracowników spółki. W kwietniu przewidywano, że wolę taką wyraża tylko 4 tys. osób. Badanie przeprowadzone w kwietniu br. w Katowickim Holdingu Węglowym przyniosło informację, że możliwością skorzystania z pakietu osłonowego interesuje się ok. 1,7 tys. pracowników, w tym 1,4 tys. dołowych. Wstępne deklaracje przejścia do Spółki Restrukturyzacji Kopalń (tym pracownikom będą przysługiwać wspomniane świadczenia) wyraziło do tej pory także ponad 400 pracowników Ruchu Jas-Mos (JSW). Takie deklaracje składano końca czerwca.

WYBITNA propagatorka polskiej kultury i literatury, prof. Maria Delaperriere, została uhonorowana tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. Tak symbolicznie zainaugurowano VI Światowy Kongres Polonistów trwający od 22 do 25 czerwca w Katowicach. W kongresie uczestniczyli filologowie polscy z całego świata. Odbywał się on pod hasłem „Polonistyka na początku XXI wieku. Diagnozy. Koncepcje. Perspektywy”. W trakcie 8 paneli tematycznych i 15 sekcji wygłoszono ponad 300 referatów ukazujących kondycję współczesnej polonistyki.

NAGLE zrobiło się cicho, a wokół jakby zabrakło powietrza. Zaraz potem strasznie rąbnęło – tak świadkowie wspominają wybuch pożaru w rafinerii w Czechowicach-Dzie-

dzicach, w którym 45 lat temu zginęło 37 osób. To tragiczne zdarzenie miało miejsce 26 czerwca 1971 roku. W rafinerii przetaczano wówczas ropę ze zbiornika na oddział destylacji i mimo burzy nie przetrwano prac. Nieoczekiwanie piorun uderzył w zbiornik – i rozpętało się prawdziwe piekło. Strażacy zmniejszili powierzchnię palącej się ropy, zabezpieczyli też sam zbiornik. Wybuch nastąpił w chwili, gdy wydawało się, że pożar zostanie zażegnany. Dochodziła 1.20 w nocy. Bilans katastrofizm był potworny – 37 zabitych i 105 rannych. Żywił pokonano 29 czerwca po ok. 70 godzinach akcji gaśniczej. Potrzebnych było blisko 50 jednostek z ciężkim sprzętem gaśniczym, w tym z Czecho-słowacji.

DOBRA zmianę w szkolnictwie? Z edukacyjnej mapy regionu zniknie niemal 800 państwowych i prywatnych gimnazjów. 27 czerwca na konferencji podsumowującej ogólnopolskie debaty „Uczeń. Rodzic. Nauczyciel. Dobra zmiana”, ogłosiła to Anna Zalewska, minister edukacji narodowej. W wizji PiS jest za to powrót do korzeni. Przyszłość to 8-letnia szkoła powszechna, 4-letnie liceum, 5-letnie technikum oraz dwupoziomowe szkoły branżowe, które zastąpią zasadnicze szkoły zawodowe. Pierwszy rocznik do nowej szkoły pójdzie już we wrześniu 2017 r.

GWALTOWNE burze w ostatni czwartek weekend pozbawiły prądu ponad 4 tysiące odbiorców. Powodem były połamane drzewa, które przewracały się na linie energetyczne. Strażacy interweniowali na terenie województwa śląskiego ponad 320 razy, głównie w powiatach: gliwickim, kłobuckim, lublinieckim, pszczyńskim, tarnogórskim, bielskim i cieszyńskim. Prawie 290 wyjazdów było związanych z wiatrołomami, a kilkanaście dotyczyło uszkodzeń budynków mieszkalnych i gospodarczych.

NOCLEG z bluesem. W hotelu „Novotel” w Katowicach można zamówić nocleg w specjalnym pokoju „Rawa Blues” na czwartym piętrze. Znajdują się w nim m.in. gitara elektryczna, mural sceny, płyty, kubki z logo RBF, na stoliku nocnym album Rawy Blues, a na ścianach fotografie gwiazd festiwalu oraz historia imprezy w pigułce. To pomysł obsługi hotelowej. Legendarny śląski festiwal Rawa Blues Festiwal odbędzie się jesienią.

CZERWIEC zdecydowanie zdominowały piłkarskie emocje. Kto z nas nie kibicował biało-czerwonym w czasie meczów z Irlandią Północną (wygrana 1:0 z 12 czerwca), Niemcami (remis 0:0 z 16 czerwca), Ukrainą (wygrana 1:0 z 21 czerwca), Szwajcarią (wygrana 5:4 po karnych z 25 czerwca), czy Portugalią (niestety, przegrana 3:5 po karnych z 30 czerwca)? Te dramatyczne i nieraz piękne pojedynki śledziliśmy w gronie rodzinnym, w otoczeniu przyjaciół, często przy grillu i piwie, niejednokrotnie w specjalnych strefach kibica organizowanych w centrach miast. Połączyła nas wszystkich wspaniała atmosfera i szczyry podziw dla pięknego, europejskiego futbolu – w którym można się zakochać. Niestety, ta przygoda już się – dla większości – skończyła. Polacy wyjechali z Paryża, z turnieju Euro 2016 przegrani, choć zaprezentowali się naprawdę nieźle. Dziękujemy za piękne przeżycia panowie!

Wakacje biznesmena

JAROSŁAW STARZYK

Przed blokiem spotkałem sąsiada-biznesmena. „Schudł, szcerniał”, może nawet trochę „wyszlachetniał”.

– Zmizerniał pan – zagaiłem.

– Na wakacjach byłem – wyjaśnił, choć to niczego mi nie wyjaśniało. – Z wnukami. Dzieci pojechały do Europy, ale same, bo tam niebezpiecznie, terroryzm, bomby... O! inkluziw, jednym słowem. No to małżonka moja zaplanowała nam i wniosiom urlop w kraju – dwa tygodnie w wiosce ekologicznej, niech ją cholera... To znaczy wioskę, a nie małżonkę moją. Idziemy – zakomenderował.

Więc poszliśmy do naszej ulubionej kawiarenki, z salą dla palącej mniejszości, ale latem mającej w dodatku przyjemny ogródek z parasolami.

– Był pan kiedyś w eko-wiosce? – zapytał nasz osiedlowy przedstawiciel klasy średniej.

– Nigdy – przyznałem.

– To niech pan nigdy tam nie jedzie, zwłaszcza jak tam będą serwować zdrową, antyalergiczną żywność. Ja mało co od tego wszystkiego nie umarłem. I nie wiem, co by było, gdyby nie Marian...

– Jaki Marian? – ośmieliłem się wtrącić.

– Nie zna go pan – wyjaśnił, co niewiele mi wyjaśniło. Zamówiliśmy u Dżonego piwo z małego, ale niezłego browaru, zapalili.

– Najlepiej będzie, jak opowiem wszystko od początku – zaczął osiedlowy biznesmen. – Przyjechaliśmy, a tam kompletny prymityw. Drewniane domki, osobno taki hangar z prysznicami, ciepła woda tylko przez 5 minut, następna ciepła po kwadransie... Spał pan kiedy na sianie?

– Jasne, jako chłopak. Fajnie było.

– Tam były sienniki. Siano trzeszczało tak, że się usnąć nie dało, a jak się usnęło, to się budziło. Świeże dali i się tym chwalili. A żarcie? Tam była dietetyczka, co nam narzucała jedzenie. Zdrowe, antyalergiczne. Bezglutenowe pieczywo, białe gotowane mięsko (mięsko – mówiła), rybki z pobliskiego jeziora (o mało co nie zadławiłem się ością), mleko jeszcze ciepłe po udoju, albo bez laktozy (pan wie, co to jest?), produkty jak najmniej przetworzone... Jak już coś łaskawie zblanszowali, to mógł się pan cieszyć, że nie surowizna... Pięć posiłków o wyznaczonej godzinie... Na deser ciasto bez cukru i wszystko bez soli... Oliwa z pierwszego tłoczenia... Jajka... O, jajka mieli od kur wolno grzebiących, czy jakoś tak. Babcia (to jest małżonce mej) wszystko się podobało, bo dzieciaki były szczęśliwe. Widziały koniki, krówki, cielaczka, koguta (ten drań zawsze mnie budził z najlepszego snu), kurki, kacuszki, a dla króliczków zrywały co dzień trawę i mogły je karmić...

– I co pan tam robił?

– Panie Jarku, najwięcej tom drałował pół kilometra, żeby zakurzyć, bo tam zrobili takie getto dla palącej mniejszości. Z naszego domku wychodziło się na łąkę, część była podmokła, więc jakżem wyszedł w sandałach, to prosto w bagno, tak że skarpety od razu przemoczyłem... I nie widziałem, jak rosiczka muchę żeźarła. Babcia i dzieciaki widziały – a ja nie! Much było dużo, ale rosiczka chyba nażarta była. Trochę, co ja mówię – dużo leżałem na kocu pod drzewem, zdążyłbym z nudów nawet *Nad Niemnem* przeczytać, co mi się w szkole nie udało, ale akurat żadnej książki ze sobą żem nie wziął. Ja bym tam umarł, gdybym kiedyś w tej strefie dla palących nie spotkał Mariana. Ale to było dopiero trzy dni przed końcem turnusu. On mnie wziął i zaprowadził do takiego ekologicznego knajpiarza, który sprowadzał ekologiczną, naturalną śliwowicę ze Słowacji.

– To się pan nacierpiął – podsumowałem ze zrozumieniem.

ŚLASK

Kolekcja „Śląska”



Foto. z arch. A. Dutkiewicza

Adam Dutkiewicz

Urodził się w 1957 r. w Chorzowie. Mieszka i pracuje w Mysłowicach i Katowicach. Dyplom Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach w 1982 r. Studiował w pracowniach prof. prof. Jerzego Dudy-Gracza, Tomasza Jury, Bronisława Chromego. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, projektowaniem graficznym, fotografią, grafiką cyfrową, sztukatorstwem, a w latach 1983-2007 r. pracą pedagogiczną. Od połowy lat 80. XX w. przez 20 lat pracował przy renowacji i konserwacji detalu architektonicznego (kilkanaście realizacji na terenie Śląska, między innymi konserwacja prezbiterium kaplicy pałacowej w Pławniowicach). Prace prezentował na kilkudziesięciu wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą oraz na pięciu wystawach indywidualnych. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków.



Adam Dutkiewicz, rysunek z cyklu „Zapiski”, technika własna

X

JUBILEUSZOWY FESTIWAL TWÓRCZOŚCI RELIGIJNEJ 2016

Fide et Amore

w rocznicę 1050-lecia Chrztu Polski

**5, 12, 19, 26 sierpnia
2, 9, 10, 16, 17, 18, 23, 30 września
1, 4, 7, 9, 14, 16, 21 października**

www.fideetamore.zory.pl

spotkania ze sztuką



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT